

ODRA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

1

MARZEC 1961





RENTIER.PL

SPONSOR DIGITALIZACJI

*Na okładce: monotypia Zbigniewa Karpińskiego
„Portret mężczyzny”.*

Inne prace tego plastyka – wewnątrz numeru.

ODRA

1

MARZEC 1961

KOMITET REDAKCYJNY:

WŁADYSŁAW BIEŁOWICZ

STANISŁAW DAWSKI

RYSZARD HAJDUK

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

JANUSZ KONIUSZ

CZESŁAW PILICHOWSKI

KAZIMIERZ POPIOŁEK

IGNACY RUTKIEWICZ

WILHELM SZEWCZYK

ROMAN WERFEL

SEWERYN WYSŁOUCH

REDAKTOR NACZELNY:

TADEUSZ LUTOGNIEWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI:

WOJCIECH WYSTUP

REDAKTOR GRAFICZNY:

ZBIGNIEW PALUSZAK

W NUMERZE:

OD REDAKCJI	5
STEREOTYPY I FAKTY	7
<i>Roman Werfel</i>	
O NIEMCZECH BEZ UPRZEDZEŃ	11
<i>Zbigniew Kremecki</i>	
POPRAWKI NIEOSTATECZNE	21
<i>Roman Karpiński</i>	
MIEDŹ I NIE MIEDŹ	27
<i>Ignacy Rutkiewicz</i>	
ELEKTRONICZNE JUTRO WROCŁAWIA	33
HISTORIA I WSPÓŁCZESNOŚĆ	
Rozmowa z Pawłem Jasienicą	41
<i>Paweł Jasienica</i>	
Z GŁOGOWA NA WAWEL	43
<i>Krystyna Konopacka-Csala</i>	
OPOLANIE I ICH TEATR	57
<i>Dionizy Sidorski</i>	
TRZECI CZAS	65
<i>Marian Jachimowicz</i>	
BIELMO, AUREOLA, VISEGRAD	73
<i>Henryk Worcell</i>	
„POLAK MAŁY”	75
<i>Kazimierz Koszutski</i>	
TYLKO KAMIEŃ, MOJA DAMA TREFL	79
<i>Stanisław Pietraszko</i>	
SPOTKANIE Z POŻEGNANYM	81
<i>Edward Marczewski</i>	
NA TERENIE MOWY OJCZYTEJ	
czyli czar twoich słówek	87
NAD KSIĄŻKAMI	
<i>Jan Kaczmarek</i>	
„STUDIA ŚLĄSKIE” PO RAZ TRZECI	91
<i>Jan Kaczmarek</i>	
VADEMECUM SPRAW ZACHODNICH	92
<i>Stefan Reczek</i>	
KSIEGA MELDUNKOWA ŚLĄSKA	93

95	<i>Jacek Łukasiewicz</i> WIEJSKIE WZASY I POŻYTKI
97	<i>Zbigniew Kubikowski</i> „PO DESZCZU”
98	<i>Piotr Kajewski</i> OD „POŁUDNIA” DO „SZKLANEJ GÓRY”
100	<i>Paweł Soszyński</i> TRZY TOMIKI POEZJI
103	NAD ODRĄ, NAD NYŚĄ
109	Z DZIAŁALNOŚCI TRZZ

Deklaracjami nie tworzy się czasopisma. Dlatego też tych parę słów zwyczajowego wstępu „Od Redakcji” należy traktować nie jako deklarację, ale jako garść zwierzeń, w których wypowiadamy swoje pragnienia i ambicje.

A pragnień tych jest niemało. Dotyczą one zarówno związków z określoną tradycją czasopiśmienniczą na ziemiach Nadodrza, jak i aktualnej funkcji, jaką pismo nasze chciałoby uznawać za swój obowiązek.

Jeśli chodzi o tradycję — wiadomo, że nie podejmujemy naszej pracy redakcyjnej na pustym polu. Miesięcznik nasz powstaje w rezultacie przekształcenia z tygodnika o tej samej nazwie i to, co w tygodniku było dobre, pragniemy kontynuować, rozwijać i pogłębiać. Ale tygodnik wrocławski miał swych poprzedników — imienników. Najstarszym z nich była „Odra” Wilhelma Szewczyka, która w pierwszym pięcioleciu po wyzwoleniu najaktywniej i najbardziej konsekwentnie reprezentowała problematykę ziem nadodrzańskich w czasopiśmiennictwie polskim. Do niej więc pragniemy nawiązywać jak najściślej. A jednocześnie nowy kształt „Odry”, kształt miesięcznika operującego większymi formami wypowiedzi, będzie nam umożliwiał nawiązywanie również do tradycji „Zeszytów wrocławskich” Tadeusza Mikulskiego i Anny Kowalskiej. Jeśli nam się uda osiągnąć to, co stanowiło o pozycji „Zeszytów”, pozycji czasopisma wychodzącego we Wrocławiu, ale odgrywającego przy tym istotną rolę w ogólnopolskim obrazie życia kulturalnego — jedno z naszych pragnień i ambicji zostanie spełnione.

Sądźmy bowiem, że sprawy rozwoju Nadodrza, sprawy jego aktywności gospodarczej, społecznej i kulturalnej, są problemami ogólnonarodowymi. Sąd ten oczywiście nie jest żadnym odkrywaniem Ameryki, czasem jednak nawet truizmy warto przypominać i powtarzać. Pragniemy, by „Odra” stała się odpowiednią reprezentacją czasopiśmienniczą

Dolnego Śląska, Opolszczyzny i Ziemi Lubuskiej wobec reszty kraju a także ośrodków zagranicznych. Myślimy, że jest co ukazywać, jest się czym nawet pochwalić, i znajdowanie godnych ukazania zjawisk nie będzie dla nas problemem. Problemem może być tylko znalezienie właściwego wyrazu dla tej ogromnej prężności społeczeństwa polskiego tutaj — i w gospodarce, i w życiu społecznym, i w twórczości kulturalnej. Właściwego wyrazu dla tego, co się na ziemiach Nadodrza dzieje, właściwego wyrazu dla tej całkowitej już integracji Nadodrza z resztą kraju, dla procesów kształtowania się nowej społeczności we Wrocławiu, Opolu i Zielonej Górze, w Turoszowie, Kędzierzynie i Gorzowie. Jeśli ten wyraz znajdziemy — zostanie spełnione drugie z naszych najszczęśliwszych pragnień.

A do nadziei w tym zakresie upoważnia nas nie tylko wspomniany już fakt, że samo życie Nadodrza dostarcza bogatego tworzywa, ale i to, że do udziału w doradczym Komitecie Redakcyjnym udało nam się pozyskać autorytatywnych reprezentantów poszczególnych dziedzin wiedzy o sprawach Nadodrza, publicystów i działaczy społecznych, przedstawicieli nauki i literatury. O rezultatach naszej pracy zadecyduje też rozszerzający się krąg współpracujących z pismem autorów, zarówno tych, którzy uprawiają swą twórczość tutaj, na miejscu, jak i tych, którzy mieszkając gdzie indziej publikacjami swymi podkreślają więź całego społeczeństwa polskiego z nadodrzańskimi ziemiami stanowiącymi też społeczeństwa wspólną własność.

Najgorętsze jednak nasze pragnienie zostanie spełnione dopiero wtedy, gdy pismu naszemu uda się nawiązać jak najserdeczniejszą więź z czytelnikami. Dopiero ich współpraca, ich głosy, listy i wszelkie inne formy kontaktu z redakcją, pozwalające nam lepiej zorientować się w ich potrzebach i żądaniach, zapewnią pismu kształt najwłaściwszy. Najbardziej bowiem istotnym naszym pragnieniem jest spełnianie pragnień czytelników, którym chcemy służyć. A służyć chcemy przede wszystkim tym najaktywniejszym grupom inteligencji na ziemiach Nadodrza, które codzienną pracą konstruktywną i twórczą dają wyraz swemu osobistemu przywiązaniu do tych ziem. Szczególnie zaś zależy nam na tym, by pismo nasze stało się potrzebne i pomocne tym entuzjastom poszczególnych regionów Nadodrza, którzy cały wolny czas poświęcają pracy w kołach miłośników swoich miast i osiedli, w Towarzystwie Rozwoju Ziemi Zachodnich.

Nasze zwierzenia zaczęliśmy od tradycji. Akcentem tradycji też je zakończymy. Pierwszy numer przekształconej „Odry” ukazuje się w okresie obchodów 300-lecia prasy polskiej. Daleko w przeszłość, bo aż po wiek XVIII, sięga również tradycja czasopiśmiennictwa polskiego na ziemiach nadodrzańskich. Dlatego ustanawiając doroczną nagrodę „Odry” pragniemy przyznać ją w tym roku za prace naukowe nad dziejami polskiej prasy w regionach Nadodrza. Jeśli zaś uda nam się uczynić nasze pismo godnym tradycji, którą nagroda podkreśli, a jednocześnie takim, by stanowiło odpowiedni wyraz naszej współczesności na tych ziemiach — nie będziemy pragnęli więcej.

STEREOTYPY I FAKTY

Gdyby wierzyć potocznemu słownictwu, Polska to kraj nader osobliwy, uformowany terytorialnie na przekór prawom geografii i logiki. Ziemie Zachodnie i Polska centralna — oto macie cały kraj. Gdzie jego wschód, południe, północ?

Poważny dziennik warszawski opatruje tytułem „Notatki z Ziem Zachodnich” reportaż z Olsztyna. Podróżni wysiadający na wrocławskim dworcu z pociągu zaczynającego swój bieg w Przemyśle są przybyszami z „centrali”. Nie zdołałem co prawda ustalić, czy Piła i Trzcianka, włączone przed kilku laty do województwa poznańskiego, uchodzą za powiaty „centralne” czy „zachodnie”.

Te geograficzne absurdy mogłyby nikogo ani ziębić, ani parzyć, gdyby nie ich — uświadamiany czy nie, to nieważne — podtekst. Nie da się ukryć: polityczny. Tak, podtekst polityczny albo, jeśli kto woli, historyczno-polityczny.

Lat temu szesnaście narodziło się pojęcie Ziem Odzyskanych, stanowiące po prostu opis pewnej sytuacji faktycznej. W kilka lat później, dla zatarcia wyraźnie okazjonalnej wymowy tego pojęcia, zastąpiono je zwrotem Ziemie Zachodnie, ostatnio już posiłkując się także sformułowaniem Ziemie Zachodnie i Północne.

Funkcja takiej nomenklatury jest zrozumiała; wydziela ona przywrócone Polsce w roku 1945 jej dawne terytoria nadodrzańskie i nadbałtyckie w pewną całość odrębną w stosunku do pozostałych ziem współczesnego państwa polskiego.

Tu jest sedno zagadnienia. Potoczny zwrot Ziemie Zachodnie czy Ziemie Zachodnie i Północne, pisany na domiar konsekwentnie z dużych liter, jest wyrazem przekonania, że objęte nim obszary stanowią w istocie jakąś całość, sprowadzalną do jednego wspólnego mianownika. Jest to przekonanie dzisiaj już z całą pewnością nieaktualne, nieprawdziwe.

Edmund Męclewski pisał na ten temat w tygodniku „Polityka” (nr 47 z 27 listopada 1959 r.):

„Dziś w sensie państwowym problem tych ziem jako całości nie istnieje. Istnieją jedynie poszczególne — nawet ważne i poważne — problemy do rozwiązania, na ogół zresztą mające już wyraźnie zarysowane tendencje rozwojowe. Nie istnieje już dziś żaden poważny powód (poza zewnętrznopolitycznym), by wyodrębniać faktycznie czy w nazewnictwie te ziemie jako całość. Wyodrębnianie takie (zawarte np. w sformułowaniu „Ziemie Zachodnie”) jest sprzeczne z rzeczywistością, nie odpowiada stanowi faktycznemu...”

Tym bardziej obecnie, u progu roku 1961. Najpierw z tej racji, że procesy integracyjne ubiegłego kilkunastolecia powiązały już tysiącnymi niemi gospodarkę ziem znad Odry i Wisły. Po wtóre dlatego, że istnieje bardzo daleko idące zróżnicowanie fizjonomii poszczególnych części owych Ziem Zachodnich. Powiem od razu, że dla podkreślenia fikcji wyobrażania ich sobie jako mniej czy więcej monolitycznej całości ten punkt drugi ma znaczenie istotniejsze nawet niż pierwszy.

W takim postawieniu kwestii zawiera się opinia, że zespół spraw specyficznych dla terytoriów zwanych Ziemiami Zachodnimi zszedł już do roli podrzędnej, albo — lepiej powiedziawszy — drugoplanowej, bo z pewnością jeszcze ważnej, ale już nie naczelnej.

Owa specyfika ma odniesienie, biorąc rzecz z grubsza, do czterech dziedzin: ekonomiki, demografii, socjologii, pewnych spraw prawnowłasnościowych. Do ekonomiki, bo na ogół wyższy jest tutaj niż na ziemiach dawnych stopień urbanizacji i rozbudowy tzw. infrastruktury, skąd wyższa efektywność nakładów inwestycyjnych w porównaniu z inwestycjami lokowanymi na terenach pozbawionych sieci dobrych dróg, osiedli miejskich etc. Do demografii, bo trzeba się tutaj liczyć ze znacznie wyższą stopą przyrostu naturalnego i większym odsetkiem młodzieży w wieku szkolnym, a wkrótce produkcyjnym. Do socjologii, bo kilkanaście lat nie mogło wystarczyć dla zatarcia zróżnicowania składu ludności ze względu na pochodzenie dzielnicowe i uformowania z niej jednolitej społeczności. Do spraw prawnowłasnościowych wreszcie, bo odsetek własności państwa w nieruchomościach miejskich jest tu szczególnie wysoki, a sprawy własnościowe tak w mieście, jak na wsi (zakładanie ksiąg hipotecznych) nie zostały jeszcze uporządkowane do końca.

Bez większego trudu da się z tego zestawu wyprowadzić wniosek, że w ogólnych założeniach polityki gospodarczej czy kulturalnej potrzebne są pewne poprawki „zachodnie”, ale ponad wszelką wątpliwość za mało tego, by mówić, że kraj nad Odrą i Bałtykiem jest całością, i to różną od kraju nad Wisłą i Bugiem. Oczywiście zaprezentowana propozycja zdefiniowania, na czym polega specyfika Ziem Zachodnich, może być uzupełniona w tę czy tamtą stronę, nie wydaje się jednak, by w konsekwencji można było wprowadzić inny wniosek generalny.

Teraz, jakkolwiek rzecz to niezbyt przyzwoita, wypadnie mi zacytować siebie samego. Zdarzyło mi się mianowicie kiedyś napisać w miesięczniku „Więź” (nr 6, z czerwca 1959 r.), co następuje:

„... pakowanie do jednego worka, kwitowanie na jednym bloczku zróżnicowanej problematyki gospodarczej poszczególnych regionów Ziem Zachodnich i Północnych z każdym rokiem staje się zabiegiem coraz bardziej fałszywym, niekiedy nawet szkodliwym. Można by zresztą zaryzykować powiedzenie, że dzisiaj daleko ważniejsze jest nie to, co łączy ze sobą poszczególne obszary nadodrzańskie i nadbałtyckie, lecz to, co je między sobą dzieli. Najbardziej pobieżny rzut oka upewnia nas w tym, że istotnie rzeczywiste dominanty ekonomiczne Śląska, Ziemi Lubuskiej, Pomorza są zgoła różne i odmienne, że w praktyce sprawa odrębnych fizjonomii poszczególnych regionów wysuwa się na czoło”.

I jeszcze jeden cytat z tego samego źródła:

„...gdy mowa o programie, o precyzowaniu optimum rozwojowego, to myślimy nie o programie czy optimum dla Ziem Zachodnich i Północnych jako jakiejś całości, lecz — dla konkretnych województw... jako reguła generalna potrzebne jest i uza-

sadnione akcentowanie przede wszystkim zróżnicowania sytuacji w poszczególnych województwach”.

Takie oto są fakty, zaciemniane stereotypem terminu: Ziemia Zachodnie. Kilka przykładów mniej czy bardziej znanych, ale nieraz zapomnianych, wyjaśni to najlepiej.

Wrocław wraz z województwem wrocławskim dają jedną dziesiątą globalnej produkcji przemysłowej całego kraju (województwo katowickie przeszło jedną piątą), gdy koszalińskie niewiele przekracza jedną setną, zielonogórskie i szczecińskie sięgają jednej pięćdziesiątej, a łódzkie i poznańskie — jednej dwudziestej piątej.

W plonach zbóż z hektara województwo opolskie od lat kroczy w czołówce krajowej (na pierwszej pozycji), Dolny Śląsk z reguły przewyższał średnie krajowe, a w roku 1960 wywindował się na drugie miejsce po opolskim, zostawiając w tyle województwa bydgoskie i poznańskie.

Gdy wziąć za miarę gęstość zaludnienia, województwo wrocławskie i gdańskie idą przed poznańskim, bydgoskim i warszawskim, dla odmiany koszalińskie i olsztyńskie zajmują ostatnie miejsca w tabeli, tuż obok białostockiego.

Nie odkrywam nieznanym ładów. O tych dysproporcjach wiedzą doskonale ekonomiści i geografowie gospodarczy, nad ich zlagodzeniem pracują planiści układający program nowych inwestycji. Stąd decyzje o lokowaniu wielkich fabryk w Olsztyńskim czy Koszalińskim, wbrew nawet wcześniejszym zamierzeniom.

Z tym wszystkim przecież w miarę rozwoju gospodarczego kraju zróżnicowanie indywidualnych rysów poszczególnych regionów będzie się pogłębiało. Można więc przewidywać, że Dolny Śląsk wzmocni wydatnie swoją pozycję w gospodarce narodowej dzięki wielkim inwestycjom w dziedzinie eksploatacji swoich bogatych złóż surowcowych (bez wątplenia najbogatszych i najbardziej urozmaiconych w kraju), jak rudy miedzi i węgiel brunatny oraz rozwoju najnowocześniejszego przemysłu — elektroniki. Można również przewidywać, że wyraźne nachylenie ku Bałtykowi gospodarki trzech województw pomorskich przyda ich obliczu gospodarczemu piętno charakterystyczne, obecnie ledwie zarysowane. Można wreszcie przewidywać ustalenie się funkcji tak Śląska Opolskiego, jak i Dolnego jako wielkich spichlerzy płodów rolnych.

Zatem Śląsk i Pomorze, tak jak Ziemia Lubuska czy Warmia i Mazury — w miejsce terminu-worka: Ziemia Zachodnie i Północne, którego racje coraz bardziej giną w miarę oddalania się granicznej daty roku 1945. Jednostki regionalne rzędu województw i związki międzyregionalne, międzywojewódzkie. To powiązania między województwem poznańskim i zielonogórskim, olsztyńskim i warszawskim, to pas województw śląskich bodaj po krakowskie (przynajmniej w części), pas województw pomorskich, to wreszcie rosnąca funkcja komunikacyjna arterii Odry, łączącej tak pojęty Śląsk z Pomorzem.

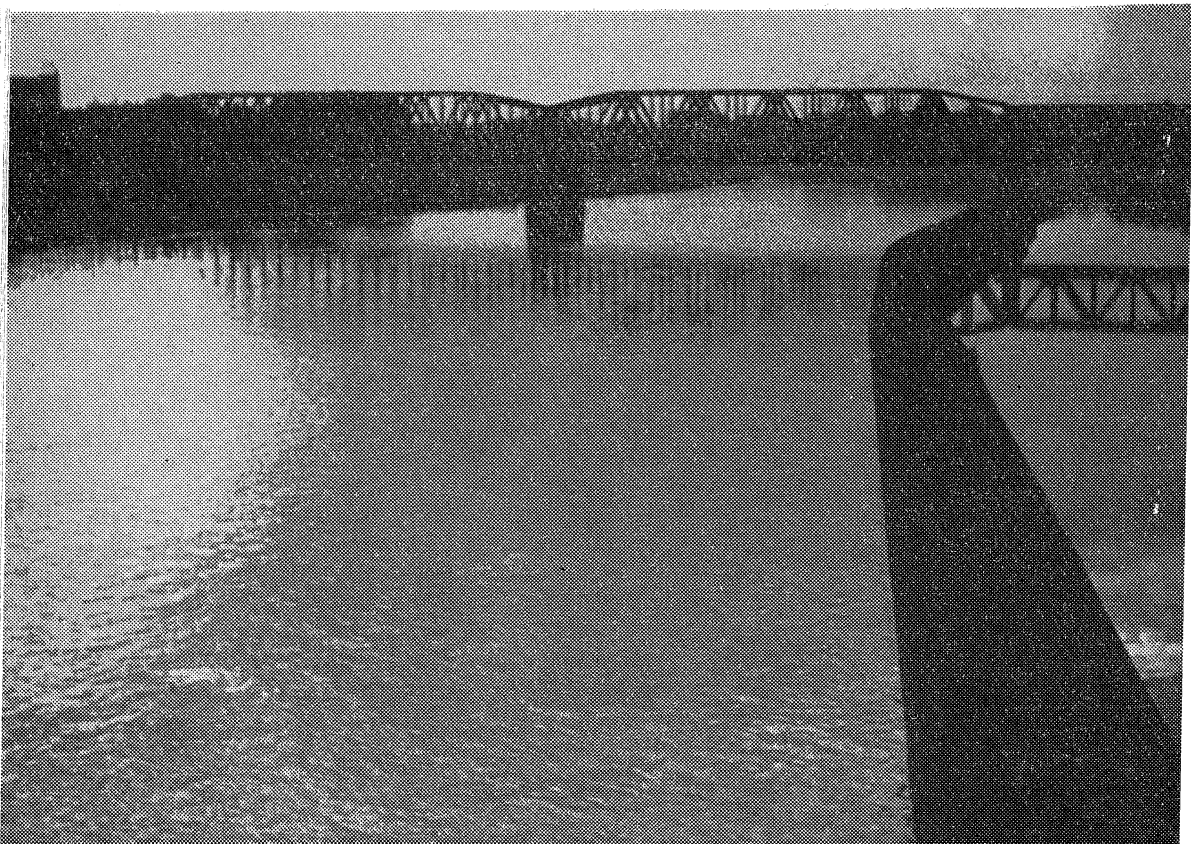
To już związki i zespoły naturalne, wynikające z działania czynników naturalnych, niekoniunkturalnych, organizowane i organizujące się na zasadzie danych ekonomiki i geografii gospodarczej, ignorujące sztuczne i przypadkowe kryterium granicy roku 1939.

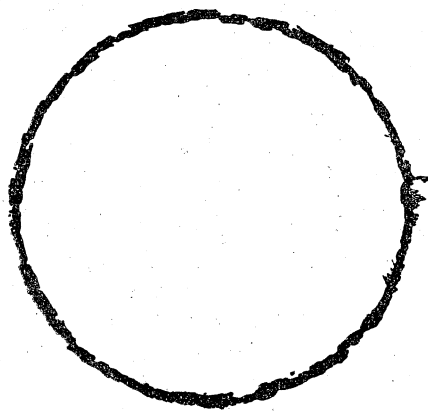
Zagadnienie nie polega przecież na tym tylko, czy pisać „Ziemia Zachodnie” czy może „ziemia zachodnie”. Nie jest istotne, czy będziemy w tym wypadku używali wielkich czy małych liter, rzecz ma wymiar szerszy, niż tylko ortograficzny. Idzie o ostateczne przekreślenie w codziennym słownictwie — tak jak dokonało się to już w rzeczywistości — wyobrażenia obszarów odzyskanych w roku 1945 jako jakiejś całości przeciwstawnej czy po prostu odrębnej od reszty terytorium państwa. O nic więcej, ale i o nic mniej.

To kwestia zgodności potocznie stosowanych określeń i pojęć z faktami, do których się odnoszą, które mają opisywać. To zarazem sprawa wyciągnięcia ostatecznych konsekwencji z dokonanej już bezapelacyjnie integracji wszystkich ziem polskich. Wszelkie ich wewnętrzne podziały, mające sens dla bieżącej pracy i planowania przyszłości, oderwały się od sytuacji roku 1945, co należy spostrzec i wyciągnąć stąd wnioski — nawet dla potocznego języka.

I. Rutkiewicz

Fot. Zdzisław Zieliński





O NIEMCZECH BEZ UPRZEDZEŃ

ROMAN WERFEL

Stosunek do Niemców, stosunek do Niemiec, do obu państw niemieckich — to jedna z najbardziej skomplikowanych spraw świadomości politycznej naszego społeczeństwa. Ale zarazem jedna z najbardziej kluczowych. Dlatego sądzę, że warto o niej pomówić na chłodno, bez przesady i bez egzaltacji.

Powiedzmy przede wszystkim jedno: odrzucamy wszelki rasizm. Napisałem wyraźnie: wszelki. A więc zarówno proniemiecki, który w Niemcach widzi wybraną przez historię rasę panów, jak i antyniemiecki, który widzi w Niemcach potępioną przez historię rasę urodzonych zbrodniarzy, gnębieli, morderców i oprawców.

Postawmy dwa pytania: jak ukształtowała naród niemiecki historia i jakie jest jego — a ściślej mówiąc różnych jego warstw kierowniczych — obiektywne położenie w chwili obecnej.

Czemu Niemcy poszły za Hitlerem?

Sięgnijmy myślą czterdzieści lat wstecz.

Jeszcze na początku lat dwudziestych partia hitlerowska była niewielką grupką bynajmniej nie nadającą tonu wśród różnych kierunków skrajnej pra-

wicy niemieckiej, a sam Adolf Hitler niedaleko odszedł od roli małego szpicelka w służbie jakiegoś tam wydziału sztabu Reichswehry — roli, od jakiej zaczynał.

Godzina Hitlera wybiła kilka lat później, kiedy wielki kryzys ekonomiczny lat 1929—1930 wstrząsnął Europą. Fala zrozpaczonego drobnomieszczaństwa niemieckiego runęła pod sztandary swastyki. Byłem w Niemczech w roku 1930. Sporo jeździłem wtedy po tym kraju. Wszędzie w przedziałach kolejowych komiwojażerowie, mali urzędnicy, chłopci jadący do powiatowego miasta powtarzali: „Teraz głosujemy na Hitlera. Jeśli on nie pomoże, pójdziemy do komunistów”. Klasa robotnicza, przygnieciona masowym bezrobociem, nie była w stanie kontratakować. W wyborach roku 1930 partia hitlerowska wyrosła po raz pierwszy w potężne stronnictwo polityczne.

Wyłania się pytanie: dlaczego ludzie ci poszli za Hitlerem, dlaczego nie poszli od razu do komunistów? Dlaczego kryzys — świadectwo bankructwa kapitalizmu — nie skierował ich na lewo, do obozu wrogów kapitalizmu, lecz na prawo, do dosyć słabo maskujących się antykapitalistycznym frazesem tegoż kapitalizmu najzacieklejszych obrońców i zbirów?

Myszę, że na takim rozwoju wypadków zaciążyły w bodaj decydującym stopniu przeżycia narodu niemieckiego w ostatnich dwóch wiekach. Pod tym względem Niemcy znalazły się w położeniu wręcz przeciwnym do sytuacji Polski.

U nas upadek szlacheckiej Rzeczypospolitej sprawił, że w nowych czasach, jakie nadeszły z rozwojem kapitalizmu, tradycyjne siły Polski feudalnej nie mogły sprawować rządu dusz w narodzie. Sytuacja poćwiartowanego kraju pchała wszystko, co było żywe w społeczeństwie polskim, w stronę ogólnoeuropejskiego postępu.

Układ zaś sił w Niemczech sprawił, że rolę jednoczyciela ziem niemieckich wzięła na siebie monarchia pruska, monarchia przede wszystkim junkierska, a więc już wtedy reprezentująca czynnik jeśli nie wręcz wsteczny, to co najmniej opóźniający, hamujący. Nic dziwnego, że wykonała ją we właściwy sobie sposób. To znaczy dyskontując każdy dokonany przez naród niemiecki krok naprzód na rzecz tych właśnie reakcyjnych sił społecznych.

Pierwszy poryw wolnościowy narodu niemieckiego — powstanie przeciwko Napoleonowi w roku 1812 zostało z miejsca ujęte w karby hohenzollernowskiej dyscypliny i wykorzystane do przywrócenia władzy i przywilejów kilkudziesięciu drobnych i średnich tyranów feudalno-absolutystycznych, którym Napoleon — syn wyrodny, ale przecież syn Wielkiej Rewolucji — nieco przyciął pazury.

Rok 1848. Barykady Berlina czy Drezną nie miały dalszego ciągu: lud, klasa robotnicza nie dojrzały jeszcze do samodzielnej polityki, mieszczaństwo niemieckie nigdy się na nią nie zdobyło. Liberalno-mieszczańskie zgromadzenie frankfurckie rozbiegło się na widok pruskich grenadierów.

Rok 1871. Zjednoczenie narodu niemieckiego w jednej Rzeszy Niemieckiej dokonało się w wyniku niesprawiedliwej wojny, sprowokowanej w niezwykle przemysłny sposób przez „żelaznego kanclerza” Bismarcka. W rezultacie zjednoczenie narodowe nie osłabiło, lecz wzmocniło w społeczeństwie niemieckim wpływ sił tradycyjnych — junkierstwa, kościoła protestanckiego, dynastii.

W wyniku realizacji zjednoczenia narodowego w tej właśnie junkierskiej, później junkiersko-wielkokapitalistycznej postaci (Lenin mówił w tym kontekście o „pruskiej drodze” rozwoju kapitalizmu), mamy w Niemczech nie tylko daleko idące ograniczenia swobód demokratycznych, tego najistotniejszego dla mas ludowych elementu zjednoczenia narodowego. Mamy również

opóźnienia w spełnianiu tych zadań, które w narastającym nowym okresie kapitalizmu sam wielki kapitał stawiał swemu burżuazyjnemu państwu.

Tak np. na podbój kolonii Rzesza Niemiecka wyruszyła dopiero u samego schyłku XIX wieku, znacznie później niż jej konkurenci; do podziału świata między mocarstwa kolonialne Niemcy zgłosiły się jako partner wtedy, gdy co tłustsze kąski były już zagarnięte przez kogoś innego.

Jakie wnioski mógł z tego wyciągnąć wielki kapitał niemiecki i jego państwo? Oczywiście — nie potępienie kolonializmu. Stworzenie siły dla rewizji dotychczasowego podziału świata. Pierwsza wojna światowa była wojną o nowy podział świata. Wojną obustronnie niesprawiedliwą. Ale siłą bezpośrednio agresywną, narzucającą termin wojny, była Rzesza Niemiecka. I ta jej rola wynikała z najgłębszej treści nowoczesnego państwa wielkokapitalistycznego, imperialistycznego, które spóźniło się do podziału łupów kolonialnych.

Trzeba było czterech lat wojennych wyrzeczeń i ofiar, trzeba było oczywiście beznadziejności dalszego wysiłku wojennego, by bunt marynarzy w Kilonii zapalił płomień ogólnoniemieckiej rewolucji demokratycznej, by klęska w wojnie światowej spowodowała upadek monarchii Hohenzollernów, która tę wojnę spowodowała.

„Cesarz odszedł, ale generałowie zostali” — w tym gorzkim tytule książki Pliviera zostały podsumowane rezultaty listopada 1919 r. w Niemczech. Cesarz odszedł — a wraz z nim monarchia, kurialne prawo wyborcze w Prusach, formalne przywileje obszarnictwa. Generałowie zostali — przetrwał burzę aparat państwowy klas wyzyskujących, klasowa władza wielkiego kapitału. W ostatecznym rezultacie w nowej, na pozór bardziej demokratycznej formie utrzymały władzę stare klasy społeczne — ze stosunkowo niewielkimi tylko przesunięciami.

W efekcie utrzymały się i wpływy tych klas na przeważną część społeczeństwa niemieckiego. Przede wszystkim w formie bezpośredniej — stronnictw jawnie i zdeklarowanie burżuazyjnych, nacjonalistycznych, prawicowych. Na skrajnej prawicy pojawili się „Voelkische” — hipernacjoniści. Powstała słynna „Dolchstosslegende” — legenda o tym, jakoby nikczemny cios sztyletem w plecy, zadany przez marksistowsko-żydowskich spiskowców, zwałił armię cesarską, znajdującą się w przededniu wspaniałego zwycięstwa. Obok materialnej bazy reakcji niemieckiej — utrzymania władzy klas wyzyskujących w państwie i w gospodarce narodowej — umacniała się baza ideowa: reakcyjna, nacjonalistyczna ideologia większości społeczeństwa, przenikająca tysiącnymi kanałami do socjaldemokracji i znajdującej się pod jej wpływami poważnej części niemieckiej klasy robotniczej.

Czyż można się dziwić, że w roku 1933, kiedy pod Niemcami zatrzęsa się ziemia, kiedy miliony szukały pracy, a dalsze miliony drżały na myśl o jej utracie — warstwy społeczeństwa wychowane w kulcie „żelaznego kanclerza”, łączące obraz nawet umiarkowanej lewicy z przegraną w pierwszej wojnie światowej, związane tysiącnymi nićmi ideowymi z obozem junkiersko-wielkokapitalistycznym (a warstwy te stanowiły poważną część narodu) szukały ratunku na prawicy?

W roku 1933 Adolf Hitler został kanclerzem Rzeszy. I — pomógł. Przed Hitlerem był kryzys, bezrobocie, bałagan. Po objęciu władzy przez Hitlera fabryki zaczęły znowu dymić, pieniądź zaczął płynąć po kraju szerokim strumieniem. Ze ten strumień szeleścił inflacyjnymi papierkami, że fabryki dymiły dla zbrojeń, że u kresu wszystkiego stała znowu wojna — i to wojna wielokrotnie straszniejsza od pierwszej, wojna, która przeniosła burzę zniszczenia

do samego serca Niemiec? Mieszczuch niemiecki o tym wtedy jeszcze nie wiedział, a tym, którzy to widzieli i głośno o tym mówili, zamykano usta w sposób niezwykle skuteczny.

Oburzamy się dzisiaj na zachodnioniemieckie podręczniki, opowiadające dzieciom, jak to za Hitlera budowano autostrady i zlikwidowano bezrobocie. Tragedia polega nie na samych autorach podręczników. Tragedia polega na tym, że tak, jak ci autorzy, myślały (i myślą po dziś dzień) miliony, dziesiątki milionów ludzi w Niemczech, dobrych mężów i ojców rodziny, amatorów muzyki i filatelistyki, nosicieli wszelkich możliwych cnót rodzinnych. Tragedia leży w tym, że takie rozumienie sprawy odzwierciedla ich apercpcję reżymu hitlerowskiego, określoną kręgiem ich własnych przeżyć z tego okresu.

Hitleryzm pod jednym względem udoskonalił tradycyjną praktykę imperia-
lizmu: uczynił jego bezpośrednimi współnikami o wiele szersze warstwy ludzi.

Wypadło mi kiedyś, jeszcze w roku 1945, przeglądać w Łodzi album rodzinny, pozostawiony przez jakiegoś pomniejszego dygnitarza hitlerowskiego. Człowieka pochodzącego z rodziny bynajmniej nie wielkoburżuazyjnej. Powtarzały się w korespondencji wspomnienia o tym, jak to kiedyś ojciec chodził „stempeln” (to znaczy — odbierał zasiłek dla bezrobotnych, otrzymując odpowiednią pieczętkę w urzędzie zatrudnienia) i jak to obecnie w Litzmannstadt cudownie się całej rodzinie powodzi. Nie wiem, czy ktoś z tej rodziny przeżył ucieczkę z Łodzi zimą 1945 r. Ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że w jej wspomnieniach okres hitlerowski łączy się nie ze straszliwymi przeżyciami zimowego „trecku na zachód”, lecz z litzmannstadzkimi „złotymi czasami”, a odpowiedzialnością za „treck” i jego ofiary obciąża się rosyjskich i polskich „podludzi”.

Oblicze Bonn

Istnieją dzisiaj dwa państwa niemieckie. W tym fragmencie szkicu będę mówił o Niemczech zachodnich.

Kapitał niemiecki — to kapitał imperialistyczny, który już dwa razy rozpętał wojnę światową i oba razy ją przegrał. Kapitał niemiecki stracił w klęsce III Rzeszy całą środkowo-wschodnią i południową część Europy, stanowiącą od wielu dziesięcioleci właściwe jego tereny myśliwskie. Stracił polskie Ziemie Zachodnie, stracił wreszcie jedną trzecią część własnego terytorium narodowego — dzisiejszą NRD.

Obecny układ sił w Europie, określony granicami poczdamskimi, ogranicza bazę surowcową, przemysłową i ludzką kapitału zachodnioniemieckiego, stawia go w pozycji upośledzonej w stosunku do jego konkurentów. Stawia w pozycji upośledzonej tych, którzy już dwukrotnie sięgali po panowanie nad światem, posługując się przy tym takimi zbrodniarzami jak Adolf Hitler. Czyż można przypuszczać, że teraz pogodzą się z nową sytuacją, jeżeli będą mieli nadzieję na jej zmianę?

Mógłby ktoś zapytać, czy dla wielkiego kapitału Niemiec zachodnich nie ma innego jeszcze, nazwijmy je tak: austriackiego wyjścia. Pogodzenia się z realnym stanem rzeczy i rozwijania na gruncie właśnie tego stanu rzeczy stosunków handlowych z olbrzymim rynkiem socjalistycznym, zaczynającym się przecież tuż, nad Łabą, i posiadającym nie od dziś powiązania handlowe z przemysłem niemieckim?

Czy mogłoby to być wyjście realne? Na pewno mogłoby zapewnić przemysłowi zachodnioniemieckiemu koniunkturę o wiele trwalszą i zdrowszą niż obecna. Są pewne symptomy wskazujące, że nawet wśród magnatów finansowych Niemiec zachodnich gdzieś tłuką się tego rodzaju bardziej trzeźwe koncepcje. Faktem jest jednak, że decydujące w tej chwili ośrodki wielkiego

kapitału niemieckiego dalekie są od tego rodzaju koncepcji, natomiast bez widocznych zastrzeżeń i wątpliwości popierają — więcej: są inspiratorami i promotorami polityki agresywnych odwetowców, wojującego szowinizmu niemieckiego, krótko mówiąc — polityki Adenauera.

Skoro pozostały u steru kraju te same siły społeczne, które wyniosły do władzy Hitlera i których interesy wyrażał reżym hitlerowski, to jasne, że i aparat polityczno-administracyjny obsadzić musieli byli hitlerowcy. Można było, rzecz jasna, usunąć najbardziej skompromitowanych już oczywistymi zbrodniami wojennymi (choć i o to nie było bynajmniej łatwo, jak świadczą casus Oberlaender i casus Globke). Ale szeregowego wykonawcę, by tak rzec, szarego gestapowca czy kripowca, szeregowego nauczyciela gimnazjum czy profesora uniwersytetu nikt nie chciał zastępować — i nie zastępował — kim innym. To połączenie starych warstw panujących i starej kadry administracyjno-politycznej musiało dać w rezultacie umocnienie również starej atmosfery moralnej i ideowej.

Prawda, i w Niemczech zachodnich są siły postępowe. Są komuniści, zepchnięci do podziemi. Są humanistyczni, liberalni, pacyfistyczni intelektualiści — 1.500 takich „zdrajców narodu” napiętnowała niedawno prasa pana Globkego. Są prości ludzie, którzy nie chcą wojny — 30.000 takich ludzi wyszło niedawno w spontanicznej demonstracji na ulice Monachium, gdy miasto to zaszczycił swą wizytą wybitny ekshitlerowski a obecnie amerykański „spec” od wojny rakietowej, syn dolnośląskiego junkra Werner von Braun.

Na pewno — siły takie istnieją, ale są mniejszością ideową narodu. Izolowaną i rozproszoną. Osaczoną nie tylko przez adenauerowski aparat przymusu, przez ekshitlerowskich publicystów odwetowych i działaczy SPD węszących za „kryptokomunistami”. Są mniejszością, której głosy tłumi atmosfera stworzona na zachód od Łaby. Atmosfera posthitlerowskiego kołtuna.

Dyplomacja USA a renesans szowinizmu niemieckiego

Przyszły historyk zachodnioniemieckiego ruchu odwetowego w ogóle, a antypolskiego rewizjonizmu zachodnioniemieckiego w szczególności, szukając zdarzenia, które stoi u początku tego ruchu, będzie musiał zatrzymać się przy osobie amerykańskiego sekretarza stanu, Byrnesa. Jego przemówienie w Stuttgarcie w roku 1946 było przysłowiowym zielonym światłem dla zachodnioniemieckiego rewizjonizmu. To on po raz pierwszy sformułował wszystkie fałszywe argumenty stanowiące do dzisiaj podstawową broń wszelkich organizacji ziomkowskich.

Śmieszne byłoby twierdzenie, że dopiero Byrnes, a ściślej mówiąc: polityka rządu USA nauczyła agresywności, odwetowości i szowinizmu wielki kapitał niemiecki (pamiętajmy: właściwego twórcę hitlerowskiej III Rzeszy) albo ludzi typu Oberlaendera, Globkego, Straussa (też III Rzeszy wiernych palatynów). Niemiecki imperializm, niemiecka reakcja, zaborcze dążenia klas posiadających Niemiec są o wiele starsze, aniżeli ingerencja amerykańska w sprawy europejskie. Cyklonu do Oświęcimia dostarczała IG Farbenindustrie na własny rachunek i z własnej nie przymuszonej woli. Oberlaender nie potrzebował przeszkolenia w Pentagonie, by przodować w antyradzieckiej i antypolskiej nagonce. Czy jednak, zakładając maksimum złej woli kierowników IG-Farbenindustrie i Oberlaendera, mogli oni w roku 1946 na własną rękę podjąć na nowo akcję odwetową? Odpowiedź jest jasna. Nie mogli, gdyż byli pobici,

gdyż nawet formalnie byli skrępowani przepisami uchwał poczdamskich. Zdjąć tych więzów z siebie sami nie byli w stanie.

Ostatnio wydana została po polsku książka — ni to powieść, ni to reportaż — „Off limits” Hansa Habego. Autorem tej książki nie jest człowiek związany z obozem socjalistycznym. Hans Habe jest niemieckim liberałem, który z całym zaufaniem współpracował z władzami wojskowymi USA widząc swój ideał w „amerykańskim sposobie życia”. I właśnie dlatego jego świadectwo jest wręcz wstrząsające. Ustala ono z całkowitą precyzją odpowiedzialność amerykańskich władz okupacyjnych za odrodzenie szowinizmu i tendencji odwetowych po zachodniej stronie Łaby.

Odpowiedzialność — to nie znaczy bynajmniej wyłączne kierownictwo. IG-Farbenindustrie, Strausowie i Adenauerzy, mając rozwiązane ręce, działają zgodnie z własnym charakterem i własnymi interesami. Zachodnioniemiecki imperializm — to drapieżnik kierujący się swymi drapieżczymi instynktami, polujący zgodnie ze swą rozbójniczą naturą. Ale trzeba wiedzieć, że ta samodzielność polityki Bonn jest ograniczona.

Gesty samodzielności rządu zachodnioniemieckiego nie dotyczą niezależności od sojuszu atlantyckiego, od agresywnej polityki tego sojuszu. Cała racja stanu Bonn, cały kierunek jego rozwoju tkwią swymi korzeniami w tej właśnie polityce. Bez NATO, bez „zimnej wojny”, której NATO jest pierwotnym dzieckiem, republika federalna nie osiągnęłaby ani jednej dziesiątej swych dotychczasowych sukcesów. Gesty, o których mowa, dotyczą samodzielności w ramach sojuszu atlantyckiego, samodzielności w kierunku zaostrzenia „zimnej wojny”, hamowania wszelkiego porozumienia między Wschodem a Zachodem.

Rola położnej, jaką przy odrodzeniu agresywności zachodnioniemieckiej odegrały Stany Zjednoczone, wywołuje szereg komentarzy. Komentarzy nie zawsze trafnych. Jednym — popularnym w kołach antyfaszystowskich — jest wskazywanie na wpływową pozycję Amerykanów pochodzenia niemieckiego w życiu politycznym Stanów. Inne, popularne wśród niektórych naszych — nazwijmy ich tak — konserwatystów społecznych, tłumaczy, że USA ponoć tylko dlatego poparły Niemcy zachodnie, iż Polska, Czechosłowacja i inne kraje leżące między Niemcami a Związkiem Radzieckim, stały się krajami socjalistycznymi. Prawdziwe jednak nie jest ani jedno, ani drugie tłumaczenie.

Na pewno — związki Amerykanów pochodzenia niemieckiego mają w Stanach silne wpływy. Ale czy równocześnie nie działa przeciwko Niemcom zachodnim wpływ bynajmniej nie mniej potężnych organizacji Amerykanów pochodzenia słowiańskiego i żydowskiego, w ich masie, przy całej ich politycznej reakcyjności, raczej Niemcom niechętnych?

Na pewno — socjalistyczny charakter europejskich krajów demokracji ludowej daje pewne argumenty zwolennikom antypolskiego czy antyczeskiego rewizjonizmu niemieckiego w USA. Ale wyobraźmy sobie na sekundę że jest inaczej. Czy wtedy pozycja rządu USA wobec pretensji Niemiec do Polski i Czechosłowacji byłaby mniej sprzyjająca Niemcom? Kiedy się szuka ochotników na awanturę antyradziecką — czyż nie jest jasne, że wzrok zatrzymuje się przede wszystkim na kilkudziesięciomilionowym narodzie, który dopiero niedawno wojował ze Związkiem Radzieckim i odebrał odeń potężne ciosy, narodzie o starych tradycjach militarystycznych i reakcyjnych? Któż odmówiłby takiemu narodowi — kandydatowi na taran nowej krucjaty antybolszewickiej — drobnej przyjemności połknięcia po drodze dwóch małych słowiańskich narodzików? Warto przypomnieć tu lata 1938 i 1939.

Poparcie USA dla remilitaryzacji Niemiec zachodnich, dla rozwoju zachodnioniemieckiej agresywności i ruchu odwetowego wynika z zasadniczego kierunku amerykańskiej polityki ostatniego dziesięciolecia — kierunku rozpętywania i wzmagania „zimnej wojny”, zawracania wstecz koła historii. Stany Zjednoczone cofną swoje poparcie dla Bonn dopiero wtedy, kiedy ulegnie zmianie ten zasadniczy kierunek. Czy zmianie ulegnie? Na pewno, gdyż beznadziejność dotychczasowej polityki USA, jej sprzeczność z rzeczywistymi tendencjami rozwojowymi sytuacji międzynarodowej staje się z każdym rokiem bardziej oczywista. Ale siły zainteresowane co najmniej w odwleczeniu wszelkiej takiej zmiany są w świecie kapitalistycznym potężne.

Rzecz jasna, gdy nastąpią przemiany w polityce Stanów, wówczas i NRF nie będzie mogła trwać sztywno na pozycjach nieprzejednanej zimnowojennych.

Logika rozwoju, która wiedzie w przepaść

Z tej szczególnej roli, jaką w systemie zachodnich sojuszków odgrywa NRF, z tej premii za agresywność, rewizjonizm, antysocjalizm, jaką nagradzają ją siły zimnowojenne za oceanem, wynika szczególna logika rozwoju tego kraju.

Gdy analizujemy rozwój wewnętrzny dzisiejszych Niemiec zachodnich, jedno zjawisko zarysowuje się w sposób niezwykle dobitny: stopniowy rozwój adenauerowskiej CDU w jedną i coraz bardziej jedyną partię jawnie burżuazyjną, pochłaniającą stopniowo wszystkie inne, mniejsze ugrupowania mieszczańskie. Proces tworzenia w Niemczech zachodnich monopartii posunął się — i to w warunkach normalnej koniunktury gospodarczej, bez jakichkolwiek zewnętrznych wstrząsów — już dosyć daleko, przy czym równoległe z tym procesem dokonuje się proces drugi: wysuwania się na czoło tej monopartii coraz bardziej reakcyjnych, coraz bardziej agresywnych, coraz jawniej odwetowych czynników. Losy byłego ministra spraw wewnętrznych Bonn, Heinemanna, zmuszonego do ustąpienia z urzędu i wystąpienia z CDU, los działaczy związkowych należących do CDU, pozbawionych dziś niemal całkowicie wpływu na politykę własnej partii, stopniowe rugowanie Erharda przez koła związane ze Straussem — wszystko to są etapy jednego procesu. Przy czym — i to jest znowu czynnik niemało ważny — pozostałe partie zachodnioniemieckie, łącznie z SPD, coraz bardziej dostosowują się nie tylko w swej polityce, ale nawet w swej terminologii do tej coraz bardziej rozwijającej się na prawo CDU. Dzisiejsze Niemcy zachodnie są bardziej reakcyjne, bardziej agresywne, bardziej prowojenne, niż republika weimarska z roku, powiedzmy, 1928, ostatniego roku mniej więcej normalnego rozwoju tego kraju.

Niektórzy przeczą tej tezie, powołując się na daleko posuniętą depolityzację ludności zachodnioniemieckiej. Apolityczny mieszczech — to nie jest oparcie dla dążeń pokojowych. Apolityczny mieszczech — to w czasach koniunktury bezczynność wobec tych, którzy przygotowują wojnę i głoszą agresję. To w momencie zachwiania równowagi gospodarczej gotowy materiał dla każdego demagoga, który w Polakach, „Żydach i cyklistach” wskaże właściwych winowajców trudności gospodarczych, a w agresji na Wschód — drogę wyjścia z tych trudności.

W latach 1929—1930, gdy wzbierała pierwsza wielka fala hitlerowska, nie aktyw partii politycznych, nawet partii mieszczańsko-demokratycznych, przerzucił się na stronę brunatnych koszul. Ten aktyw raczej stawiał jeszcze jakiś, dosyć zresztą niedołężny opór. Runęła za Hitlerem fala „Mitläuferów” — apolitycznych wyborców, uwrażliwionych przez kryzys na czary demonicz-

nego Adolfa. Poszedł za Hitlerem właśnie apolityczny mieszcuch, ten sam, który obecnie na zachód od Łaby wyrósł do wręcz gigantycznych rozmiarów.

Nie chciałbym być źle rozumiany. Podkreślając reakcyjny charakter Niemieckiej Republiki Federalnej, daleki jestem od przeceniania jej rzeczywistych możliwości agresywnych.

Od agresji hitlerowskiej przeciwko Polsce dzieli nas z górą dwadzieścia lat. W ciągu tych dwudziestu lat Związek Radziecki — pogromca Hitlera w drugiej wojnie światowej — wyrósł na czołowe mocarstwo świata, sprzymierzone z jedną trzecią ludzkości — rodziną państw socjalistycznych.

To jest podstawowa zmiana w międzynarodowym układzie sił, która sprawia, że potencjał zachodnioniemieckiego imperializmu, mimo zasilania go amerykańską bronią, nie jest tak wielki, by wywoływać jakąkolwiek panikę. Sojusz polsko-radziecki, przynależność Polski Ludowej do zespołu państw socjalistycznych, istnienie drugiego państwa niemieckiego — NRD — oto obiektywne czynniki, pomniejszające realne możliwości działania antypolskiego rewizjonizmu zachodnioniemieckiego. Jest to zarazem odzwierciedlenie — na konkretnym polskim odcinku — przemian zachodzących w międzynarodowym stosunku sił, przemian zdecydowanie pomniejszających w perspektywie wagę Niemiec zachodnich w polityce światowej, redukujących ich możliwości podejmowania awantur na własną rękę.

Ale trzeba wyraźnie powiedzieć: nie zmniejsza to w niczym niebezpieczeństw związanych z polityką NRF wewnątrz sojuszu atlantyckiego, z jej charakterem czynnika we własnym interesie zakłócającego atmosferę międzynarodową, usztywniającego i wzmacniającego wszystkie tendencje zimnowojenne w świecie zachodnim.

NRD — nowy czynnik w polityce niemieckiej

Powiedzieliśmy przed chwilą: obok NRF istnieje Niemiecka Republika Demokratyczna. Państwo obejmujące 17 milionów — około jednej trzeciej całego narodu niemieckiego. Na czym polega historyczne znaczenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej?

Przede wszystkim na tym, że w NRD unieszkodliwione zostały w sposób ostateczny te siły społeczne, które były nosicielami wszelkiej dotychczasowej agresji niemieckiej: niemieckie junkierstwo i wielki kapitał, których interesy materialne wymagały i wymagają agresji przeciwko Wschodowi czy przeciwko jakiemukolwiek innemu krajowi.

Po drugie na tym, że razem z klasami wstecznymi wyeliminowane zostały od wpływu na społeczeństwo, zwłaszcza zaś na młode pokolenie, te warstwy, które były z nimi najgłębiej związane ideowo.

Nauczycielstwo niemieckie, to nauczycielstwo, któremu — według znanego powiedzenia — Hohenzollernowie zawdzięczali zwycięstwo pod Sedanem, a więc i koronę cesarską, to nauczycielstwo, które później w przeważnej swej masie entuzjastycznie poszło za Hitlerem — zostało całkowicie zmienione. To samo dotyczy korpusu oficerskiego — tej tradycyjnej twierdzy wszelkiej reakcji niemieckiej. Mniej niż jeden procent oficerów dzisiejszej Armii Ludowej NRD było oficerami w jakiegokolwiek dotychczasowej armii niemieckiej.

Po trzecie — na gruncie tych zasadniczych przemian społecznych przeprowadzono w NRD dogłębną, bezwzględną krytykę wszystkich tych poglądów, postaw, koncepcji, które w rezultacie składały się na reakcyjną, szowinistyczną mentalność większości przedwojennego społeczeństwa niemieckiego. Stanowisko NRD wobec granicy na Odrze i Nysie — stanowisko niewątpliwie

najbardziej interesujące naród polski — jest tu tylko jednym z drobnych fragmentów.

W sumie: Niemiecka Republika Demokratyczna — to pierwsza poważna zwycięska próba sił postępowych Niemiec, próba wzięcia na swe barki odpowiedzialności za losy całego narodu, pokierowania tymi losami inaczej, aniżeli kierowały nimi junkierstwo i wielki kapitał.

Jest taki pogląd systematycznie lansowany przez radiostacje zachodnie: NRD zawdzięcza swe istnienie przede wszystkim pomocy radzieckich władz okupacyjnych. Na pewno jest tak, że władze radzieckie, w odróżnieniu od okupantów zachodnich, z całą stanowczością usuwały od wpływu na sprawy publiczne w swej strefie czynniki związane uprzednio z reżymem hitlerowskim. Na pewno to ich polityka przyczyniła się w poważnej mierze do umocnienia w społeczeństwie wschodnioniemieckim pozycji sił konsekwentnie antyfaszystowskich, przede wszystkim — komunistów niemieckich.

Ale na to, by polityka władz radzieckich dała takie rezultaty, musiały w samym społeczeństwie niemieckim istnieć tak silne czynniki antyfaszystowskie, by ich liczebność i możliwości ideowe były dostateczne dla osiągnięcia tych rezultatów. Kto sądzi, że ustrój Niemieckiej Republiki Demokratycznej jest obcy narodowi niemieckiemu jako całości, ten w gruncie rzeczy — często na pewno mimo woli — staje na gruncie rasizmu. Rasizmu formalnie antyniemieckiego, ale faktycznie, w swej merytorycznej treści identycznego z rasizmem hitlerowskim.

Czyż trzeba przypominać, że językiem, w którym napisany został „Manifest Komunistyczny” i „Kapitał”, był język niemiecki? Czyż trzeba przypominać, że jeżeli w republice weimarskiej zwyciężyli magnaci przemysłowi i wilhelmowscy generałowie, to droga do ich zwycięstwa prowadziła przez zalane krwią robotniczą ulice Berlina, miast saksońskich i nadreńskich?

Każdy więzień hitlerowskich kacetów wie dobrze, że pierwsi polscy „haeftlingowie”, którzy tam się zjawili, spotkali już zadowolonych lokatorów — pierwsze ofiary hitlerowskiego terroru: niemieckich komunistów i socjalistów.

Trzeba, żeby każdy myślący Polak uświadomił sobie: istnieją dwa państwa niemieckie. W jednym uczą chwały Zakonu Krzyżackiego, coraz bardziej skąpomówią o przestępstwach III Rzeszy (za to coraz więcej o jej autostradach...), umieszczają na wszystkich szosach drogowskazy „Nach Breslau”, „Nach Stettin”, „Nach Oppeln”. W drugim uczą dzieci o tym, jakie zbrodnie popełniali feudałowie niemieccy wobec niemieckich chłopów i wobec innych narodów, opowiadają szczegółowo o zbrodniach III Rzeszy, uczą, że Wrocław, Opole i Szczecin to miasta polskie, zagospodarowywane coraz lepiej przez ich prawowitego gospodarza: naród polski.

Pozostanie historyczną zasługą niemieckich komunistów, kierownictwa SED, że zdobyli się na odwagę ideową wydania bezpośredniej frontalnej bitwy całej ideologii niemieckiego szowinizmu.

Zawsze dotąd — przynajmniej jeśli idzie o ostatnie pokolenia narodu niemieckiego — pojęcie dobrobytu łączyło się w Niemczech z panowaniem wstecnictwa, z biciem w bębny szowinizmu, z rozpychaniem się łokciami klas wyzyskujących.

Kierownicy NRD wskazują w swym programie narodowi niemieckiemu inną drogę do dobrobytu niż droga wojny, niż droga agresji, niż droga antyrobotniczej i antysocjalistycznej reakcji. Wskazują mu drogę pokojowej pracy, drogę socjalizmu.

Czyż nie jest oczywiste, że gdy to przedsięwzięcie im się uda, gdy przy-

kład NRD stanie się wzorem dla całego narodu niemieckiego, oddadzą oni niezmierną usługę nie tylko niemieckim ludziom pracy, ale i wszystkim narodom Europy, które przecież niejednemu raz cierpiały od niemieckiej agresji?

Różne rozgłosnie zachodnie, nadające swe audycje w języku polskim, próbują sugerować: rząd PRL źle czyni solidaryzując się z NRD, byłoby o wiele lepiej, gdyby Polska poparła NRF przeciwko NRD a za to — kto wie? — NRF uzna po przyjacielsku polskie granice zachodnie.

Tu chodzi nie tylko o stanowisko komunistów polskich, którzy nigdy nie dokonywali transakcji handlowych kosztem swych towarzyszy walki. Tu chodzi o elementarny rozum polityczny każdego Polaka, który zna trochę dzieje ostatnich kilkudziesięciu lat.

„Kto z diabłem chce jeść do spółki, ten musi mieć długą łyżkę” — mówi niemieckie przysłowie. Z hitlerowskim diabłem do spółki usiłował jeść imperialistyczny obiad pułkownik Beck i reżym sanacyjny w latach 1934—1939. Wiadomo, z jakim skutkiem. Wpierw coś tam mu wpadło do jego łyżeczki — Hitler zagarnął Czechosłowację a Beckowi dostało się Zaolzie. A potem — gdy Rzesza połknęła już jednych naszych naturalnych sojuszników, Beck zaś uniemożliwił nam współpracę z drugimi — sami wpadliśmy do diabelskiej warząchwi.

Chyba nikomu w Polsce nie spieszy się do powtórzenia beckowskiego eksperymentu.

Jesteśmy sąsiadami narodu niemieckiego. Sąsiadami od iluś tam wieków. Sąsiadów się nie wybiera. Sąsiadów się ma — otrzymuje się ich od historii. Na złe i na dobre. Dosyć było złego między nami a narodem niemieckim. Trzeba, aby zwyciężało to, co dobre. Polityka zagraniczna Polski Ludowej, polityka przyjaźni z postępowymi siłami narodu niemieckiego, polityka nieprzejechanego przeciwstawiania się siłom agresywnym i cierpliwego rozładowywania miejsc zapalnych, zmierza do tego właśnie celu.

Roman Werfel



**ZMIENIA
SIĘ MAPA
NADODRZA**

P o p r a w k i nieostateczne

ZBIGNIEW KREMECKI

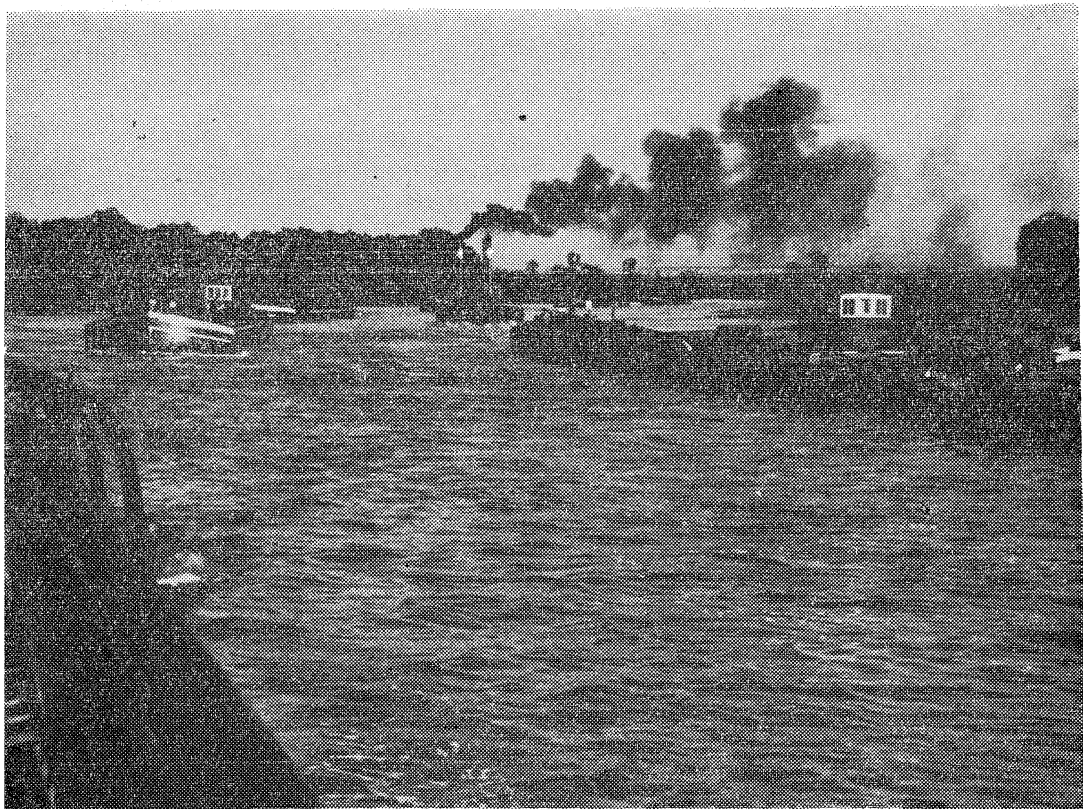
Każdy z nas, zapytany, czy zna mapę Nadodrza, odpowie bez zająknięcia, że tak. Oczywiście. No bo wiemy przecież, którądy toczy swoje wody Odra, gdzie leży Opole, Wrocław czy Szczecin. Czytamy w prasie codziennej, słyszymy w radio o nowych inwestycjach, nowych osiągnięciach i nowych miejscowościach. I dlatego powstać może pytanie, po co jeszcze raz odkrywać te znane niemal każdemu uczniakowi fakty.

A jednak warto zebrać wszystkie wiadomości prasowe, wszystkie notatki, i usiąść z nimi nad mapą Nadodrza. Jest to mapa z roku 1945. Od razu rzucają nam się w oczy pewne punkty. Tu płatanina poskręcanych konwulsyjnie stalowych konstrukcji, tam porośnięte zielskiem pola, ówdzie zwały cegieł i martwe oczodoły wypalonych domów. Nadodrze 1945...

Przypatrzymy się dobrze tej mapie, a potem sięgnijmy do naszych notatek. Porównajmy notatki z mapą i nanieśmy na nią kolorowym ołówkiem poprawki, abyśmy mogli korzystać z niej dzisiaj...

*

Nie oszczędziła wojna Odry, rzeki łączącej Górnośląski Okręg Przemysłowy z portowym Szczecinem. Poryła jej brzegi, zamuliła dno, zarzuciła je wrakami barek, płataniną przesła mostowych. Prawie pięćdziesiąt mostów i około



tyś bary leżących w wodzie uniemożliwiało żeglugę. Odrzańscy wodniacy tylko dziesiątą część taboru rzeczno-ego objęli w posiadanie. Już w sierpniu 1945 roku jednak ruszył odrzańskim szlakiem pierwszy transport węgla. Oczyszczono baseny portowe, odbudowano nabrzeża, zbudowano nowy stopień wodny, buduje się nowe zbiorniki retencyjne.

Przedsiębiorstwo „Żegluga na Odrze” otrzymało kredyty na budowę ponad 200 bary motorowych. Kanał Gliwicki łączy się obecnie magistralą wodną z Zakładami Azotowymi w Kędzierzynie. Trwają studia nad przedłużeniem tego kanału aż do kopalń górnośląskich, aby uniknąć przeładowywania węgla na wagony kolejowe i z nich na barki. W roku 1960 „Żegluga na Odrze” przewiozła prawie 2 miliony ton towaru, za 5 lat przewiezie dwa razy tyle.

Odlóżmy notatki i nakreślmy na linii Odry te poprawki. Już nie ta rzeka, co piętnaście lat temu... Porównujmy dalej.

*

598 zakładów przemysłowych, skupiających ponad 63 tys. pracowników. Ośiem wyższych uczelni. Ponad 15 tys. studentów. Dwa wydawnictwa... Wrocław.

Mówi się o nim, że jest stolicą Nadodrza i nie jest to tylko jakieś określenie honorowe. Wrocław jest potężnym ośrodkiem przemysłowym i kulturalnym, mającym niemalże udział w kształtowaniu oblicza nie tylko Nadodrza, ale i całego kraju. Ludność Wrocławia stanowi 1,4% ludności Polski. Jego udział w produkcji przemysłowej wynosi 2,6%. Zniszczenia wojenne są coraz mniej widoczne. Miastu przybywa około 6.000 izb mieszkalnych rocznie. Rosną nowe

osiedla w rejonie placu PKWN, na Hubach, Gajowicach i w rejonie ulic Przodowników Pracy i Powstańców Śląskich. W ubiegłym roku przyjęto tu na studia tylu studentów, ilu przed wojną studiowało na wszystkich latach. Wybudowana ze środków społecznych wrocławska stacja telewizyjna, na Ślęży ma największy (do 200 km) zasięg w środkowej Europie.

Elektrowozy, turbogeneratory, aparatura elektroniczna, maszyny i urządzenia przemysłowe — wychodzą z Wrocławia na rynki światowe. Uczni wrocławscy znani są ze swych prac daleko za granicami kraju. We Wrocławiu wziął swój początek światowy ruch pokoju, zainicjowany Kongresem Intelektualistów... A na naszej mapie z roku 1945 jest tu tylko zwałisko gruzów.

*

Opolskie rolnictwo. Przed wojną zbiory czterech zbóż podstawowych wynosiły tutaj przeciętnie 19,3 kwintala z 1 hektara. W roku 1959 — 19,7, a w roku 1960 — już 21,2 q z 1 hektara.

Pszonicy zbierano przed wojną 19,2 q z 1 ha, a obecnie plony wahają się w granicach 23—23,8 q z 1 ha. Niektóre powiaty osiągnęły znacznie wyższe plony od przeciętnej województwa. I tak Nysa — 24,7, Koźle — 24,4, Grodków — 25,4 q z 1 hektara.

Podobnie kształtują się zbiory żyta.

Zbiory żyta w kwintalach z 1 hektara:

	przed wojną	obecnie
pow. Prudnik	20,4	22,9
pow. Głubczyce	19,2	20,2
pow. Grodków	18,9	21,6

Nawozów azotowych, na przykład, zużywano przed wojną 17,8, a obecnie 22,4 kg na 1 hektar...

*

Nie zatarto tu jeszcze całkowicie śladów wojny. Tu i tam ruiny, ceglane pustkowia. Ale nad ruinami górują rusztowania, bloki mieszkalne, potężny kompleks fabryki celulozy i papieru. Produkcja jej wyraża się liczbą 120 ton celulozy na dobę. Około 600 tys. zł zyskał fundusz zakładowy z ubocznej produkcji terpentyny i mydła kaustycznego. W Miejskiej Radzie Narodowej Kostrzyna zasiada 13 przedstawicieli „Celulozy”. Na przedmieściu wyrosło osiedle pracowników tego zakładu, składające się z domków wielorodzinnych, otoczonych ogrodami.

*

Widzimy kotlinę między pasami lasów. Nad nią sterczą dwa szyby kopalni miedzi. Jeden z nich łączy się na 140 metrach głębokości chodnikiem ze ścianą, którą zdążono wyeksploatować tylko do 10 metrów. Pustkowia. Szyby, chodnik i ściana — zalane... Tak wygląda na naszej mapie miejscowość Iwiny. A co na to nasze wiadomości dzisiejsze?

Gdy po wojnie przystąpiono do budowy Zakładów Górniczych „Konrad” — musiano wpięć wypompować 63 miliony metrów sześciennych wody. 3.200 pracowników z okolicy — to załoga „Konrada”, który daje już obecnie około 900 tys. ton rudy. W roku 1964 wydajność wyniesie 1,5 miliona ton. Ruda idzie stąd do huty miedzi w Legnicy, wybudowanej w ostatnich latach. Huta ta jest w ciągłej rozbudowie. Procesy produkcyjne są tutaj całkowicie zmechanizowane...

Przypatrzmy się dwom miastom na mapie. Zielona Góra i Opole. Miasta, jak miasta. „Nie bardzo podle”, ale i nie wyróżniające się niczym specjalnym. W roku 1950 stały się siedzibami władz wojewódzkich. Stolicami swych województw nie tylko z nazwy.

W Opolu powstała kosztem 50 milionów zł Wyższa Szkoła Pedagogiczna. W roku 1959, na 860 wszystkich studiujących, 290 studentów pochodziło ze wsi i miasteczek Opolszczyzny. Biblioteka WSP liczy 80.000 woluminów. Posiada ponad 400 starodruków, z których najstarszy pochodzi z roku 1545. Instytut Śląski w Opolu prowadzi, obok swej działalności naukowo-badawczej, żywą działalność wydawniczą.

Zielona Góra szczyli się działalnością Lubuskiego Towarzystwa Kultury, posiadającego poważny dorobek w upowszechnianiu kultury na Ziemi Lubuskiej. LTK wydało już dotychczas 20 książek miejscowych autorów...

Przemysł Opola i Zielonej Góry rozwija się w szybkim tempie... Weźmy do ręki ołówek...

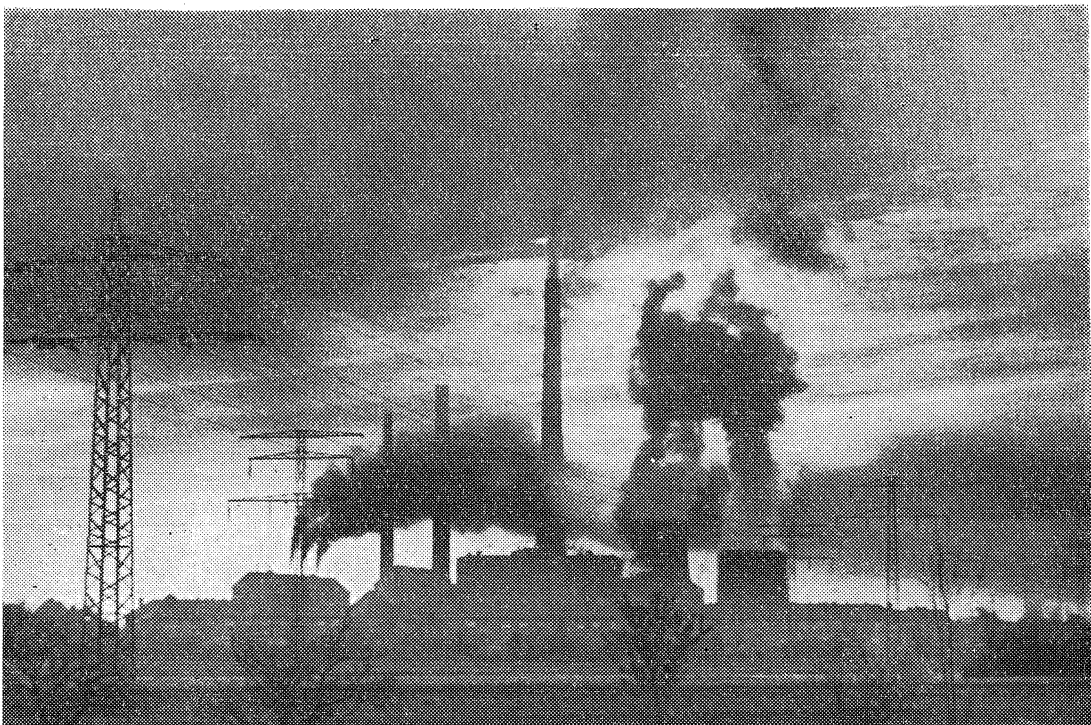
*

I. G. Farbenindustrie Heydebreck. Gdy Niemcy zaczęli budowę tej fabryki, myśleli o materiałach potrzebnych do prowadzenia wojny. Spędzono tu tysiące robotników z całej Europy. Budowy nie ukończono, a to, co zostało już wybudowane, zrównały z ziemią alianckie bombowce.

Polskie Zakłady Azotowe w Kędzierzynie zaczęto budować w roku 1948. Do roku 1956 wzniesiono tu 2,8 miliona m³ budynków, zainstalowano, 6.600 ton urządzeń kotłowych i rurociągów. Aparatura chemiczna osiągnęła wagę 25.000 ton. Po uruchomieniu tzw. „Azot I” dawał tyle produkcji, co całe Mościce, a dziś Kędzierzyn daje samego amoniaku 9–10 razy więcej. W roku 1958 wartość produkcji wynosiła przeszło 750 milionów zł. W roku 1965 wzrosła ona do przeszło 2.800 milionów zł.

*

Miasteczko stare, bo podobno już Bolesław Krzywousty tutaj był i dla minołości jeleni w okolicy nadał mu nazwę „mons cervi” — Jelenia Góra.



Stawiamy przy tej nazwie znaki.. Celwiskoza — zatrudnionych 3.500 osób. Produkcja — 25.000 ton włókna wiskozowego, 21.000 ton celulozy... Teatr dał od 1945 roku około 200 premier... Biblioteki publiczne w powiecie mają do dyspozycji czytelników 110.000 książek. Świetlice i czytelnie dysponują 23 telewizorami...

*

Na mapie wyraźnie uwidaczniają się już nasze poprawki, a stos notatek nie maleje...

Brzeg Dolny... Ruiny fabryki należącej do I. G. Farbenindustrie a produkującej „Tabun” — gaz trujący używany przez hitlerowców w obozach koncentracyjnych... Dziś — „Rokita”, zakład służący przede wszystkim przemysłowi tworzyw sztucznych. W ostatnich pięciu latach produkcja wzrosła przeszło 4-krotnie. Roczna wartość produkcji — 1.650 milionów zł.

Turoszów... Kombinat energetyczny w budowie. Elektrownia o mocy 1400 MW na bazie węgla brunatnego... Roczne wydobycie tego węgla — 6 milionów ton. Za 5 lat — 20 milionów.

Lubin... Złóża miedzi... Kopalnie, nowy kombinat hutniczy w najbliższym dziesięcioleciu...

Gorzów... Fabryka Włókien Sztucznych. Załoga młoda, współuczestnicząca w rozbudowie swojego zakładu. W roku ubiegłym uruchomiono tam dział wytwarzający benzynę syntetyczną oraz dział przeróbki włókna ciągłego, które służy do wyrobu stylonowych tkanin...

Wałbrzych... Jedyne w Polsce zagłębie węgla koksującego, z którego, obok koksu, otrzymujemy wiele produktów węglopochodnych, np. smołę pogazową, benzol, gaz świetlny... Zakłady koksownicze „Victoria” dają produkcję o rocznej wartości ponad 250 milionów zł...

*

Poprawki pokrywają już całą naszą mapę, całe Nadodrze, od Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego po Szczecin. Te dwa punkty tworzą jak gdyby kłamrę spinającą Ziemię Zachodnie. GOP — dostarczający krajowi 90% wydobycia węgla i wytopu surówki żelaza i stali, skupiający 28% ogółu robotników przemysłowych, i Szczecin — miasto zniszczone przez wojnę, a obecnie posiadające znaczenie pierwszorzędne. Port, z którego wybiega w świat 10 regularnych linii okrętowych, którego stocznie w najbliższym pięcioleciu potroją swą moc.

Miedzy tymi kłamrami ziemię pokryte naszymi znakami. Każdy znak to nowa inwestycja, nowe osiągnięcie. Jakże inaczej wygląda teraz nasza mapa sprzed lat piętnastu! Oczywiście, nie odkryliśmy żadnej nowości. Wszystko to, z czym porównujemy naszą starą mapę, działo i dzieje się na naszych oczach. Ale wiadomości zdobyte w różnych odstępach czasu, rozproszone w naszej pamięci — nie mają realnego kształtu. Przyjmujemy je jako coś oczywistego i nie staramy się nawet usystematyzować ich w naszej pamięci. Warto więc było wziąć do ręki kolorowy ołówek i treść notatek przenieść na mapę. Zniknęły z niej ruiny, ugory, pustkowia. Mnogość poprawek nadała jej plastyczności, rzec by można, wzbogaciła ją o trzeci wymiar. Wymiar minionych lat piętnastu.

Niedawno wydawnictwo „Times” wypuściło na rynek nowy „atlas świata”. W kilku językach. Także w niemieckim. Wywołało to wśród mniej lub bardziej oficjalnych czynników Niemieckiej Republiki Federalnej konsternację i protesty, gdyż, zdaniem skonsternowanych i protestujących, wydawnictwo dokonało na własną rękę poprawek, znacząc np. obecne granice Polski i podając wszystkie nazwy w polskim brzmieniu. Wynika to z mniemania,

że mapa przez piętnaście lat nie uległa żadnej zmianie. Nie mam zamiaru nikogo przekonywać o błędnym rozumowaniu, ale chyba i wiadomość o atlasie „Timesa” skłoniła mnie do naniesienia poprawek na mapę. Niepełne i nieusystematyzowane to poprawki. Jakże jednak może być inaczej, skoro każdy dzień przynosi nowe fakty i cyfry? Dziś jeszcze na polach między Lubinem a Głogowem dokonuje się próbnych wierceń, a jutro wyrośnie tam zespół trzech—czterech kopalń.

Poprawki na mapie Nadodrza okażą się znowu nieostateczne...

Zbigniew Kremecki

Fotografie Mieczysława Wróblewskiego

Górnicy (izohelia)

Fot. Leszek Sudnik



W Wydziale Architektury i Nadzoru Budowlanego Wojewódzkiej Rady Narodowej we Wrocławiu wisi duża mapa niewielkiego obszaru jednego z zakątków naszego województwa — rejonu Lubina, Polkowic, Głogowa. Głogów nie należy wprowadzić do Wrocławskiego, ale należy do tej mapy. I na dobrą sprawę po kilkugodzinnej lekturze opracowania będącego obszerną legendą do tej mapy oraz po wstępnej rozmowie z osobami zorientowanymi ta płachta papieru staje się istotną i konieczną deską ratunku, jakimś czynnikiem pozwalającym jako tako koordynować zasilaszane lub przeczytane wiadomości, ich sens, celowość.

To jest mapa, która w pełni aktualna stanie się dopiero za 15 lat. Na razie wyznacza tylko zakres, a także pozwala zorientować się co do przestrzennego rozmachu tego, co tutaj będzie. Ta mapa jest bowiem w jakiejś mierze sama po części legendą, którą następne 15 lat ma dopiero zrealizować.

Więc dlatego ciśnie się pod pióro dziesiątki wątków, dziesiątki możliwości otwarcia tego bilansu, który nie jest podsumowaniem, ale wytyczną. To jest trochę tak, jakby naraz do człowieka mówiło kilku ludzi o tej samej rzeczy, ale każdy ze swego punktu widzenia. I trochę tak, jakby się oglądało naraz dwa filmy — jeden dokumentujący to, co jest, i to, co było, drugi — trochę kreskówka a trochę reklama połączona z chęcią nauczania czegoś odbiorcy,

M i e d ź i n i e m i e d ź



R O M A N
K A R P I Ń S K I

wbicia mu w pamięć już teraz tego, w czym powinien się dobrze orientować za kilka lat i co za lat kilka będzie mógł zobaczyć na własne oczy.

Kluczem do tego splotu wrażeń i wiadomości jest słowo „miedź”.

Więc to wygląda tak (znów jakiś fragment jakiegoś filmu): pierwsze lepsze mieszkanie, które posiada gazowy piec typu „Junkers” wyprodukowany w Polsce. Piecyk nawalił. Dokładnie biorąc, zepsuły się rurki doprowadzające gaz. Ktoś odkręca palenisko piecyka i wtedy widzimy bądź domyślamy się przyczyny defektu: rurki zrobione są nie ze stopu miedzi — tak jak powinny — ale z jakiegoś zastępczego materiału, który nie jest należycie trwały i sprawny.

Inny fragment: stoisko elektrotechniczne w jakimkolwiek sklepie, „Pedecie” czy „Emhade” w Polsce. Raz po raz podchodzi doń zaaferowany jego-
mość i pyta, czy jest kabel elektryczny. I raz po raz słyszy odpowiedź, że nie, kabla nie ma. Może za tydzień.

I tak dalej. Przez ten czas głos komentatora: Miedź — metal oznaczany w Tablicy Mendelejewa symbolem Cu — stanowi we współczesnej cywilizacji jeden z niezwykle ważnych surowców w istotnym stopniu warunkujących rozwój takich gałęzi gospodarki, jak elektrotechnika, elektronika, przemysł maszynowy, motoryzacyjny. Metal ten znajduje zastosowanie, ba, jest niezbędny wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z nowoczesną techniką. Toteż wiele rządów zaliczyło go w poczet surowców tzw. strategicznych — może dlatego również, że w krajach socjalistycznych miedzi dotychczas jest niedużo, trzeba ją importować, i to za dolarowe dewizy, a wiadomo, że im bardziej „strategiczny” surowiec się sprzedaje, tym większe można dyktować ceny.

Że tak jest naprawdę, że miedzi w Polsce brakuje — dowodzą cyfry. Oto wymowne zestawienie: w Polsce w 1960 roku zużycie miedzi pierwotnej na jednego mieszkańca wynosiło 1 kg. We Włoszech w 1957 roku — 2,8 kg, we Francji w tymże roku — 4,6 kg, w NRF — 7,8 kg, w Wielkiej Brytanii — 8,1 kg. A w okresie 1955—1960 zużycie miedzi w Polsce wzrosło i tak o 50 proc. Łatwo tedy zrozumieć, że import tego metalu w poważnym stopniu obciąża pulę dewizową naszego kraju, jako że 3/4 importu miedzi wiąże się ze strefą dolarową.

Poza złożami w Związku Radzieckim i w NRD inne kraje socjalistyczne złóż miedzi nie posiadają, a przynajmniej dotychczasowe poszukiwania geologiczne przyniosły wyniki ujemne. Tymczasem zapotrzebowanie na ten metal wzrasta w obozie socjalistycznym stale i szybko.

Dlatego ta duża mapa okręgu miasta Lubin posiada tak fascynującą wymowę. Jest to bowiem marszruta, wytyczna nowego szlaku wielkich inwestycji, jakie dokonają się na Dolnym Śląsku w najbliższym piętnastolecu. Jest to mapa nowego zagłębia miedziowego, które zacznie być eksploatowane w pełni w 1975 r. i w poważnej mierze zaspokoi zapotrzebowanie.

Mogłoby się zdawać, że to nic prostszego. Geolodzy znaleźli miedź, trzeba więc szybko i tanio wywiercić szyby, sprowadzić trochę maszyn i już, od zaraz przystąpić do eksploatacji. Tymczasem zamiast tych kilku zdań dyrektywa inwestycyjna liczy sobie na razie białe stokilkadziesiąt stron maszynopisu będącego zbiorczym wynikiem szeregu specjalistycznych opracowań, badań i dociekań dużych zespołów ludzi. Bo uruchomienie nowego zagłębia to nie tylko budowa szybów. To także kwestia komunikacji, a więc dróg kołowych i szlaków kolejowych, kwestia gospodarki wodą, żeby później nie okazało się, że ruda miedzi wprawdzie jest, ale nie ma czym robić tzw. flotacji, czyli koncentrowania tej rudy i oddzielania pierwiastków niepotrzebnych. Wreszcie wyłania się wielki kompleks spraw bytowych: gdzie będą

mieszkać pracownicy kopalń, ilu ich będzie trzeba, czy znajdzie się wystarczająca ilość siły roboczej na danym terenie, czy też wypadnie ogłosić wielką imigrację do rejonu miasta Lubin.

W opracowaniu Wydziału Architektury i Nadzoru WRN znajdują się np. takie dane, jak średnia roczna temperatura zaobserwowana w tym rejonie, ilość opadów, ilość dni pogodnych oraz dni pochmurnych. Znajdują się też zupełnie specjalistyczne, nieprzetłumaczalne na „zwykły” język sprawozdania geologiczne, które jednak dzięki swej niezrozumiałości mają dla laika niepoślednie znaczenie: zdolność wzbudzania zaufania, że ów plan inwestycyjny nie został wypisany widłami na wodzie, ale ma solidne podstawy — kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią ziemi.

Użyłem tutaj terminu „nowe zagłębienie miedziowe”. Dla informacji trzeba bowiem przypomnieć, że na Dolnym Śląsku istnieje również stare zagłębienie. Przy czym pojęcie „stare” jest tu raczej nie na miejscu, jako że na dobrą sprawę dopiero niedawno podjęto tam wydobywanie i że to „stare” zagłębienie zostało wybudowane już po wojnie przez polskich inżynierów i techników oraz za polskie pieniądze. Mieści się zaś owo zagłębienie w rejonie Bolesławca, a jego symbolem jest kopalnia „Konrad”. A właściwie cały zespół kopalń plus zakład górniczy „Lena” niedaleko Złotoryi, plus kończąca swoje inwestycje kopalnia „Lubiechów” w pobliżu „Konrada”, która charakteryzuje się tym, że jej ruda posiada największą zawartość czystej miedzi spośród wszystkich w rejonie Bolesławca.

Lecz to, czym będzie nowa inwestycja w rejonie Lubina, jest niemal nieporównywalne pod względem wielkości i rozmachu ze starym zagłębieniem. Dość powiedzieć, że w myśl rozpoznania dokonanego przez geologów złoża lubińskie należą do najbogatszych na świecie i mogą z powodzeniem konkurować ze złożami afrykańskimi w Północnej Rodezji.

*

Jak więc ten lubiński rejon wygląda dziś, a jak będzie przedstawiał się za lat 15. Gdy wsiąść w samochód i udać się szosą prowadzącą do Zielonej Góry, człowiek dokonuje prostych i banalnych obserwacji: dużo lasów, nieliczne wsie, niewielkie miasteczko Lubin, osada czy też osiedle Polkowice, zniszczony bardzo w czasie wojny Głogów, a potem znów lasy.

Więc to jest za mało i znów trzeba, aby włączył się głos komentatora: Tereny zajęte pod przyszłą eksploatację złóż miedzi nie przedstawiają pod względem rolniczym wielkiej wartości i znaczenia. Są to grunty przeważnie lekkie, piaszczyste, często podmokłe, w 60 proc. zalesione. Ludność, przeważnie rolnicza, rozsiadła się dość rzadko w terenie. Na jednym kilometrze kwadratowym powierzchni zamieszkuje zaledwie 40 osób. Jest to teren najslabiej zaludniony w województwie wrocławskim. Gęstość zaludnienia na 1 km² w województwie wynosi bowiem 91 osób, a z miastem Wrocławiem — jako średnia Dolnego Śląska — ponad 112 osób. Już dziś odczuwa się tu duży niedobór rąk do pracy w rolnictwie... a ze słabo rozwiniętym przemysłem łączy się wyjątkowo małe zurbanizowanie terenu. Na 1000 mieszkańców zaledwie 270 zamieszkuje w mieście.)*

Problemy i kłopoty zaczynają się więc chyba od tego. Nie wystarczy wybudować kopalni. W okresie pełnej eksploatacji znajdzie tu pracę, a raczej — powiedzmy wprost — musi się znaleźć około 20 tys. osób, które podejmą pracę

*) Zdzisław Karst: „Z problemów zagospodarowania Dolnośląskiego Zagłębia Miedzi”. Gospodarka Planowa, 11/60.

w zagłębiu. Większość z tych 20 tys. osób będzie posiadała rodziny, tak że perspektywicznie plan zasiedlenia i budownictwa mieszkaniowego w tym rejonie zakłada napływ około 53 tys. ludzi. Tymczasem rezerwy mieszkaniowe — jeśli wziąć cyrkiel i na mapie oznaczyć koło, którego promieniem będzie nie więcej niż 45-minutowy czas dojazdu do pracy — okazują się zupełnie znikome. Co więcej — musi odpaść także najprostsze, zdawałoby się, rozwiązanie, a mianowicie koncepcja wybudowania centralnie położonego — w stosunku do wszystkich nowych zakładów — osiedla robotniczego i pracowniczego, a właściwie nowego 40-tysięcznego miasta. Przy czym nie chodzi już wyłącznie o fakt, że budowanie osiedla na terenie nieuzbrojonym jest zawsze znacznie droższe (w tym wypadku o około 500 mln. złotych), ale również o to, że centralnie położone będą na pewno tzw. stawy flotacyjne, których wyziewy byłyby wysoce szkodliwe dla zdrowia mieszkańców nowego miasta.

Toteż plan zakłada maksymalne wykorzystanie oraz rozbudowę istniejących i czynnych organizmów miejskich. To zaś oznacza, że nowe budownictwo zostanie zdecentralizowane pomiędzy: Lubin, Legnica, Głogów, Chojnów i Polkowice, zaś przy każdym większym zakładzie powstanie jedynie osiedle awaryjne dla kilkunastu pracowników.

Mamy więc tutaj dość jaskrawy przykład, jak dalece pojęcie „inwestycje” łączy się i nadaje sens pojęciu „aktywizacja małych miast i osiedli”. Warto bowiem wymienić, co następuje: Lubin zwiększy do roku 1975 ilość ludności z 6 do 30 tys. mieszkańców, Głogów — do 27 tys., Polkowice — z 2.100 do 7 tys., Chojnów — z 10 do 15 tys. Legnica zaś awansuje do rangi największego ośrodka miejskiego w obu zagłębiach miedziowych i kto wie, czy nie zagrozi tradycyjnej w naszym województwie pozycji Wałbrzycha jako drugiego po Wrocławiu miasta dolnośląskiego.

Tym bardziej, że obok miedzi w rejonie lubińskim znajdują się niezwykle bogate złoża węgla brunatnego i — jakkolwiek dotychczas nie zapadła decyzja co do podjęcia eksploatacji w najbliższym 15-leciu — to jednak rozważania i dyskusje w tej sprawie ciągle jeszcze się toczą. Na pewno natomiast należy się przy inwestowaniu w miedź liczyć z faktem i koniecznością wcześniejszego bądź późniejszego użytkowania owych węglowych bogactw.

Na razie wszakże mowa jest tylko o miedzi. I tylko na marginesie opracowania raz po raz przewija się kilka słów o węglowym bogactwie. Odpowiednio do tego plany dotyczące budownictwa mieszkaniowego traktują wyłącznie o zapewnieniu przyzwyczajonych warunków ludziom, którzy pracować będą w kopalniach miedzi oraz przy jej przeróbce.

Staram się unikać liczb, ale przy tego rodzaju zamierzeniach i perspektywach całkowicie nie sposób ich wyeliminować. Tak tedy w ciągu najbliższych 5 lat wybudowanych zostanie 8.130 izb, w latach 1966–70 — 22.235 izb, zaś w latach 1971–75 — 21.830 izb. Razem daje to około 53.000 izb, czyli owo wspomniane wyżej nowe 40-tysięczne miasto, które w wyniku rozsądnych decyzji rozdzielone zostanie jednak pomiędzy cztery już istniejące organizmy miejskie. Odpowiednio do tego koszt tylko inwestycji mieszkaniowych wynosić będzie w pierwszym pięcioleciu 480 milionów złotych, w drugim — 1.380 milionów złotych i w trzecim — 1.300 milionów złotych.

Ponadto przewiduje się wybudowanie w Lubinie dużego powiatowego domu kultury wyposażonego m.in. w salę kinowo-widowiskową, bibliotekę oraz kawiarnię.

W zakresie służby zdrowia ten wielki napływ ludzi wywoła konieczność poważnego uzupełnienia sieci placówek lecznictwa otwartego oraz zwiększenia ilości łóżek w szpitalach. Tym bardziej, że obecnie Lubin jest pod tym wzglę-

dem dosyć zaniedbany. Na 1000 mieszkańców wypada tam w tej chwili 27,8 łóżek szpitalnych, podczas gdy w Głogowie ten sam wskaźnik wynosi 54,3 i jest bliski średniej dla województwa wrocławskiego i zielonogórskiego. W związku z tym, aby zapewnić odpowiednią opiekę szpitalną, uznano za konieczne włączenie w spis planowanych inwestycji — budowę szpitala w Lubinie liczącego 300 łóżek oraz rozbudowę szpitala w Głogowie, nie mówiąc już o oczywistym ilościowym i jakościowym rozwoju placówek leczenia otwartego.

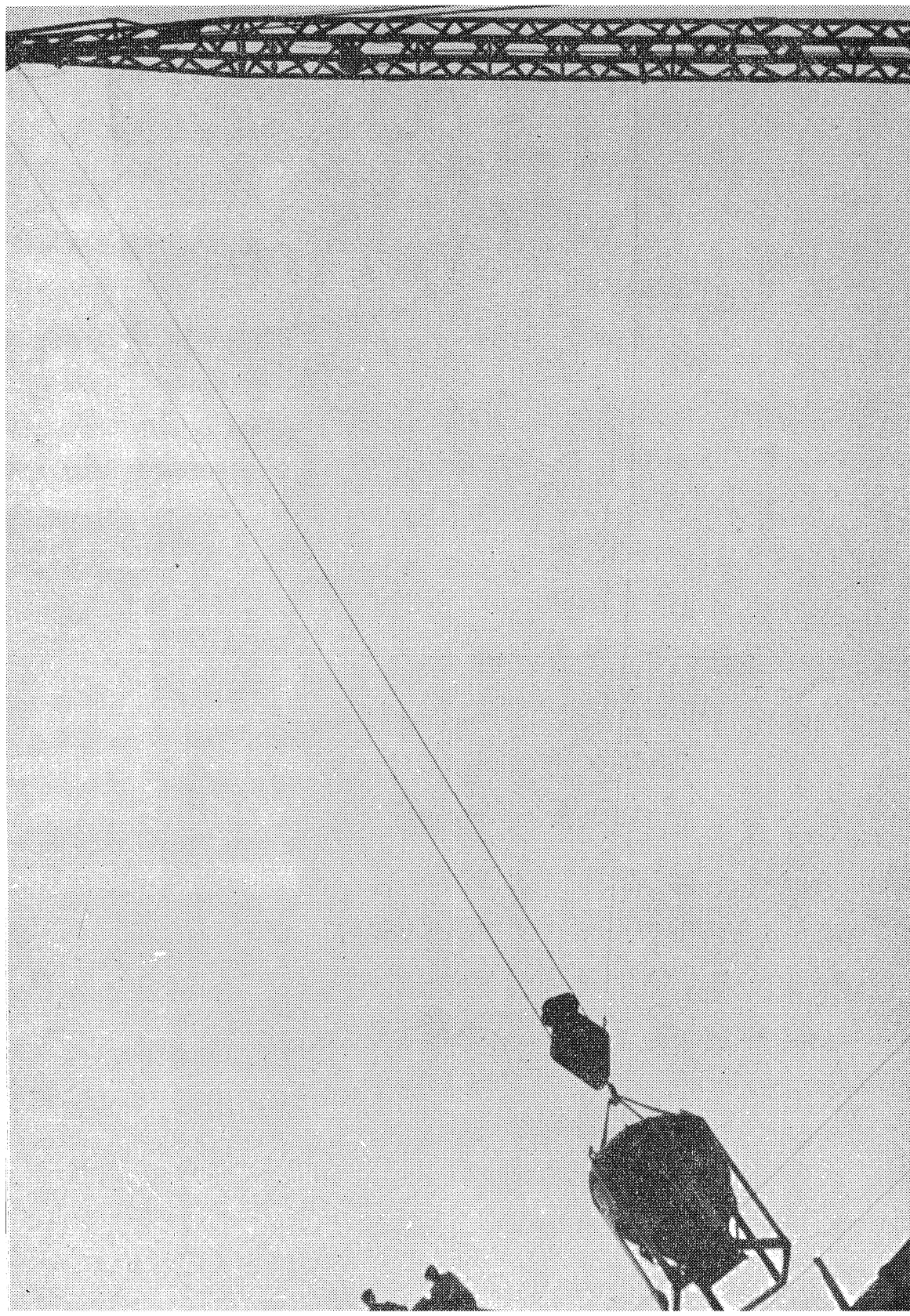
Oto w największym streszczeniu wykaz koniecznych posunięć oraz koniecznych wydatków, które pozwolą dopiero na prawidłowe eksploataowanie złóż miedzi. Prawidłowe, oczywiście, nie tylko w sensie technologicznym. Chodzi również o prawidłowość socjologiczną, o przemyślane i zamierzone kształtowanie oblicza socjalnego tych czterech miast, które stanowić będą mieszkaniowo-kulturalne zaplecze kopalń. Jeśli podliczyć ogólne sumy wydatków na inwestycje związane z uruchomieniem nowego zagłębia, to okaże się, iż przemyśl, a więc wiercenie szybów, budowa gmachów i hal przemysłowych, budowa maszyn i urządzeń w kopalni a także w hutach — pociągnie za sobą wydatki około 8,5 miliarda złotych. Natomiast koszt związany z budownictwem mieszkaniowym, stworzeniem zaplecza kulturalnego i usługowego wynosić będzie w przybliżeniu przeszło 4,5 miliarda złotych.

Jest to więc, jak łatwo zauważyć, proporcja odpowiadająca dobrym, nowoczesnym wzorom światowym, świadcząca o zrozumieniu przez czynniki planujące i koordynujące — nieodłącznych prawidłowości socjalnych, które towarzyszą wielkim inwestycjom i związanej z tym migracji ludnościowej.

Już dzisiaj, gdy się odwiedza stare zagłębie miedziowe, a zwłaszcza Boleśławiec, można stwierdzić, na czym to polega. W oczy rzuca się przede wszystkim wielka dynamika rozwojowa tego miasteczka, jego szybki awans urbanistyczny oraz rozwój socjalny i kulturalny. Więc można na tej podstawie snuć przypuszczenia, jak za lat 10 wyglądać będzie ciche, dotychczas puste miasteczko Lubin, wciśnięte w kąt, w najdalszy kraniec naszego województwa, cokolwiek opuszczone dotychczas i zapomniane. I stąd jest tytuł tego artykułu. Miedź dla całego kraju, dla naszego bilansu płatniczego i statystyk oznacza bardzo ważną ale nieco abstrakcyjną dla przeciętnego człowieka potrzebę i zysk. Oczywiście własna miedź z własnego zagłębia. Miedź dla tych czterech miast: Lubina, Polkowic, Głogowa i Szklarskiej Poręby, a także dla Legnicy — to znaczy aktywizacja, nowe mieszkania i domy. Nowoczesne szpitale, sieć nowych sklepów, stawka na inicjatywę oraz ludzi z inicjatywą. Wreszcie napływ inicjatywy oraz ludzi, którzy posiadają nie tylko zdrowe ambicje, ale także kwalifikacje, którzy umieją myśleć mądrze i po gospodarsku, a zarazem patrzeć w przyszłość, wpływać na nią i kształtować.

Roman Karpiński

**ZMIENIA
SIĘ MAPA
NADODRZA**



IGNACY RUTKIEWICZ

**ELEKTRONICZNE
JUTRO
WROCŁAWIA**

1
7
A
3

Rzecz w 4 rozdziałach z prologiem i epilogiem

PROLOG

w którym jest mowa głównie o definicjach

Rzecz będzie o tym, o czym w szczególniejszy sposób przystoi rozprawiać w drugiej połowie XX wieku, gdy podróż na księżyc zdaje się być bliższa urzeczywistnienia niż 100 lat temu samolot, a 200 — balon, i gdy maszyna potrafi już zastępować człowieka nie tylko w pracy fizycznej, ale i umysłowej. Zatem o elektronice i automatyce.

Wydana w roku 1938 M. Arcta „Nowoczesna Encyklopedia Ilustrowana” od A do Z nie zna żadnego z tych haseł. Podobnie nie ma tam haseł: telemechanika, sterowanie zdalne, radiolokacja.

W dwadzieścia lat później „Mała Encyklopedia Powszechna” PWN roi się od definicji pojęć tego typu, znacząc skok wykonany w tym czasie przez myśl ludzką i kierowaną nią technikę.

Czytamy więc:

„Automatyka — dziedzina techniki obejmująca zespół zagadnień i urządzeń dotyczących takiej organizacji procesów technologicznych, że przebiegają one samo-

czynnie, a udział człowieka zostaje ograniczony tylko do ogólnego kierowania, nadzoru i kontroli...

Elektronika — dziedzina elektrotechniki, nauka o właściwościach konstrukcji i technologii lamp elektronowych oraz innych przyrządów elektropróżniowych...

Telemechanika — dziedzina techniki związana z przesyłaniem na odległość sygnałów sterujących i kontrolnych..."

Czyli i nauka, i technika. Innymi słowy — od laboratorium badawczego do produkcji przemysłowej.

Nas wszakże zajmować będą nie uczone definicje czy systematyka tych i pokrewnych im terminów, co pozostawiamy z całym zaufaniem specjalistom i encyklopediom. My ograniczymy się do kwestii zgoła przyziemnej i praktycznej: co nam z tego przyjdzie? Nam, to znaczy miastu imieniem Wrocław oraz jego przyległościom. Bo wszystkim życzymy dobrze, ale sobie najlepiej.

ROZDZIAŁ I

który traktuje o przesłankach

Z wielkim prawdopodobieństwem można utrzymywać, że gdyby nie Politechnika Wrocławska, postawione dopiero co pytanie byłoby w związku z Wrocławiem co najmniej grubo przedwczesne. Bo nikt nigdzie nie napisał, że Wrocław musi stać się ośrodkiem naukowym w dziedzinie automatyki i elektroniki. A że stał się nim, i to w formacie ogólnokrajowym, to już sprawa własnej inicjatywy i przedsiębiorczości samych wrocławian.

A stało się to tak:

U schyłku lat 40-tych o automatyce głucho jeszcze było na polskich wyższych uczelniach. Co do elektroniki, reprezentowała ją jedynie radiotechnika, dział — by tak rzec — najbardziej tradycyjny. Chętnie, ma się rozumieć, nadstawiano ucha i oka na zagraniczne nowości, ale ledwie marzyć śmiano o tym, by je przeszczepiać na grunt ojczysty.

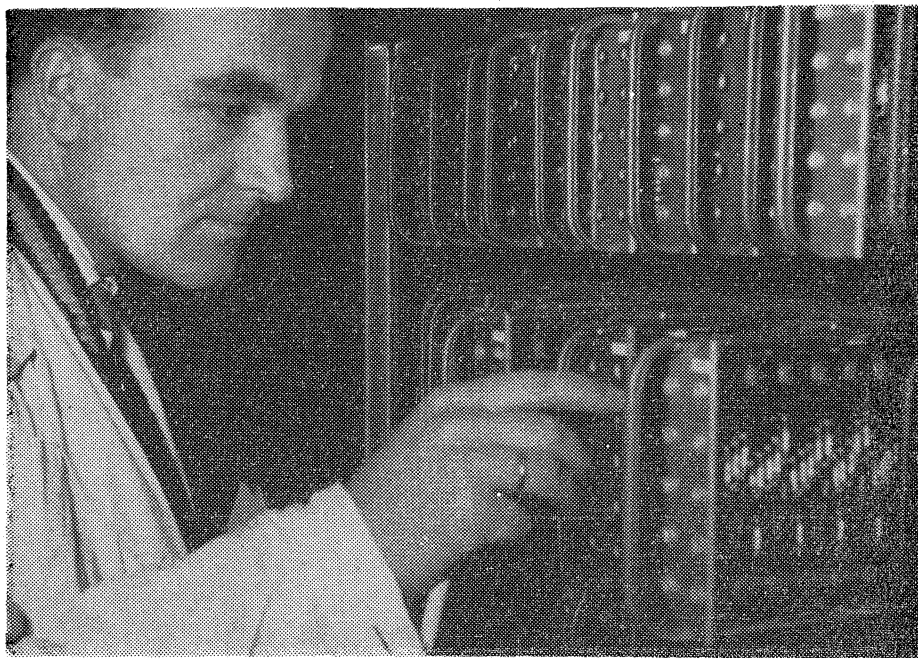
Pionierska myśl wyszła z Wrocławia, jej autorem był prof. Zygmunt Szparkowski, obecny rektor Politechniki Wrocławskiej. Punktem wyjścia było stwierdzenie faktu dość oczywistego, że kiedyś zacząć trzeba, nawet od niczego. Stąd wyprowadzono gotowy już wniosek, że czas najwyższy zabrać się do stworzenia w Polsce podstaw automatyki i telemechaniki.

Pierwszą przesłanką musiało być formowanie specjalistów. Firmy użyczył wydział łączności Politechniki Wrocławskiej, w roku 1952 ostatecznie ukształtowany z dawnego oddziału telekomunikacyjnego. Powiadam: firmy, bo ścisły kierunek łączności z punktu znalazł się w sytuacji jednego spośród czterech równouprawnionych, obok automatyki, miernictwa elektronowego i technologii elektronicznej.

Więc specjalizują się słuchacze wydziału łączności w zakresie automatyki i telemechaniki, technologii lamp elektronowych, miernictwa, radiowych technik nadawczych i odbiorczych. To domena profesorów: Andrzeja Jellonka, Zygmunta Szparkowskiego, Wilhelma Rotkiewicza, Tadeusza Tomankiewicza, Wiesława Barwicza. I nadto coraz szerszego kręgu ich wychowanków, młodszych kolegów, jak Jerzy Bromirski, Zdzisław Karkowski czy Jan Hołownia.

Ten wrocławski ośrodek elektroniki i automatyki powstał w latach 1951—1954. Był on pierwszym w ogóle w kraju, ale pod względem wyposażenia rychło ustąpić musiał pierwszej lokaty Warszawie, jak tego zresztą można się było spodziewać, wszak wiadomo: stolica. Swoją drugą pozycję Wrocław jednak utrzymał, i to bez znaczącego zagrożenia ze strony dalszych konkurentów, jak Gliwice, Kraków czy Gdańsk.

Tymczasem, gdy chodzi o automatykę, wykroczyła ona już stanowczo poza ramy jednego tylko wydziału łączności, obejmując swymi problemami wydziały: mechaniczno-energetyczny, elektryczny, chemiczny. Kierowany przez prof. Jana Kożuchowskiego wrocławski Instytut Elektroenergetyki, mający za specjalność automatyzację systemów energetycznych, służyć może za przykład charakterystyczny, to prawda, ale nie jedyny.



Przy maszynie cyfrowej „Odra 1001”

Rokrocznie 50–60 inżynierów elektroników i automatyków opuszcza mury Politechniki Wrocławskiej. Po kilku latach stanowią już prawdziwą armię. I to była elementarna przesłanka pojawienia się na dolnośląskim gruncie wielokierunkowego przemysłu elektronicznego, który dotąd reprezentowały tylko Zakłady Radiowe „Diora” w Dzierżonowie, ograniczone do montażu radioodbiorników.

ROZDZIAŁ II

który uwieńczy symbol „Elwro”

Wrocławianie mają coś z Zosi-Samosi. Lubią robić wiele rzeczy sami, nie czekając, aż manna będzie im spadać z warszawskiego nieba, przeciwnie, prowokując centralne instytucje do pomocy dla zupełnie już konkretnych i przemyślanych do końca inicjatyw.

Koronny przykład – telewizją na Dolnym Śląsku. Jeśli nawet wiecie, posłuchajcie raz jeszcze. Zresztą w wielkim skrócie.

Wiosną 1957 roku telewizja polska była co się zowie w powijakach. Umyślono przy tym rozwijać ją nie na zasadzie jednolitej, ogólnokrajowej sieci nadawczej, ale poprzez izolowane, oddzielne ośrodki. Istniały one już wtedy w Warszawie i Łodzi, wkrótce miał swój otrzymać Poznań, w budowie był też katowicki. Wrocławowi kazano czekać jeszcze kilka długich lat. Wobec

tego wrocławianie powiedzieli sobie, że stać ich na zafundowanie u siebie telewizji własnym sumptem. Od słowa do słowa — tak się stało. Na dobitkę w tempie absolutnie rekordowym.

4 czerwca 1957 roku zawiązał się społeczny komitet budowy wrocławskiego ośrodka telewizyjnego pod prezesurą przewodniczącego Prezydium WRN posła Bronisława Ostapczuka. 1 lutego następnego roku telestacja na szczycie 700-metrowego wzniesienia góry Słęży już działała. Inwestycja wartości kilkunastu milionów złotych i stukilkunastu tysięcy dolarów (zagraniczna aparatura odbiorczo-nadawcza) powstała od a do z dzięki inicjatywie, przedsiębiorczości i ofiarności społeczeństwa Dolnego Śląska.

Wycieczka w stronę tego tematu, na pozór najzupełniej odległego, ma istotne usprawiedliwienie. Mianowicie z telewizyjnej, rzekłbym konsumpcyjnej, inicjatywy wrocławian, uwieńczonej wybudowaniem telestacji na Słęży, wywodzi się — i to w prostej linii — powstanie we Wrocławiu wielkiej fabryki urządzeń elektronicznych. Tak przekreślony został paradoks wcale osobliwy: owa gałąź przemysłu była w stolicy Dolnego Śląska zgoła nieznana, gdy jednocześnie tu zgrupowane było największe w skali krajowej po Warszawie naukowe środowisko elektroników.

Znowu mały zestaw dat i faktów.

Funkcjonowała już telestacja na Słęży, trzeba więc było co rychlej podolać gwałtownie rosnącemu popytowi na odbiorniki telewizyjne. Spiritus movens wrocławskiego społecznego komitetu telewizyjnego, inż. Stefan Rylski, również wychowanek Politechniki Wrocławskiej, zainicjował wystąpienie do władz centralnych o fabrykę telewizorów we Wrocławiu.

18 marca 1958 na ręce wicepremiera Piotra Jaroszewicza wysłany został odpowiedni memoriał. W miesiąc później odpowiedź, jak najprzychylniejsza, znalazła się już we Wrocławiu. Jeszcze kilka miesięcy — i z datą 6 lutego 1959 minister przemysłu ciężkiego Kiejstut Žemajtis zarządził utworzenie Wrocławskich Zakładów Elektronicznych.

Tu zwrócić wypada uwagę na dwa fakty wielce znamienne. Rzeczony memoriał operował, wśród innych, argumentem rozwiniętego środowiska radio-technicznego we Wrocławiu i tamże znajdziemy tezę, że wytwórnia telewizorów to załączek przyszłego rozwoju nowoczesnego przemysłu elektronicznego na Dolnym Śląsku. Argument celny, przewidywanie trafne.

Same zresztą Wrocławskie Zakłady Elektroniczne, rezygnując z jednokierunkowej produkcji telewizorów, z miejsca zyskały określone znamiona zespołu fabryk przemysłu elektronicznego. Dość wyliczyć: podzespoły telewizyjne, podzespoły radiowe, cyfrowe maszyny elektronowe, elementy i kompletne urządzenia elektronicznej automatyki przemysłowej.

W styczniu 1960 rozpoczęła się normalna seryjna produkcja podzespołów telewizyjnych, w lipcu — elementów automatyki, w październiku — podzespołów radiowych, w grudniu ukończono montaż pierwszej maszyny cyfrowej zaprojektowanej i zbudowanej we własnym biurze konstrukcyjnym. Do tego — wyposażenie fabryki w urządzenia produkcyjne, elektronową aparaturę pomiarową i kontrolną, skompletowanie ponad 1000-osobowej załogi, której co szósty pracownik to inżynier. Tempo oszałamiające.

To są Wrocławskie Zakłady Elektroniczne — „Elwro”, jak brzmi ich symbol, zaczerpnięty ze skrótu telegraficznego. Załączek elektroniki przemysłowej Wrocławia i Dolnego Śląska, ale załączek rozwijający się z szybkością bez precedensu.

ROZDZIAŁ III

w którym przyglądamy się elektronice w Polsce i na świecie

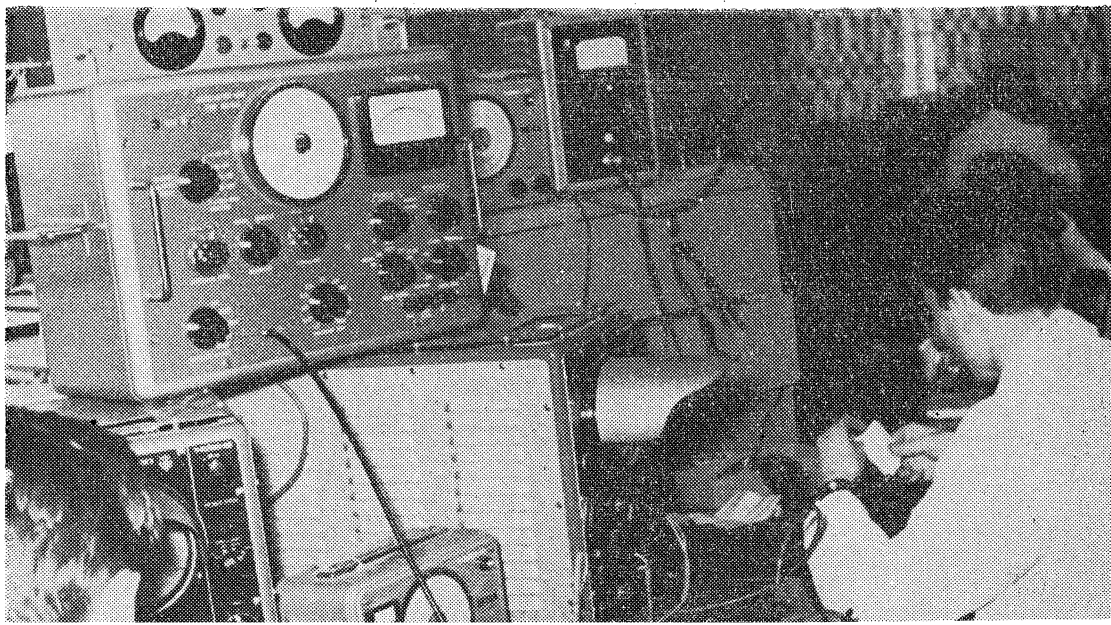
Ponieważ nie obowiązują nas wersalskie maniery, możemy sobie pozwolić na szczerość nieco brutalną i powiedzieć wręcz, że w naszym kraju przemysł elektroniczny stoi na głowie. Wyjaśnieniami służyć bez zwłoki.

Odpowiedzmy sobie przede wszystkim, co to jest ta elektronika, mówiąc dokładnie — elektronika przemysłowa czy przemysł elektroniczny. Pierwsza odpowiedź, jaka ciśnie się nam na usta, wydaje się najzupełniej oczywista: to produkcja radioodbiorników i telewizorów. W istocie, polski przemysł elektroniczny niemal bez reszty ograniczony jest do tych dwóch grup produkcji, zresztą bardzo blisko z sobą spokrewnionych.

W takiej odpowiedzi mieści się w gruncie rzeczy całe wyjaśnienie tego nawet nie zarzutu, ile po prostu obiektywnego stwierdzenia, że nasza elektronika stoi na głowie. Bo na całym świecie produkcja radioodbiorników i telewizorów wyczerpuje potencjał produkcyjny przemysłu elektronicznego co najwyżej w 30–40 procentach, gdy u nas istotnie niemal w całości, bo w 90 procentach. Jeśli komuś nie wyda się to dostatecznie jasne, zróbmy jeszcze małą wyprawę w dziedzinę systematyki i powiedzmy w wielkim skrócie, czym jest elektronika przemysłowa u innych, tam, gdzie przemysł elektroniczny jest potentatem całą gębą.

Bez trudu możemy wyliczyć co najmniej sześć grup: to sprzęt powszechnego użytku, czyli przede wszystkim radioodbiorniki i telewizory. Po drugie — tzw. osprzęt czyli radiostacje i telestacje nadawcze, kamery zdjęciowe i dźwiękowe, wozy transmisyjne, wzmacniacze, radiolinie. Po trzecie — elektronowa aparatura medyczna, jak diatermie, elektrokardiografy. Po czwarte — elektronika przemysłowa w sensie ścisłym, czyli urządzenia elektronowe służące produkcji, jak automaty spawalnicze, aparatura grzejna wielkiej częstotliwości, aparatura pomiarowa. Po piąte — urządzenia automatyki przemysłowej,

Fotografie Tadeusza Drankowskiego



jak automatyczne sterowanie procesów technologicznych w fabrykach chemicznych, hutach, jak wszelkiego autoramentu maszyny cyfrowe rozwiązujące zadania matematyczne z szybkością tysięcy działań na sekundę. Po szóste wreszcie aparatura radiolokacyjna, czyli radarowa. Słowem cały wielki świat aparatów i urządzeń lat temu dwadzieścia w swej znakomitej większości zgola nie istniejących.

Jeszcze jedna charakterystyczna liczba: na trzydzieści kilka fabryk i fabryczek podległych Zjednoczeniu Przemysłu Elektronicznego ledwie jedna czy dwie produkują przyrządy elektronowe nie mieszczące się w tej pierwszej grupie.

Oczywiście rzecz nie polega na awersji do spędzania wieczorów przy telewizorze czy, bardziej staroświecko, radioodbiorniku. Idzie o to, że motorem modernizacji wszelkich dziedzin przemysłu i w ogóle cywilizacji są urządzenia elektronowe ułożone nie w pierwszej, lecz w dalszych grupach przedstawionej systematyki produkcji elektronicznej.

Na domiar — i to jest skaza niemniej istotna i ważna — polski przemysł elektroniczny nastawiony został z miejsca na wytwarzanie skończonych urządzeń, nawet za cenę importu wielu, jeśli nie większości, elementów i podzespołów. Tymczasem szybki rozwój i rozszerzenie wachlarza produkcji elektronicznej wymaga posiadania rozbudowanego zaplecza zakładów produkujących znormalizowane, typowe detale. To jest właściwe zadanie centralnych biur konstrukcyjnych, dysponujących dobrym rozeznaniem rynku w zakresie aparatury i urządzeń elektronowych.

I to jest punkt trzeci. Produkcja elektroniczna koncentruje się w dziedzinie wytwarzania radioodbiorników i telewizorów, bo na to jest zapewniony i trwały zbyt. Przemysł i przeróżne inne dziedziny gospodarki nie stwarzają popytu na urządzenia elektronowe, bo nie wiedzą, nie domyślają się ich istnienia. Cóż mówić o wielkiej dziedzinie eksportu, tu możliwości są ogromne i ... wręcz niedostrzegane. Przemysł natomiast elektroniczny robi to tylko, na co jest popyt, czy — szerzej — na co jest skonkretyzowane zamówienie. Łatwo w tym dostrzec wszelkie znamiona błędnego koła.

ROZDZIAŁ IV

w którym mówimy o tym, co będzie i co być powinno

A jednak się kręci, czyli — przełożywszy to na język konkretnego nas zajmującego — a jednak elektronika polska rozwija się. Ba, nikt temu nie przeczy. Rozwija się i będzie się rozwijała, inaczej nie sposób przypuszczać, sedno tkwi w tym tylko, by dostrzeżone wady i błędy korygować w porę i skutecznie.

Mamy, jakby nie było, spory już zespół fabryk tak czy inaczej włączonych do produkcji urządzeń elektronowych, to jest ważna pozycja. I druga: Polska należy do rzędu krajów dysponujących najliczniejszą — proporcjonalnie do skali swej gospodarki — ilością inżynierów elektroników i automatyków. To jest kapitał niezwykle cenny. A jak bardzo cenny, świadczy charakterystyczna okoliczność, że niemal każdy polski elektronik wyjeżdżający np. na staż zagraniczny otrzymuje tam formalne propozycje zatrudnienia!

Problem sprowadza się do dwóch rzeczy zasadniczych. Pierwsza — to właściwa koordynacja dalszego rozwoju przemysłu elektronicznego. Druga — właściwe ustalenie jego rangi w hierarchii różnych gałęzi przemysłu w naszym kraju.

Najpierw owa koordynacja. W swoich początkach przemysł elektroniczny rozwijał się u nas niemal wyłącznie w Warszawie. Parę wyjątków, pośród nich dzierzoniowska „Diora”, nie czyniły zbyt wielkiego wyłomu w tej regule.

Potem przyszła moda na lokowanie nowych fabryk na prowincji, bo tu wolna hala, a tam nieużyteczne stare koszary. Oba rozwiązania niedobre, ale rysuje się już, jak się zdaje, trzecie. Oto jego założenia:

W Warszawie grupować się będzie produkcja o charakterze prototypowym, wzorcowa. W trzech co najmniej ośrodkach poza Warszawą — we Wrocławiu, Krakowie i Gdańsku — trzon rozbudowanego przemysłu elektronicznego, ma się rozumieć, wielokierunkowego. Te trzy punkty geograficzne wynikają w sposób logiczny z obecności na miejscu mniej czy bardziej rozwiniętych środowisk naukowych tej specjalności. Wreszcie ostatni rzut — to dalsza prowincja. Tu już małe fabryki produkcji detali elektronowych, kooperujące z wielkimi kompleksowymi zakładami przemysłu elektronicznego, które w tym układzie winny spełniać rolę patronów i koordynatorów.

Istotny element takiego układu to zakładowe biura konstrukcyjne i biura rozwojowe — pierwsze zajmujące się konstruowaniem modeli produkcji bieżącej, drugie wybiegające swoją pracą w daleką przyszłość, na lat 5 czy 10 co najmniej.

Perspektywa dopiero co zarysowana to jeszcze nie program, nie projekt, to możliwość, ale mająca za sobą rację, jak się zdaje, niebagatelne.

Teraz sprawa rangi przemysłu elektronicznego. Oczywiście nie o względy prestiżowe tu idzie, lecz — mówiąc po prostu — o pieniądze. Nakłady w tych gałęziach przemysłu są wyjątkowo rentowne. Dwa przykłady. W Warszawskie Zakłady Telewizyjne zainwestowano dotąd 250 milionów złotych, dziś roczna ich produkcja ma wartość 1.300 milionów złotych. Inwestycje w „Elwro” wyniosą do końca roku 1961 sumę 90 milionów złotych, łączna produkcja do końca tego roku — 300 milionów złotych. To jest skala rentowności. Ale aby brać, trzeba wpierw dać, i to nie skąpiąc. Oszczędności w tej gałęzi przemysłu są chyba wyjątkowo nieusprawiedliwione, wszak to lokata w przyszłość.

Nie wydaje się też, by na dłuższą metę było możliwe utrzymanie mariażu elektroniki i w ogóle elektroniki z innymi gałęziami przemysłu ciężkiego. Dynamika zmian technologicznych jest tu i tam zgoła nieporównywalna. W przemyśle maszynowym odstęp lat 5 nie czyni rewolucji, w elektronice aparatura sprzed lat 5 jest już dzisiaj gruntownie przestarzała. Innymi wręcz kategoriami trzeba myśleć i planować tu i tam. To jest kwestia do decyzji organizacyjnych i chyba nie nazbyt oddalonych w czasie. Niedawne uchwały w sprawie rozwoju elektroniki i automatyki zapowiadają chyba istotne przesunięcia akcentów w tym kierunku, choć rewolucją jeszcze nie są.

Ale nie bądźmy zbyt niecierpliwi. Na razie możemy z całym spokojem i pewnością przewidywać, że organiczny rozwój elektroniki i automatyki ogarnie szczególnie silnie Wrocław i Dolny Śląsk. Dopiero co wspomniane uchwały mówią o rozwinięciu wrocławskiego ośrodka naukowego elektroniki i automatyki oraz produkcji elektronicznej we Wrocławiu. I to jest najistotniejsza podstawa dalszego rozwoju elektroniki u nas, nad Odrą.

EPILOG

który nie jest epilogiem

Sprawa pozostaje więc otwarta. Są wszelkie, a raczej niemal wszelkie dane po temu, aby polska elektronika i automatyka dokonały wielkiego skoku w ciągu bardzo niewielu lat. Potrzeba do tego również niewielu rzeczy.

Po pierwsze — propozycja intelektualna, zatem zgoła niekosztowna — dostrzeżenia kolosalnych bez przesady perspektyw tych właśnie gałęzi techniki i przemysłu.

Po drugie — to propozycja ekonomiczna (tu pewnie świadczenia materialne są niezbędne), propozycja potraktowania potrzeb inwestycyjnych, rozwojowych elektroniki i automatyki na miarę ich rangi we współczesnym świecie.

Po trzecie — propozycja organizacyjna (tak czynią już inni): należy zastanowić się nad możliwością wyłączenia problemów przemysłu elektronicznego wraz z całą elektrotechniką tradycyjną w osobny resort, gdzie do budowy mózgów elektronowych czy telelączy przykładać się będzie miarki inne, niż do wydobywania węgla czy wytopu stali.

I myślę, że z tego wiele nam przyjdzie: nam, czyli całej Polsce. A wśród najbardziej obdarowanych siłą rzeczy znajdzie się Wrocław. To rzecz pewna.

Ignacy Rutkiewicz

Przeprowadziwszy z Pawłem Jasienicą redakcyjne „rokowania” celem uzyskania dla „Odry” szczególnie nas interesującego fragmentu jego nowej książki pt. „Polska Jagiellonów”, odbyliśmy z pisarzem krótką rozmowę, którą tu przytaczamy:

— Pańska „Polska Piastów” stała się — obok „Spizowej bramy” Brezy — bestsellerem ubiegłego roku. Sukces tym bardziej znamienny, że przecież książka ta nie jest dziełem czysto literackim, lecz stoi na pograniczu literatury i nauki. Poprzednie prace pańskie również tę więź z nauką, z różnymi jej dziedzinami, reprezentowały, ale najżywszy odzew czytelniczy zyskała właśnie ta, z dotychczasowych najobszerniejsza i najobficiej sięgająca do problemów historii. Co w pańskich zainteresowaniach osobistych było wcześniej: literatura czy historia?

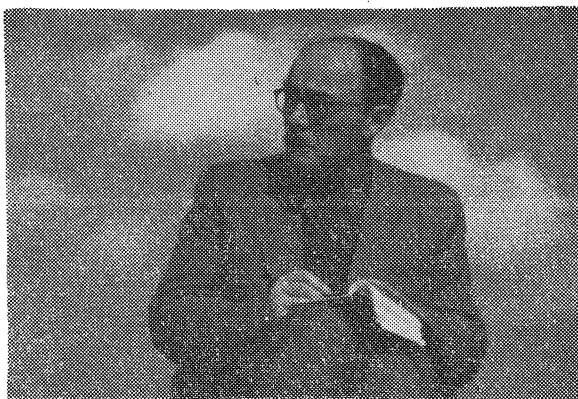
— Z wykształcenia i po części ze swej przedwojennej pracy zawodowej jestem właśnie historykiem. Mój zaś start literacki i publicystyczny nastąpił dopiero po wojnie, to znaczy dość późno, gdyż miałem wtedy już 37 lat (nie biorę tu pod uwagę bezimiennych publikacji w wojennej prasie konspiracyjnej).

— Start był rzeczywiście późny, ale za to owocny. Jeśli się nie mylę, od jakichś dziesięciu lat wydaje pan co roku co najmniej jedną książkę...

— Zaraz... Wyliczmy po kolei. W roku 1951 — pierwsza książka: „Wisła pożegna zaścianek”, tom reportaży z Sandomierskiego. W roku następnym — „Świt słowiańskiego jutra”, dwa wydania po dziesięć tysięcy egzemplarzy, doszczętnie wyczerpane. Obecnie mam z PIW-em umowę na wznowienie. Skrócę tę książkę, ale i uzupełnię między innymi rozdziałem o starożytności bułgarskiej. W 1953 — „Biały front”, który w grudniu 1960 ukazał się w nowej, rozszerzonej wersji zatytułowanej „Dwie drogi”. Potem przyszła grupa książek z wypadków do nauk ścisłych i przyrodniczych...

— Pamiętam, że pierwszą z nich były (w roku 1954) „Opowieści o żywej materii”, do których mamy we Wrocławiu szczególnie sentyment. Przecież to książka o Ludwiku Hirszfeldzie, jego najbliższych współpracownikach i uczniach, jego wrocławskim instytucie badawczym.

— Ja również, jako autor, mam do „Opowieści” stosunek bardziej osobisty niż do innych swych książek. Była to pierwsza próba reporterskiego ujęcia wyjątkowo trudnych dla mnie zagadnień



Historia i współczesność

ROZMOWA
Z
PAWŁEM
JASIENICĄ

naukowych i do dziś podziwiam liberalizm prof. Hirszfelda, który z ogromną cierpliwością godził się na takie literackie traktowanie problemu. To był naprawdę wielki humanista! A gdy już go wspominamy, muszę powiedzieć, iż było ze strony naszych czynników wydawniczych wielkim zaniedbaniem, że nie dopilnowaliśmy, by jego wstrząsająca

„Historia jednego życia” wyszła po niemiecku w NRF.

— *Niewątpliwie. Ale może to się da jeszcze — choć z tak poważnym opóźnieniem — nadrobić? Sprawa jest przecież niezwykle ważna, podobnie jak — przechodząc już do zagadnień innych — ważna jest troska o „wypływanie na szersze wody” z literaturą, która w sposób niebanalny, umotywowany i sugestywny sięga do problemów naszych ziem nad Odrą i Bałtykiem, naszych współczesnych zdobyczy i dokonań na tych ziemiach.*

— A propos, dam panu przykład, jak czasem źle ta sprawa w praktyce wygląda. Drugą moją książką podejmującą zagadnienia nauk ścisłych był tom reportażowy pt. „Zakotwiczeni”, w całości poświęcony Politechnice Gdańskiej. Rozszedł się, ale u krytyków nie zyskał odzewu, co w zestawieniu z tak często przez tychże krytyków ponawianym postulatem pisarskiego zajmowania się współczesnością i właśnie ziemią nadodrzańskimi czy nadbałtyckimi wygląda oryginalnie. Przecież Politechnika Gdańska to nowoczesny kompleks zakładów naukowych będący w całości dziełem już Polski Ludowej! Przecież jest się czym pochwalić.

— *Zaniedbania naszej krytyki są pod tym względem bezsporne i znowu można tylko wyrazić nadzieję, że i tu coś się zmieni. Niektóre numery centralnych pism społeczno-kulturalnych, poświęcone gospodarczej, naukowej i artystycznej pozycji tych ziem na mapie kraju, stanowią pierwsze zapowiedzi takiej zmiany.*

Wróćmy jednak do tego, od czego zaczęliśmy, to znaczy do historii. W roku ubiegłym wydał pan „Polskę Piastów”. Miała duży nakład, ciągle jest poszukiwana. Teraz ukończył pan „Polskę Jagiellonów”, której fragment z satysfakcją wydrukujemy w „Odrze”. Czy się różniła pańska praca nad drugą książką od pracy nad pierwszą?

— Różnice były bardzo istotne. Polska Piastów to ogromny obszar czasowy, do którego jednak mało jest wiarogodnych a przy tym dla pisarza ciekawych źródeł pisanych. Cóż wiemy np. bardziej szczegółowego o Chrobrym czy Śmiałym? A gdy chodzi o okresy wcześniejsze, trzeba było sięgać także do rezultatów badań archeologicznych. Na tego rodzaju źródłach musiałem opierać syntezę. Z epoką Jagiellonów natomiast kłopoty były nie mniejsze, ale wynikające z sytuacji odwrotnej, z obfitości uchwytanych materiałów. Najważniejsza

różnica polegała na tym, że ze źródeł pisanych można tu było wydobyć żywe sylwetki ówczesnych ludzi, i to nie tylko królów. Można było obraz bardziej wypełnić, ale też musiałem jeszcze bardziej niż przy Piastach dobrać o selekcję materiału, by nie dać się przytłoczyć jego nadmiarowi i zagubić w nim. Więc większa pełnia, ale i większa konieczność eliminacji. Stał też przy pracy nad „Polską Jagiellonów” często musiałem się zdobywać na rezygnację, choć przyznam, że robiłem to ze szczerym żalem.

Tym bardziej, że nieustannie natykałem się na jeszcze jedno niebezpieczeństwo: ciągłą pokusę cytatu. Polszczyzna źródeł z epoki Jagiellonów jest tak piękna, że kusi, by tylko cytować i cytować.

Krótko więc: praca nad nową książką dała mi wiele głębokich a zarazem skomplikowanych przeżyć osobistych. Z jednej strony szczerą satysfakcją, bo co chwilę natrafiało się na tyle rzeczy naprawdę pięknych i barwnych, a z drugiej — równie szczerzy ból, że z wielu z nich trzeba rezygnować na rzecz konstrukcji, na rzecz kompozycji książki. Muszę przy tym zaznaczyć, że „Polskę Jagiellonów” pozwoliłem sobie napisać trudniej niż tom poprzedni. Jest ona utrzymana bardziej w typie eseju. Na marginesie: w tym dla mnie rekordowym roku 1960 (trzy książki w ciągu jednego roku!) wydałem także „Myśli o dawnej Polsce” będące posłowiem do „Polski Piastów” a jednocześnie przedśłowiem do „Polski Jagiellonów”. Jest to już zupełnie czysty esej, sam komentarz do faktów historycznych, ukazujący różnice między tymi okresami od strony Wawelu, od strony centrum władzy państwowej.

— *Na jakie problemy w swym spojrzeniu na historię kładzie pan największy nacisk?*

— Najbardziej interesują mnie właśnie losy i charakterystyka ośrodków władzy politycznej. Uważam bowiem, że jest to czynnik, który wprawdzie nie wszystko wyjaśnia, ale bez którego nie można zrozumieć przebiegu dziejów. Pragnę dokonać rehabilitacji historii politycznej, bez której nie zrozumiemy problemów współczesnych

— *U kogo — jak się dawniej mawiało — wydaje pan „Polskę Jagiellonów”?*

— Oczywiście tam, gdzie i „Polskę Piastów”, to znaczy w Ossolineum. Staranna edycja tamtej książki stanowi wystarczającą zachętę do dalszej współpracy z wrocławskim wydawnictwem.

Rozmawiał: Tadeusz Lutogniewski

Z GŁOGOWA NA WAWEL

**PAWEŁ
JASIEŃKA**

Zygmunt I zaliczał się do trzeciego pokolenia dynastii, jednakże jego panowanie to niemal jedna czwarta całej epoki jagiellońskiej. Dziwnie kapryśnie obszedł się los z sześciu synami króla Kazimierza. Władysława i Zygmunta długo trzymał w zdrowiu i na tronach, św. Kazimierza, Jana Olbrachta, Aleksandra i Fryderyka szybko sprzątnął. Pierwszego z nich — podobno najzdolniejszego! — według wszelkiego prawdopodobieństwa zabrała gruźlica.

Zygmunt nie doznał zbyt wielu przeszkód na drodze do władzy. Śpieszącego ze Śląska na Litwę powitał w Grodnie Michał Gliński. Wiódł siedmiuset kawalerzystów, podczas gdy królewiczowi towarzyszyło zaledwie dwustu i ta okoliczność posłużyła za ilustrację do zupełnie niesłusznych zarzutów. Miał więc rzekomo Gliński sam dążyć do objęcia tronu wielkoksiążęcego... W rzeczywistości wspierał on dynastię i jego od dawna trwającym staraniom zawdzięczał Zygmunt swe błyskawiczne sukcesy.

20 października 1506 roku został Wielkim Księciem, 8 grudnia królem polskim. Elekcja odbyła się w Piotrkowie.

Wyniesienie go na Wielkie Księstwo, dokonane bez oglądania się na Koronę, może być uważane za objaw litewskiego separatyzmu, wrogiego unii. Od stro-

ny formalnej tak to istotnie wyglądało. W gruncie rzeczy jednak — najkrótsza droga na Wawel wiodła przez Wilno. Jagiellończyk, który objął władzę nad Litwą, mógł być zupełnie pewien berła polskiego, co panowie z rady litewskiej doskonale pojmowali. Koronni też zdawali sobie sprawę z położenia, widzieli, że Litwa zdecydowanie wzięła „przodek” w obieraniu władców i stwarza fakty dokonane. Dla dobra unii godzili się z tym.

Nagły awans czterdziestoletniego już niemal królewicza kontrastował z dotychczasowymi, szarymi raczej kolejami jego żywota. Ze wszystkich braci on jeden dożył średniego wieku nie mając korony, mitry, ani purpury kardynalskiej. Nie mógł też niczego wspaniałego oczekiwać, bo rychła i bezpotomna śmierć Jana Olbrachta i Aleksandra przewidzieć się nie dawała. Był księciem bez ziemi i ze skąpych środkami utrzymania. W Koronie uważano, że zaopatrzyć go powinna Litwa, dziedzictwo rodu Jagiellonów, a znaleźć wolny grosz w kasie olbrzymiego państwa było coraz trudniej. Już w roku 1456 królowa Elżbieta musiała raz zastawić u kupców własną suknię, Jan Olbracht smętnie pisał: „Tylko długi niepomierne otrzymałem w spadku zasiadłszy na tronie królewskim”, za Aleksandra dwór niekiedy nawet żywność brał na kredyt.

Zygmunt dobijał się u braci o dział rodzinny. Najpierw żądał księstwa na Litwie, potem mówiło się o Kijowie. W 1497 roku, podczas nieszczęśliwej wyprawy bukowińskiej, zaświtała mu wizja Mołdawii. Jeszcze później chciał objąć Mazowsze i gubernatorstwo Prus Królewskich. Wszystkie plany spełzły na niczym, lecz kiedy Jan Olbracht zrzekł się tytułu „najwyższego księcia na Śląsku” i zwrócił Głogów Władysławowi, przyszedł do tego miasta Zygmunt. Było to w roku 1499.

Śląsk ówczesny rozpadał się na liczne księstwa, posiadał wspólny sejm prowincjonalny, podkreślający poniekąd historyczną jedność regionu, i cierpiał od wspólnych nieszczęść. Zaliczało się do nich przede wszystkim rozbójnictwo, uprawiane z zamięłowaniem przez wielu rycerzy. Dla gospodarki jeszcze większą bodaj klęską był „system” monetarny. Każde księstwo biło własne pieniądze, liche, o niskiej wartości. W dodatku ciągle trzeba było je przeliczać, ważyć i wymieniać, bo wcale nie każdy grosz miał wszędzie swobodny kurs.

Z ramienia brata objął Zygmunt najpierw Głogów, potem zarząd Łużyc, wreszcie namiestnictwo całego Śląska. Gospodarzył naprawdę dobrze, dbał o kraj. Zbójów tępił, chronił także ludność przed uciskiem ze strony kleru, który wymuszał daniny w sposób zupełnie nieumiłosierny. Założył w Głogowie mennicę, wypuszczającą uczciwe grosze, zwane „głogowskimi”.

Wyjeżdżającego ze Śląska księcia żegnał miejscowy poeta tymi słowami: „Tyś nam wrócił, największy z Jagiellonów, pokój i bezpieczeństwo. Tobie winien kupiec, że próżen trwogi może swobodnie z bogatym towarem spocząć, gdzie go albo zmierzch albo upał słońca zapadnie. Niewzględny na żadną zacość ani potęgę, wzięłeś zemstę ze wszystkich potworów krwi naszej nie-sytych. Pan i sługa, dzieliwszy z sobą zbrodnię, za twoim wyrokiem na jednym haku karę dzielą. Za ciebie pierwszy raz zadrzał przed haniebnym drzewem przemożny złodziej”.

Dużo przesady w tym panegiryku, bo główny zbój śląski, rycerz Krzysztof Czarny z Ryszewic, zawisł na szubienicy w kilka lat po wyjeździe Zygmunta. Królewicz działał jednak dużo dobrego, zatarł przykre wspomnienia Olbrachtowej beztroski i twardych, niesprawiedliwych postępków Karnkowskiego.

Sukcesy na Śląsku osiągnął, zjednał sobie serca człowiek, który prosto z Głogowa przeniósł się na tron polski. Widoki, zdawałoby się, promienne. Zygmunt używał tytułu: „Jego Królewskiej Mości Węgier i Czech na Górnym i Dolnym Śląsku i obojgu Łużyc najwyższy królewski haytman a sprawca”.

Rusząc po koronę polską, spokojnie i bez żadnych zastrzeżeń zwrócił Śląsk Władysławowi czeskiemu i węgierskiemu. Kraj pozostał wszak w ręku Jagiellona, nie był stracony dla dynastii. Raz jeszcze się potwierdziło, że objęcie przez nią rządów za Karpatami Śląsk od Krakowa politycznie oddaliło, gdyż zaspokajając ambicje rodzinne, tym samym paraliżowało ośrodek władzy polskiej. Nie zapominajmy, że pomimo wszystkich ustaw ograniczających uprawnienia króla, on nadal pozostawał jedynym kierownikiem polityki zagranicznej. W te sprawy sejm się jeszcze nie wtrącał. To koncepcje dynastyczne, nie mające nic wspólnego z dobrem samej Polski, a nie wschodnie apetyty zaprzepaściły Śląsk. Jagiellonowie parli ku górnej Odrze, ale kierowani fałszywą doktryną.

Zygmunt I należał do osób, u których powierzchowność służy do maskowania duszy. Wielki, ciężki, o wypukłym czole myśliciela i władcym spojrzeniu dużych oczu, z silnie zarysowanymi brwiami i wysuniętą dolną wargą, sprawiał wrażenie królewskiego mędrca, który innych na wskroś widzi, umie rozkazywać i przymuszać. Mocarz, rozdzierający palcami talię kart, potrafił imponująco wystąpić. Kiedy w roku 1497, nad Prutem, roztrzęsiony febrą Olbracht nie mógł się ruszyć z namiotu, a wojsko zaczęła ogarniać panika wzniecona pogłoską o ucieczce króla, Zygmunt dosiadł konia, przy pochodniach objechał nocą obóz i uciszył strachy.

Był dobrym i miękkim człowiekiem, ulegał wpływom tak dalece, że razu pewnego jeden z jego własnych doradców dobył ze siebie głosu rozpaczny: „Sądzę, że nadszedł czas naszego upadku, któremu sam tylko król mógłby zapobiec, gdyby zechciał być nieco surowszym i nie tak dalece zależeć od naszego zdania. Inaczej nie ma nadziei ocalenia”. Tego monarchę cechowała skłonność nie do kompromisów, które osiągać potrafią jedynie tegie charaktery, lecz do ustępstw. Niekiedy ma się wrażenie, iż poszukiwał pozoru, byle tylko pozostać bezczynnym w polityce, nie zażądać, nie przycisnąć partnera gry. Ufał na kredyt, całkiem tak, jakby sam fakt podpisania układu już gwarantował wykonanie go przez obie strony. Świat przemieniłby się niewątpliwie w raj, gdyby zaludniali go wyłącznie tacy jak Zygmunt I.

Czerstwy i zdrów do późnego wieku, duchem szybko postarzał. Czas rozbijał go coraz bardziej.

Będąc namiestnikiem Śląska znalazł sobie nieślubną towarzyszkę życia w osobie niejakej Katarzyny Telniczanki, Czeszki. Związek z nią trwał lat dwanaście i wcale nie przypominał przelotnej miłości. W cztery wiosny po wstąpieniu na tron polski doszedł Zygmunt do wniosku, że pora pomyśleć o małżeństwie politycznym. Czynność wstępna polegała na wydaniu za mąż kochanki. Ku oburzeniu własnej rodziny pojął ją Andrzej Kościelecki, podskarbi wielki koronny. Potomstwo Zygmunta I i Katarzyny zaszło wysoko. Jan „z Książąt Litewskich” został biskupem wileńskim, później poznańskim. Regina poślubiła Hieronima Szafrana z Pieskowej Skały, wielkiego pana, Katarzyna zaś jeszcze większego — Jerzego III hrabiego Montfortu. Wcześniejszy projekt wyswatania jej za wojewodę moldawskiego mocno oburzył króla.

W stosunkach osobistych Zygmunt I był solidny i stateczny. Tej ostatniej cechy na pewno nie dzielił z nim jego krakowski dwór.

Tadeusz Boy-Żeleński napisał kiedyś, że w Polsce Renesans europejski przemienił się w rzewne treny o Urszulce. Zapatrzeni w Mikołaja Reya, w jego duży talent i zupełny brak wyrafinowania umysłowego („a przed się mię w grzbiec nie tak barzo puknie...”), oraz w ziemiańskie wczasy Jana Kochanowskiego, pozór, a najwyżej część prawdy bierzemy za całą. Rzeczywistość tym łatwiej nam przeoczyć, że to, co o niej świadczy, ma postać nigdy przeważnie

nie tłumaczonych i rzadko przedrukowywanych pism łacińskich. Suche, ostrożnie i z zastrzeżeniami udzielane wiadomości mieszczą się poza tym w rozprawach specjalistów. Ilu ludzi wie, że w roku 1518 wydrukowano w Krakowie piękny, Owidiusza naśladujący poemat „Elegia amatoria”, którego autor — w przyszłości biskup chełmiński i warmiński — opiewał własną przygodę miłosną, przeżyta w Niemczech?

Cóż mówić o tym! Utrzymywano, że Mikołaj Kopernik napisał w młodości budujący zbiór kolęd pod tytułem „Siedem gwiazd”. Uczeni spierają się, czy naprawdę tak było. Nie można za to wątpić, iż przyszedł reformator astronomii przetłumaczył z greckiego na łacinę i wydał drukiem Teofilakta Simokatty „Listy obyczajowe, sielskie i erotyczne”, utwór sprzyjający filozofii bardzo ziemskiej, odległej od ideałów średniowiecza. „Listy”, tłoczone po raz pierwszy w roku 1509 przez Jana Hallera, wznowiono w 1953, wzbogacając tekst grecki i łaciński o piękny przekład polski, dokonany przez Jana Parandowskiego.

Istnieje pogląd, że dopiero Italczycy z otoczenia królowej Bony przynieśli do nas luźne obyczaje i naruszyli staropolską cnotę (co prawda, już żywot Zawiszy z Kurozwęk nieszczególnie o niej świadczył, ale tego biskupa też chętnie się przemilcza). W 1514 roku przybył do Krakowa z Włoch uczony franciszkanin Albert Fantini. Został profesorem uniwersytetu i rozwinął ożywioną działalność naukową. Prócz tego ostro zabrał się do naprawiania rozluźnionych obyczajów zakonnych, do czego miał prawo jako przełożony polskiej i czeskiej prowincji franciszkańskiej. Nie wszyscy w krakowskim klasztorze byli radzi powrotowi ascezy, toteż w nocy z 5 na 6 września 1516 roku surowy brat Fantini zginął w jego murach od noży malkontentów. Trzech głównych winowajców ścięto, kościół został zamknięty prawie na rok.

W samych początkach panowania Zygmunta I na dworze wawelskim uformowało się osobliwe towarzystwo „braci i sióstr” pragnących do syta użyć życia we wszelkich jego przejawach. Założyciel bractwa to rodowity Mazowszanin z Sochaczewskiego, Korybut Koszyrski. „...był po trosze wszystkim — pisał Władysław Pociecha —: poetą, muzykiem (cytarzystą), filozofem, lekarzem, prawnikiem a przy tym hulaką w wielkim stylu, graczem, pijakiem i miłośnikiem kobiet. Trefniś nieźrównany, dla swego dowcipu przez króla i najwybitniejsze osobistości dworu nadzwyczaj lubiany, poważany również dla swego zdrowego sądu i mądrych rad, których udzielał, uważany był przez wielu jako fenomen natury...”

Władysław Pociecha, nieźrównany znawca epoki i historyk unikający sensacji, pisał o ówczesnym środowisku dworskim:

„...zespół sekretarzy i pisarzy królewskich w swej ogromnej większości składał się z ludzi przesiąkniętych kulturą włoskiego Odrodzenia i posiadających wyższe wykształcenie, zdobyte przeważnie na uniwersytetach włoskich. Pomimo tego, że tyle wspólnych łączyło ich węzłów, każda postać, jakby na inną skrojona miarę, nosiła wybitne cechy indywidualne, znamionujące już nowożytnego człowieka. Posiew nowych prądów widać w atmosferze, jaką wytworzyli wokół siebie. Unosi się nad nimi duch buntu przeciwko staremu porządkowi z wszystkimi jego dodatkami i ujemnymi rysami: zwrot do zainteresowań człowiekiem i jego otoczeniem na ziemi, realistyczne pojmowanie życia, wybujałe pojęcie wolności preradzające się nieraz w swawolę, znajdującą upust w złośliwych satyrach i paszkwilach, nie szanujących żadnej świętości i nie uznających żadnego autorytetu, a w krańcowych swych przejawach prowadzące do wyuzdania i demoralizacji... ci ludzie przez swą ogładę i wyższą kulturę umysłową doprowadzili do zespolenia nowej cywilizacji z narodową kulturą. Większość z nich, przejęta duchem pogań-

skiego humanizmu, świadomie lub nieświadomie torowała drogę reformacji religijnej”.

Żył wtedy pisarz królewski i dworzanin Jan Zambocki, który w niewoli tureckiej podobno nawrócił się chwilowo na wiarę Proroka, a do kraju przywędrował przez Korfu i Dalmację, odbity przez Wenecjan. Mawiano o nim, że „został lutrem, zanim się Luter narodził”. Z czasem do tego doszło, że król musiał zabronić dworzanom pod karą więzienia wszelkich dysput o religii, bo pletli rzeczy zupełnie niemożliwe w zamku katolickiego monarchy. Zakaz obwieścił im z urzędu marszałek Piotr Kmita, sam będący wielkim protektorem nowych prądów kulturalnych.

Zambocki zaliczał się do przywódców stowarzyszenia „pań i panów swawolnych”. Równą z nim rolę grał Jan Dantyszek, pisarz europejskiej sławy, obdarzony przez cesarza Maksymiliana wieńcem laurowym, podróżnik, uwodziciel, niezbyt troskliwy ojciec wielu nieślubnych dzieci, dyplomata, u schyłku życia przykładny biskup i gorliwy stróż celibatu księży. Godność kanonika, a potem infule otrzymał wcześniej niż święcenia kapłańskie. Bawiąc w Niemczech pilnie i z powodzeniem zabiegał o znajomość z Lutrem, tłumacząc innemu herezjarsze, Melanchtonowi, że „kto papieża w Rzymie, a Lutra w Wittenberdze nie widział, o tym powszechnie mówią, że nic nie widział”. Później starannie odgradzał swą diecezję warmińską od wpływów reformacji, lecz pewnej tolerancji nie wyrzekł się aż do śmierci, która go dościgała w Lidzbarku, dnia 28 października 1548 roku.

Nie tylko z Marcinem Lutrem zetknął się Jan Dantyszek. Znał również cesarza Karola V, słynnego czy osławionego króla Anglii, Henryka VIII, wspaniałego Franciszka I, władcę Francji. Ścisłał dłoń Ferdynanda Corteza, łupieżcy Meksyku. A teraz nastrójmy się na inny ton — był dobrym znajomym Mikołaja Kopernika.

Zbyt wiele miejsca zajęłoby opisywanie podróży Jana Dantyszka. Wystarczy powiedzieć, że przemierzył większość krain, położonych między Hiszpanią, Anglią a Arabią. Ameryki nie odwiedził, ale się nią interesował i pisywał o niej.

Jan Zambocki to rdzenny Polak. Dantyszek był czymś o wiele bardziej osobliwym — Polakiem z dobrowolnego wyboru.

Jakoby to zwał się von Höfen i wywodził ze szlachty. Inne nazwisko, bo czas ów nie znał jeszcze paszportów, brzmiało Flachsbander. Zrujnowany przez wojnę trzynastoletnią dziad jego przeniósł się ze wsi do Gdańska i żył z wyrobu powrozów, skąd wzięło się miano. Ojciec Jana był kupcem i piwowarem. „Dantyszek”, łacińskie Dantiscus, pochodzi od niemieckiej nazwy jego rodzinnego miasta. Szczęśliwie wybrano pseudonim dla wielkiego gdańszczanina.

Niemiecki rodowód Dantyszka nie może ulegać żadnej wątpliwości. Poeta miał zresztą oblicze landsknechta. Kiedy mu w 1536 roku zarzucono, iż osłabił w nim patriotyzm polski, oburzony do głębi odpowiedział wielkim poematem „Epitalamium Reginae Bonae”, w którym wysławiał Polskę zygmuntofską. Jedenaście lat wcześniej stanowczo, choć niestety bezskutecznie, odradzał królowi miłosierdzie względem Krzyżaków. „Wszelkie prawo w tych czasach oparte jest na broni i jak widzimy u wszystkich innych, a zwłaszcza pierwszych rządców naszego świata, ten, kto ma silniejszą armię, uważany jest za mającego lepsze prawo, nie należy przeto pominąć żadnej sposobności, by zająć te ziemie, skąd tyle nieszczęść spadło na nas” — pisał. Cesarzowi wykładał, że Polska ma pełne prawo do Pomorza i Prus, przypominał mu bez ogródek, że wieśniacy z okolic Lubeki jeszcze mówią po polsku, tak samo jak Kaszubi.

Znał te sprawy. Jego matka, Krystyna z domu Schultze, była córką rajcy miasta Pucka.

W literaturze polskiej nie ma dotychczas ani jednej książki o Janie Dantyszku. Od większości jego własnych dzieł odgradza łacina.

Sporo napisano o szybkim spolszczeniu się litewskich oraz wielu ruskich magnatów i szlachty. Nie bez pożytku pewnie będzie spojrzeć na te sprawy od strony Jana Dantyszka. Powie ktoś — przylepił się do polskiego dworu, gdzie znalazł karierę. Dantyszek przez siedem lat był przedstawicielem dyplomatycznym Krakowa w Valladolid przy cesarzu, który jednocześnie władał Hiszpanią i jej koloniami w Ameryce. Kiedy już wybierał się do domu, w ostatniej chwili musiał odroczyć wyjazd. Karol V wyraził bowiem życzenie, by poseł polski towarzyszył mu w podróży do Włoch. Człowiek, w którego państwie „słońce nie zachodziło”, był także rodowitym Niemcem, głową domu Habsburgów. Przed Dantyszkiem cała Europa ówczesna stała otworem, wszędzie mógłby błyszczeć i zbierać honory. On wybrał Polskę. Przyjęty w roku 1500 na dwór Jana Olbrachta służył kolejno trzem królom, a niezmiennie krajowi, który uznawał za ojczyznę i kochał.

Dzieje wewnętrzne dawnej Polski dowodzą olbrzymiej siły przyciągania, jaką odznaczała się nasza kultura. To był jakiś przedziwny tygiel magnetyczny, który wchłaniał pierwiastki ludzkie, napływające z krajów zarówno prymitywnych, jak stojących na szczytach cywilizacji, i w niedługim czasie odmieniał je, przeistaczał na nadwiślański ład. W roku 1515 osiedlił się w Warszawie Jerzy Fugger, pochodzący z rodu potentatów finansowych Augsburga. W piętnaście lat później, dobrze już wrosły w mazowiecką stolicę, otrzymał od króla zwolnienie od obowiązku sprawowania urzędów miejskich. Uzasadnienie było oryginalne: Fugger kiepsko znał język polski. Zamiast go za to prześladować, dano mu przywilej. Bo nic, zupełnie nic w tych sprawach nie działało się wtedy siłą! Wszyscy znają dalsze losy rodziny Fukierów. Bez niej Warszawa nie byłaby sobą.

Mieszczanstwo niemieckie, tak groźne za Łokietka, w XVI wieku polszczyło się szybko. Odwieczne u nas tradycje tolerancji po unii z Litwą znalazły doskonałe warunki rozwoju. W przeciągu mizernych dwóch pokoleń kraj tak przyszedł do nowej dynastii, że przypomnienie o obcym pochodzeniu Jagiellonów stało się czymś w rodzaju rewelacji. Okoliczność będąca wyrazistym znamieniem czasu.

Książka poświęcona losom rodu królewskiego z konieczności mówi przede wszystkim o polityce. Gmatwała się ona za Jagiellonów, przestawała być tak skryształizowana i męska jak za Kazimierza Wielkiego. To wszystko prawda. Ale zwracanie głównej uwagi na jej sprawy grozi poważnym niebezpieczeństwem. Gotowiliśmy zapomnieć, że naród i jego kultura rozkwitały w pełni. XVI stulecie było pod tym względem naprawdę Złotym Wiekiem.

Pomimo znanych nam już sukcesów szlacheckich wolno mówić o narodzie i społeczeństwie. Od twardej litery ustawy sejmowej do praktycznego wykonania daleka droga. Niewątpliwym chłopem był urodzony w 1516 roku Klemens Janicki, poeta uwieńczony w Padwie. Łukasz Górnicki, tłumacz „Dworzanina” Castiglione’a i autor „Dziejów w Koronie Polskiej”, pisarz bardzo dobrej rangi, nazywał się właściwie Góra i był łykiem z Oświęcimia (chroniąc wiernego sługę przed zaczepkami król stworzył fikcję, przypisał go do herbu Ogończyk). Wykształcenie, a przez to i karierę zapewnił mu wuj, „Anserinus”, a po polsku zwyczajny Stanisław Gąsiorek z Bochni, poeta, muzyk, kapelmistrz nadwornej orkiestry Zygmunta I. O mieszczańskim pochodzeniu biskupa i dyplomaty Erazma Ciołka już się wspominało. Szlachec-



kie „von” w rodowodzie Dantyszka jest trochę wątpliwe, za to powroźnicze i kramarskie zajęcia jego bezpośrednich przodków — pewne.

Wszyscy wyżej wymienieni zawdzięczali pomyślność dworowi lub osobom stojącym u podnóży tronu, jak Kmita, dobrodziej Janickiego. Król dał herbowi (i powiatowi), królewietą nie odjęli, aczkolwiek wymierzone przeciwko ludowi ustawy na sejmach uchwalali. To zestawienie jest ważne, wymienia bowiem dwie siły polityki wewnętrznej, których harmonijna współpraca mogła zapewnić krajowi niejaką równowagę społeczną — króla i zwykłą szlachtę.

W samych początkach panowania Zygmunta I, a mianowicie w roku 1507, Jan Haller wydrukował w Krakowie łaciński traktat polityczny pióra księdza Stanisława Zaborowskiego, zatytułowany „O naturze praw i dóbr królewskich oraz o naprawie królestwa i rządzie Rzeczypospolitej”. Posłuchajmy, jak Władysław Pociecha streszcza wywody Zaborowskiego, który pojmuje „władzę królewską jako samoistną i nadrzędną, ale nie absolutną. Władzę królewską ograniczają bowiem obowiązujące prawa. Nawet w połączeniu z panami nie może król naruszyć tego, co stanowi własność rządzonego przezeń społeczeństwa; naród nie ma władzy nad królem, ale jest panem swego życia i mienia, którego nie wolno królowi samowolnie naruszyć, a jeśli to w interesie całości jest konieczne, winien król uzyskać zezwolenie całego narodu” (czyli reprezentowanej przez sejm szlachty, oczywiście).

Zaborowski powiada, że monarcha, „który naukami się nie opiekuje i nie chce, żeby poddani jego byli oświeceni, nie jest królem, lecz tyranem”. Za zgodą ogółu wolno więc czynić nadania na cele kultury, natomiast wszelkie inne darowizny „są nieprawne i winny być zwrócone”.

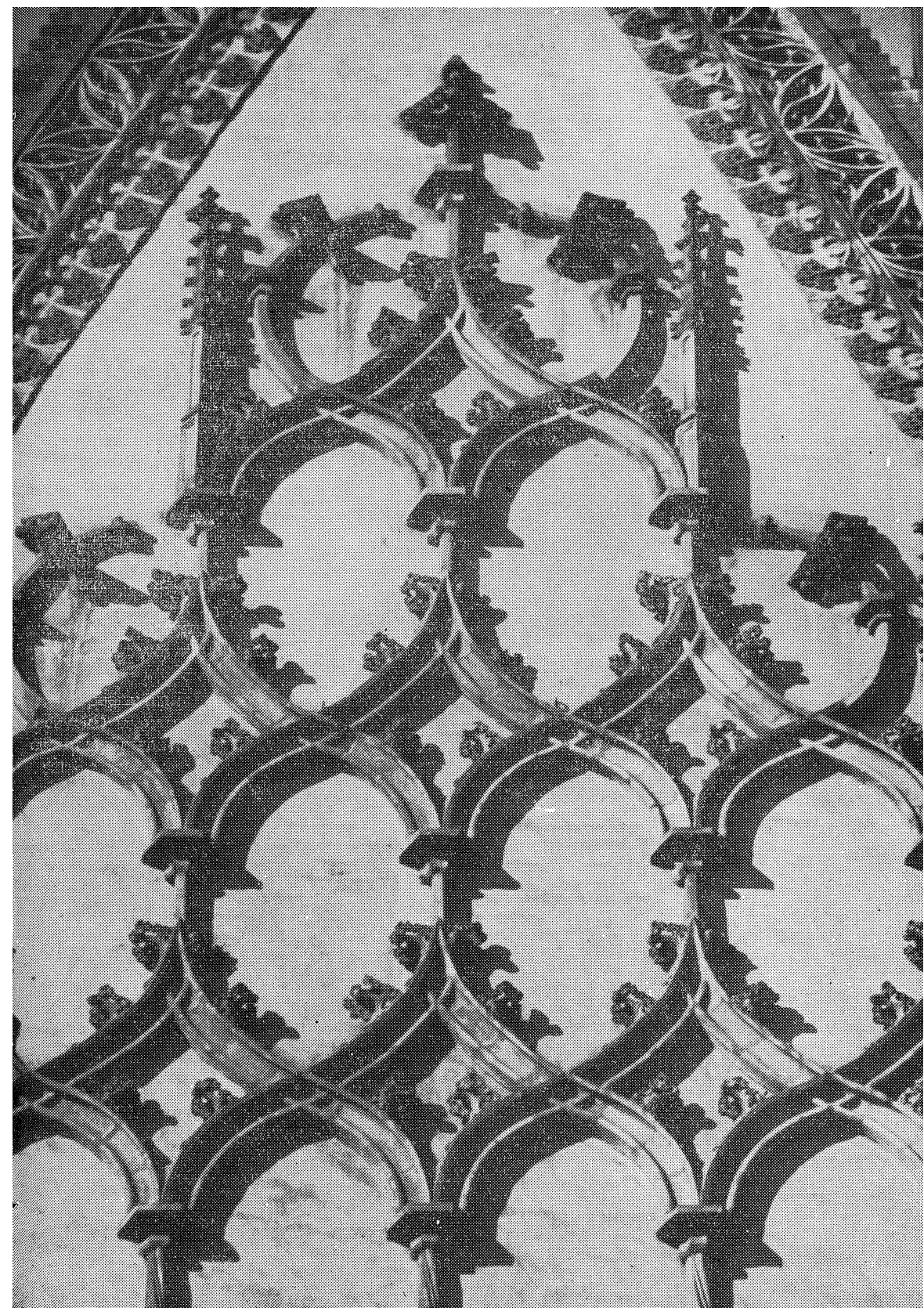
Wcale wcześniej sformułowano więc w Polsce ideał, do którego i dziś jeszcze wielu ludzi wzdycha: czynnikiem jedynie w państwie panującym jest *p r a w o*, które wolno w sposób legalny zmieniać, lecz którego nie wolno łamać. Traktat Zaborowskiego to jedna z najwcześniejszych zapowiedzi słynnego programu „egzekucji”, czyli wykonania praw, o którym głośno było w Polsce aż do końca epoki jagiellońskiej.

Ogół szlachty ówczesnej nie bawił się w subtelności. Polityka nigdy zresztą nie przypomina dyskusji filozoficznej. Istota jej to walka określonych interesów i sił, a nie spór naukowy pomiędzy zwolennikami rozmaitych poglądów. Szlachcie chodziło o złamanie potęgi magnackiej i o własny awans, lecz także o zwrot zagarniętych przez możnych dóbr koronnych oraz o zmuszenie przebogatego kleru do ponoszenia ciężarów materialnych na rzecz państwa. Jest zupełnie jasne, że szlachta pilnie strzegła swej przewagi nad mieszczańinem i chłopem, a wyciskając kabzy wielmożów i duchowieństwa pragnęła ulżyć sobie w podatkach. Ale w grze uczestniczył jeszcze jeden wielkiej wagi czynnik — król.

Monarcha jest pierwszym wśród szlachty, lecz zajmuje pozycję, która go siłą faktu skłania do troski o całe państwo. Dowodzą tego liczne przykłady historii europejskiej. Najbardziej wyniosli królowie, o ile tylko posiadali rzeczywistą władzę, zawsze dbali o pewną równowagę społeczną, nie pozwalali na zupełne stłamszenie pospólstwa. I ono zdawało sobie sprawę z tej prawdy, czego wielce oryginalnym świadectwem są na przykład wiersze wspomnianego przed chwilą Anserinusa-Gąsiora. Ten plebejusz sławi w swych utworach nie takich czy innych ludzi, ale państwo, królestwo polskie!

W XVI wieku położenie tak u nas wyglądało, że utrzymać władzę mógł król tylko w sojuszu ze średnią szlachtą. Moźni chcieli zeń uczynić popychadło, a miasta nadal uprawiały katastrofalną politykę... stronienia od polityki.

Po tragicznym zgonie Władysława Warneńczyka zaczął się w Polsce wy-



kształcać system współpracy królów ze zwykłym ziemiaństwem. Dotyczyło to tylko Korony, lecz trwało za Kazimierza, Olbrachta i wbrew ogromnym trudnościom za Aleksandra. Można więc uznać ów system za tradycję jagiellońską. W czasach Zygmunta I uległa ona zwichnięciu.

Nowy król, zanim przybył na Wawel, praktykował w niedobrej szkole. Dziesięciolecia przeżyte w przykrej roli książęcego petenta musiały jeszcze bardziej pogłębić wrodzoną mu bierność (w przyszłości kronikarz miał zapisać, iż król „na nieprzyjaciela się nie ruszył aż za wielką krzywdą”). Bawiąc długo w państwach brata, Władysława, nawykł do tamtejszych wzorców. Były to przykłady złe, jak najgorsze. Przy słabym, nieudolnym królu Czechy i Węgry popadły w zupełne rozprzężenie, magnaci wszystkim trzęśli. Z właściwą mu skłonnością do konserwatyzmu Zygmunt przeszczepił na Wawel to, do czego się przyzwyczail.

Zostawszy królem podniósł na krajowe szczyty tych samych ludzi, z którymi żył się wcześniej. Krzysztof Szydłowiecki jeździł kiedyś na Litwę zabiegać o dział dla niego, teraz doszedł do wielkiego znaczenia, został z czasem kanclerzem oraz kasztelanem krakowskim. Piotr Tomicki od 1502 roku zaglądał do Głogowa. Osiągnął godność biskupa poznańskiego i podkanclerzego, czego wyraźnie zabraniała ustawa z roku 1504. Nie działała ona również w stosunku do Szydłowieckiego.

Ci dwaj mężowie wywierali decydujący wpływ na politykę wewnętrzną i zagraniczną, byli jej właściwymi kierownikami. Obu ich cechował brak zrozumienia dla niebezpieczeństw idących z Niemiec, a także skłonność do ulegania Habsburgom. Gładki światowiec Szydłowiecki był wobec rodu cesarskiego tak uprzejmy, że nie odmawiał przyjmowania pieniędzy i zdradzał tajemnice państwowe. Tomicki nie czynił tego, ale też daleki był od nieustępliwości, nie mówiąc już o programie odzyskania strat nad Odrą. Ich rządy wewnętrzne pozostawały w rażącej sprzeczności ze wspomnianą już jagiellońską tradycją szukania oparcia w tłumach szlachty. Dzięki tym dwóm, całej kohorcie ich towarzyszy oraz własnym błędom Zygmunt I przeszedł do historii jako „król senatorski”.

Mniej więcej na połowie drogi pomiędzy Warszawą a Krakowem leży miasteczko Szydłowiec, gniazdo rodu kanclerza. Oprócz innych pięknych zabytków jest tam również wspaniały pałac renesansowy, ostatnio podniesiony z zaniechania i odnowiony. Krzysztof miał same córki, taki sam los spotkał jego braci, i licznie rozrodzona familia wygasła na tym pokoleniu, które zrobiło świetną karierę. Szydłowiec przeszedł prawem dziedzictwa na Radziwiłłów, spadając do roli ich podrzędnego i odległego folwarku. Znamienne jest to swobodne i niczym nieskrępowane sadowienie się litewskich potentatów w samym środku ziem rdzennie polskich. Ekspansja magnacka szła, jak widzimy, w obie strony, a nie tylko na wschód (wkrótce przekonamy się, że Litwinom było nawet łatwiej przenikać do Polski niż Polakom do Wielkiego Księstwa, przed czym zabezpieczało tamtejsze prawo). Możliwe rody obu krajów zrastały się już we wspólny organizm i grały tę samą rolę polityczną. Za Zygmunta I wszechpotężny na Litwie był Olbracht Gasztołd, kolejno wojewoda nowogródzki, połocki, trocki, wileński i kanclerz wielki. Jego syn Stanisław — ostatni z rodu — pojął za żonę Barbarę z domu Radziwiłłów. Miał kto zgłaszać się do spadku po wymierających Szydłowieckich, Gasztołdach, nawet po Piastach mazowieckich.

W poprzecznej nawie słynnej kolegiaty opatowskiej (wybudowanej z kamiennego ciosu w tym samym roku, z którego pochodzi najwcześniejsza wzmianka kronik o Moskwie) znajduje się nagrobek rodu Szydłowieckich.

Znawcy zaliczają go do najlepszych dzieł sztuki odlewniczej na kontynencie Europy. Szczególnie sławny jest „lament opatowski”, płaskorzeźba przedstawiająca rozpacz społeczeństwa po zgonie kanclerza, ukazująca też postać samego króla Zygmunta I.

Zdaniem historyków, otaczający się niebywałym przepychem Szydłowiecki traktował sprawy kultury powierzchownie, sztuka służyła mu za środek do uprzyjemnienia życia i uświetnienia własnej postaci. Inaczej Tomicki, który należał do najbardziej światłych i wyrafinowanych umysłów owej doby, stawiającej ludziom nie lada wymagania. Podkanclerzy nie ustępował żadnemu ze sławnych podówczas Włochów, wielu przewyższał.

Ci wielcy panowie przenieśli zamięszanie do komfortu w dziedzinę polityki. Nie lubili się fatygować rozwiązywaniem zagadnień trudnych, woleli odsuwać od siebie kłopoty. Tymczasem położenie państwa wymagało postępowania wręcz przeciwnego. Był najwyższy czas załatwić choćby część spraw zaniedbanych lub zawieszonych od pokoleń, a przy lada okazji grożących jeszcze gorszą lawiną od tej, która spadła na państwo po bukowińskiej klęsce Olbrachta. Ogólny układ okoliczności europejskich sprawił, że potop lunął dopiero w całe stulecie później, w połowie XVII wieku.

Jednej ze swych śląskich przyjaźni nie umiał, niestety, Zygmunt I dopilnować. Legnicą rządził wtedy Fryderyk II z rodu Piastów (matka jego, Ludmiła, była córką Jerzego z Podiebrad, króla Czech). Obaj mężowie pozostawiali ze sobą w doskonałych stosunkach, współpracowali, odwiedzali się nawzajem. Jeszcze lepiej zaczęło się wszystko zapowiadać, kiedy Fryderyk w roku 1516 poślubił siostrę królewską, Elżbietę Jagiellonkę, która zmarła w kilkanaście miesięcy później. Rodzina następnej małżonki księcia pilniej dbała o swe interesy. Byli to Hohenzollernowie z Berlina. Fryderyk II związał się z nimi na śmierć i życie, torował im drogę na Śląsk (od niego, co prawda po kądzieli, wywodzi się Fryderyk II Wielki, zdobywca Śląska dla Prus, rozbiorca Polski). Wkrótce zobaczymy, jak bardzo ten Piast śląski ułatwiał Hohenzollernom robotę. Był człowiekiem bardzo zdolnym, gospodarzem znakomitym. W Legnicy istnieje pamiątka po nim w postaci portalu zamkowego. On również zapoczątkował przebudowę zamku w Brzegu, którego to dzieła dokończył jego syn i następca, Jerzy II.

Szydłowiecki i Tomicki byli przeciwnikami Jana Łaskiego. Zepchnęli go ze świecznika, lecz bynajmniej nie w cień. W 1510 roku Łaski poszedł wysoko — został arcybiskupem gnieźnieńskim, prymasem. Spotkał go więc ten sam awans, który po Grunwaldzie stał się udziałem Mikołaja Trąby. Wyniesienie na kościelną stolicę Polski w zupełnie zrozumiały sposób odsuwało od czynnej polityki, kierowanej wszak przez Kraków, a nie przez Gniezno.

Łaski wybił się, doszedł do znaczenia własnym wysiłkiem oraz dzięki poparciu króla Aleksandra Jagiellończyka. Pochodził z magnaterii, pradziad jego był kasztelanem łędzkim. Rodzina podupadła jednak i przyszłego kanclerza nie stać było na ukończenie uniwersytetu.

Jan Łaski przewodził ziemiaństwu, a przede wszystkim szlachcie wielkopolskiej, której uwaga po dawnemu zwracała się na zachód i północ. Jeśli chodzi o politykę zagraniczną, obóz Łaskiego — zwany niekiedy „narodowym” — żądał rozwiązania sprawy Prus i Pomorza, był należycie wyczulony na niebezpieczeństwo niemieckie. W polityce wewnętrznej popierał program „egzekucji praw”. Przecież to Łaski jeszcze za Aleksandra przyczynił się do umniejszenia przywilejów magnackich, podał królowi pomocną dłoń.

W otoczeniu Łaskiego stawiał pierwsze kroki Andrzej Frycz Modrzewski,

którego wielkie dzieło „O poprawie Rzeczypospolitej” zawiera i takie wywody:

„Jeśli by się tedy miało ustanawiać jakieś różnice w karaniu, to ciężej należy karać tych, co stoją na wyższym stopniu dostojęstwa, niż tych, co na niższym; surowiej bogatych niż biednych, szlachtę niż plebejuszów, tych, co na urzędach niż ludzi prywatnych... im wyżej stoi przestępca, tym jego zbrodnia widoczniejsza i zwykle licznych znajduje naśladowców... Skoro bowiem obowiązkiem praw jest krzywdom zapobiegać, to z pewnością nie inaczej się to osiągnie, jak karząc gwałci- cieli ludzi ubogich srożej niż tych, co krzywdzą bogatych. Bo nie tak łatwo po- krzywdzić możnych jak ludzi niższego stanu, których krzywdy przeto surowiej trzeba karać niż krzywdy tamtych...”

Obóz Łaskiego to za Zygmunta I opozycja polityczna! Było prawdziwą tra- gedią, że ci, co szczerze chcieli „poprawy Rzeczypospolitej”, musieli iść przeciwko rządowi królewskiemu. Praktyka dowiodła nieskończoną ilość razy, że długotrwale pozostawanie w opozycji wykołaja ludzi, wdraża ich do na- wykowego wykrzykiwania: „nie!”

Broniąca się przed przewagą magnatów szlachta węgierska wywalczyła sobie prawo odbywania periodycznych zjazdów na polu Rakos. Mogli w nich uczest- niczyć wszyscy herbowi. Ta sama tendencja przenosi się i do nas, a obca nazwa pola obrad przemienia w doskonale znane słowo: rokosz. Opozycyjna szlachta polska też dba o prawo do tłumnego występowania. Dążenie to osła- bia znaczenie sejmu, który dopiero co uformował się jako ciało reprezentacyjne, ogólnopaństwowe, wysuwa zaś na plan pierwszy sejmik ziemski, dostępny dla wszystkich „urodzonych”. W ten sposób pomału wykształca się też podłoże dla przyszłej zasady obierania królów przez zgromadzenie szlachty całego państwa. „Kupą, mości panowie!” — hasło zupełnie naturalne u tych, co spierali się z możniejszymi.

Na razie jednak troska szlachty o prawo do masowego występowania wy- bitnie szkodziła obronności kraju. Pospolite ruszenie było już przeżytkiem, skutecznie wojowało się wtedy jedynie zaciężnym żołnierzem, który wymagał pieniędzy. Tymczasem sejmy skąpiły grosza. Przyczyna nie leżała w samym tylko sobkostwie szlachty (aczkolwiek niechęć do płacenia podatków zalicza się do czynników kształtujących historię wszystkich krajów pod słońcem). Każde pospolite ruszenie to wszak masowy zjazd rycerstwa, dający okazję do debat politycznych czy nawet demonstracji. Ziemiaństwo nie chciało wy- zbyć się tego środka działania, a w rezultacie wojska stałego było w kraju śmiesznie mało.

Wytwarzało się nieszczęsne błędne koło: centralna władza państwowa po- zostawała w niezgodzie z obozem politycznym, który chciał państwo uporząd- kować i wzmocnić.

Zygmunt I przywiózł jednak na Wawel nie tylko bierność i skłonność do ulegania magnaterii. Cechowały go ponadto zamiłowania, dzięki którym o słabych stronach jego rządów trzeba dziś przypominać, zapewne gorsząc czytelników. Wkrótce po objęciu władzy nakazał przebudowę zamku stołecz- nego. Zanim Bona ze swymi Italczykami przybyła do Polski, arkadowy dzie- dziniec Wawelu był już od dawna gotów. Przebywając podczas wojny w Wilnie znalazł król czas na przejrzenie i zatwierdzenie planów kaplicy Zygmuntow- skiej, wykonanych przez Bartłomieja Berecci.

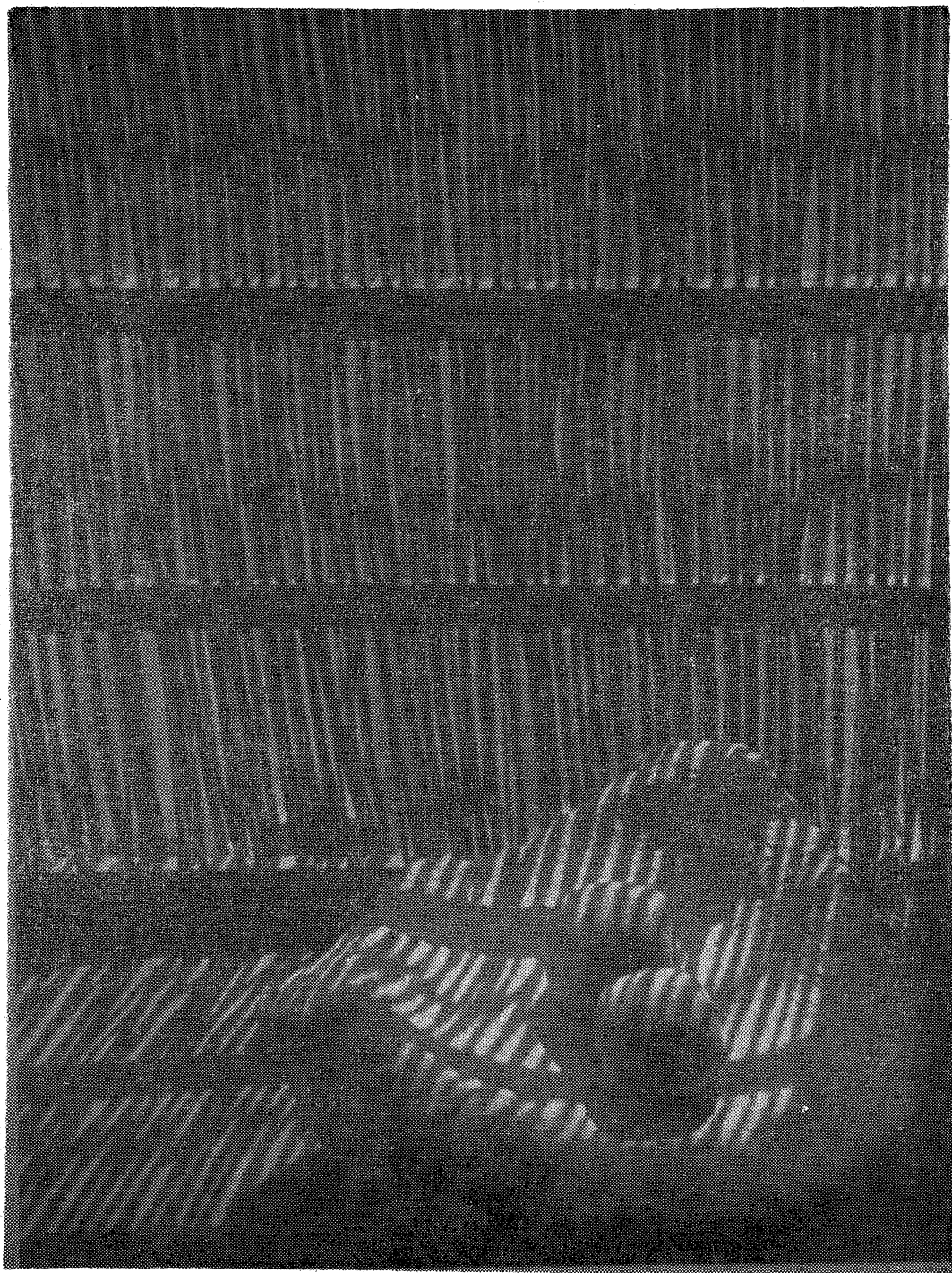
Zygmunt I był głęboko religijny, w jego obyczajach sporo z tradycji średnio- wiecza. Nie tyle jednak, co w postępowaniu współczesnego mu cesarza Maksymiliana I, który gdziekolwiek pojechał, wszędzie woził ze sobą własną trumnę.

Paweł Jasienica



Fot. Zdzisław Zieliński

Fotogramy na str. 49 i 51 — Stefana Arczyńskiego. Pierwszy przedstawia fragment zamku piastowskiego w Brzegu, drugi — fragment wschodniej strony wrocławskiego ratusza.

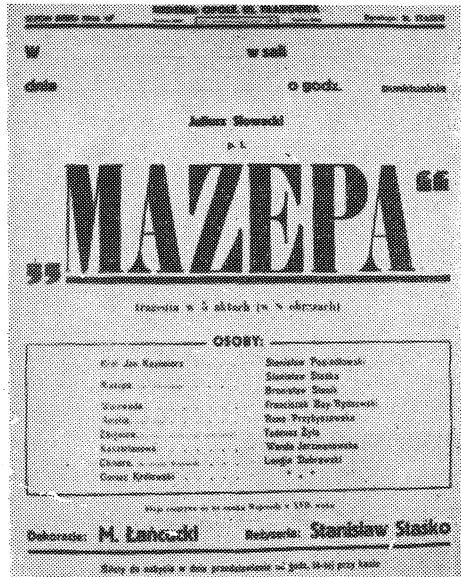


Motyw z Biskupina.

Fot. Kazimierz Czobaniuk

OPOLANIE I ICH TEATR

**KRYSTYNA
KONOPACKA
C S A L A**



Sezon 1946/47. Afisz zapowiadający przyjazd zespołu Teatru Ziemi Opolskiej. W spisie aktorów widoczne nazwiska Franciszka Bay-Rydzewskiego i Tadeusza Żyły (Żylińskiego), którzy do dziś występują na scenie opolskiej.

Chcąc pisać o pracy Państwowego Teatru Ziemi Opolskiej wśród rodzimej ludności Opolszczyzny, należałoby właściwie zacząć tak:

„Po latach germanizacji, po latach szykan niemieckich i hitlerowskiego terro-
ru, po mrocznym okresie niewoli, Polacy na Opolszczyźnie otrzymali
w 1945 roku swój własny, polski teatr. Teatr ten zaspokajał ich głód ojczy-
stego słowa, ofiarował im szczerze piękno polskiego języka, wynagradzając
wieloletnią tęsknotę”.

Można by tak zacząć, ale wówczas każdy czytelnik skrzywiłby się z nie-
smakiem. Że banał, że patos i że wytarte slogany. W naszych trzeźwych
czasach patos uważany jest za coś „w złym guście” i — jak to się mówi —
nie chwytą.

Więc zaczęć inaczej, chociaż ... chociaż klęć się na swoje 6-letnie obywa-
telstwo opolskie, że olbrzymia większość tutejszych ludzi właśnie tak „pate-
tycznie” opisałyby swoje wrażenia z pierwszych przedstawień opolskiego
teatru! Tylko że przy owych patetycznych słowach wyczuliłbyśmy w głosie
rdzennego Opolanina szczere wzruszenie, a wówczas ... slogan przestałby na-
tychmiast być sloganem. Obawiając się, że nie potrafię nadać drukowanemu
słowu właściwego ciepła, przechodzę do suchych faktów i cyfr.

Przed pięćdziesięcioma laty odbył się w Niemczech powszechny spis ludności.
Objęto nim oczywiście również Opolszczyznę, jako że Opole figurowało wtedy
na mapie pod „czysto niemiecką” nazwą *Oppeln*. Skrupulatni panowie
z *Regierungsbezirk Oppeln* podsunęli więc każdemu z tutejszych mieszkańców
kwestionariusz, w którym znajdowała się m.in. rubryka: „Język macierzysty”.
W nagłówku owej rubryki wymieniono szereg przedziwnych języków naro-
dowych, bo oprócz języka polskiego i niemieckiego znajdował się także ję-
zyk ... mazurski (!!) i kaszubski! Pomińmy jednak to cudowne rozmnożenie
narodów Europy środkowej, a pozostajmy przy najważniejszych w tej chwili

dla nas dwóch językach: polskim i niemieckim. W kwestionariuszu uwzględniono również tzw. grupę „dwujęzyczną” — polsko-niemiecką; przewidujący organizatorzy spisu chcieli bowiem zapewnić sobie w statystyce jak największy procent niemieczyzny na Opolszczyźnie i pozostawili furtkę dla bardziej ostrożnych którzy w obawie przed szykanami politycznymi nie przyznawali się do języka polskiego, jako rzeczywiście i wyłącznie macierzystego. Rzecz jasna, że nikt spośród tych, którzy mieszkając na terenie objętym niemiecką władzą deklarowali „dwujęzyczną macierzystość”, nie uważał się za Niemca. Owa „dwujęzyczność” była dla wielu Polaków po prostu pewnego rodzaju asekuracją i mamy oczywiście pełne prawo traktować ich jako bezspornych rodaków. W rezultacie więc statystycy z *Regierungsbezirk Oppeln* zarejestrowali w 1910 roku 1.200.067 mieszkańców Opolszczyzny i części Górnego Śląska, z czego 643.600 osób potwierdziło używanie języka polskiego jako macierzystego lub jako jednego z „dwóch macierzystych”. Dla dokładności dodajmy przy tym, że liczby te dotyczyły również trzech powiatów górnośląskich, które obecnie nie należą do województwa opolskiego a miały zawsze duże zagęszczenie ludności. Równocześnie jednak dzisiejsza Opolszczyzna adoptowała część dawnego okręgu wrocławskiego. Obliczenia tych różnic i zmian zbyt dużo zajęłyby tu miejsca, więc ograniczmy się do ostatecznego stwierdzenia: z oficjalnych statystyk niemieckich z 1910 r. wynika, że blisko 70% mieszkańców Opolszczyzny uważało się za Polaków.

Były to jednak dla Polan czasy wręcz sielankowe w porównaniu z tym, co po dwudziestu paru latach przyniósł ze sobą reżym hitlerowski. Patriotyzm polski stawał się grzechem coraz cięższym i coraz okrutniej karanym. Oczywiście oficjalne dane niemieckie fałszowały wówczas faktyczny układ stosunków narodowościowych na Śląsku. Na szczęście jednak w czasie mroźnych dni styczniowych 1945 r. opuszczający pośpiesznie biura urzędnicy Führera byli na tyle roztargnieni, że pozostawili w archiwach ciekawe papiery. Były to dokumenty z 1935 r., opatrzone stemplem „Bund Deutscher Osten” oraz adnotacją „streng vertraulich!”. Stwierdzały one niezbitcie, iż w wymienionym roku na Opolszczyźnie i w trzech powiatach Górnego Śląska mieszkało *około 550.000 Polaków*. Przykra to musiała być dla Führera liczba i nic dziwnego, że ukrywano ją jako ściśle poufną...

I wreszcie 17 maja 1939 przeprowadzono jeszcze jeden spis ludności, który znowu nie przyniósł hitlerowskim urzędnikom zbyt wiele satysfakcji: na 1.529.258 mieszkańców części Górnego Śląska i Opolszczyzny odnotowano istnienie... 850.000 Polaków (łącznie z „dwujęzycznymi”). Jak na przeddzień wojny, było to stanowczo za dużo, toteż w przyśpieszonym tempie ograniczano swobodę działania tych najaktywniejszych. Czekwały na nich wrota z napisem: „Arbeit macht frei”, czekały więzienia i krematoria.

Trudno więc chyba doszukiwać się banału i patosu w stwierdzeniu oczywistego faktu, że ogromna musiała być to miłość do ojczystego języka, skoro po paru wiekach obcych rządów i terroru setki tysięcy ludzi deklarowały swoją polskość. Ogromna musiała to być tęsknota, skoro kazała tak długo i wytrwale czekać na Polskę.

Wobec tego mamy pełne prawo wierzyć, że pierwsze przedstawienia pierwszego polskiego teatru na Opolszczyźnie były dla tutejszej polskiej ludności wielkim, wzruszającym przeżyciem. Zresztą w pionierskim zespole opolskiego teatru znaleźli się także ci, którzy nie tylko na ów teatr czekali, ale tęsknotę swoją gorzko opłacili. Już w październiku 1945 r. ruszyła w teren ciężarówka, kryta plandeką. Obok owiniętego w koce dyrektora Stanisława Staśki siedział w wytartej marynareczce Alojzy Smolka. Smolka związał się wpraw-

dzie od razu z opolską sceną dramatyczną, ale w głębi serca krył marzenie o zorganizowaniu teatru lalkowego. Nie był w tej dziedzinie nowicjuszem; jeszcze w 1937 r., w okresie szalejącego terroru hitlerowskiego, przemyczał się od miasteczek do wsi opolskich z miniaturowym teatrykiem kukiełek. Pomagał mu wówczas Artur Gadziński, zapalony działacz harcerski. Obaj z uporem montowali dziecięcy teatrzyk kukiełkowy. Malowali nocami dekoracje, zszywali kurtynki, stroili lalki w barwne szmatki. Smolka je projektował i uczył ludzi tajemnej sztuki ożywiania martwych kukiełek, a Gadziński używał swego głosu wszelkim szmacianym psom, kotom i smokom. Kukielki miały w oczach władzy niemieckiej jedną niewybaczalną wadę: mówiły po polsku. Grzech ten jeszcze ciężiej obarczył i tak już „nieczyste” sumienia polskich patriotów. Ojciec opolskich lalek, Alojzy Smolka, znalazł się w czasie wojny najpierw w więzieniu, a potem w katowni tzw. „Zuchthausu”.

Kiedy wreszcie w sezonie 1948–49 (kierownictwo opolskiego teatru spoczywało wówczas w rękach Ireny i Tadeusza Byrskich) uruchomiono scenę lalkową, powierzono ją oczywiście Alojzemu Smolce. W pół roku potem w teatrze opolskim znalazł się jego przedwojenny towarzysz, Artur Gadziński i jako główny księgowy wziął w swoje ręce finansową gospodarkę obydwu scen. Praca w teatrze miała widać magiczną moc, skoro przywróciła owym rękom pełną sprawność. Były to bowiem ręce utrudzone nadludzką pracą w ciągu sześciu lat pobytu w buchenwaldzkim obozie koncentracyjnym. Dziś Artur



Rok 1946. Tak się wtedy jeździło w teren... Dziś Teatr Ziemi Opolskiej dysponuje wygodnymi autokarami.

Gadziński jest wicedyrektorem Państwowego Teatru Ziemi Opolskiej i razem z Alojzym Smolką, kierownikiem artystycznym sceny lalkowej, z rozrzewnieniem wspominają narodziny polskich lalek w Opolu. Od dziesięciu lat prawą ręką Smolki jest plastyk — scenograf Zygmunt Smandzik, syn i wnuk powstańców śląskich.

Od pierwszych dni swego istnienia opolski teatr zdawał sobie sprawę ze swoich obowiązków wobec regionu. Chodziło nie tylko o zaspokojenie głodu polskiej mowy. Chodziło również o akcję repolonizacyjną wobec tych, którzy choćby tylko powierzchownie ulegli wpływowi germanizacji. Jest przecież rzeczą jasną, że niemiecka szkoła, niemiecki „dryl” i terror miały dostatecznie dużo czasu na skażenie polskość wielu naszych rodaków. Niejednokrotnie słyszało się w pierwszych latach powojennych zdanie: „My nie Germani i nie Polaki. My Ślązaki”. Było to owo maksimum satysfakcji, jaką udało się Niemcom osiągnąć na tych terenach. Wmówili w niektórych mieszkańców Opolszczyzny przekonanie, że stanowią oni odrębną, śląską narodowość. Przypominają się tu sławetni „Gorallen” z polskich Tatr, których powołała do życia narodowościowego hitlerowska propaganda. Ale o tym „narodzie” mówiło się zaledwie przez pięć lat ostatniej wojny. Natomiast pojęcie odrębności narodowej Ślązaków zaszczepiano Opolszczyźnie przez całe wieki. Nic dziwnego, że polskość niektórych zaczynała ulegać martwocie. Powojenny teatr polski chciał ją ożywić i odzyskać.

Najskuteczniejszą bronią okazała się tu polska klasyka dramatyczna. Wiadomo, że w pierwszych latach po wojnie nasze teatry cierpiały na eklektyzm repertuarowy. Niełatwo przecież było odnaleźć od razu najwłaściwszą linię ideowo-artystyczną. Można zresztą było przymknąć oko na eklektyzm repertuaru w Warszawie, w Krakowie czy w Łodzi, ale teatr w Opolu, Szczecinie lub w Jeleniej Górze miał specjalne zadania polityczne. Na szczęście dyrekcja i zespół sceny opolskiej rozumiały te swoje obowiązki. I chociaż przez pierwsze trzy sezony trzeba było grać 30 premier rocznie (teatr bez dotacji państwowej musiał być samowystarczalny!), to nie zapomniano o najważniejszej w tych okolicznościach sprawie: o polskości repertuaru. Podpieranono Opolszczyźnie przede wszystkim Słowackiego („Balladyna”, „Kordian”, „Mazepa”), Mickiewicza („Dziady”), Zablockiego, Fredrę (5 komedii), Korzeniowskiego, Blizińskiego, Rittnera, Perzyńskiego, Zapolską, Rydla, Bałuckiego, wreszcie Nałkowską, Grzymałę-Siedleckiego, Niewiarowicza i Juran-dota. Jeżeli w tych samych trzech sezonach (dyrekcja Stanisława Staśki) na scenie opolskiej pojawił się Szekspir, Corneille, Dickens, Simonow i Tennessee, to trzeba przyznać, że ofensywa kulturalna opolskiego teatru rozwijała się co najmniej prawidłowo. Dla zadokumentowania swej postawy wobec klasyki polskiej teatr przybrał w 1946 r. nazwę Miejskiego Teatru im. Juliusza Słowackiego.

Polska sztuka klasyczna była (i jest) przyjmowana na Opolszczyźnie szczególnie gorąco. Polegało to nie tylko na chęci zaspokojenia głodu polskiego słowa. Bardzo ważną rolę grała tu bliskość owego dawnego stylu, dawnego języka. Nie zapominajmy, że władze niemieckie w ciągu ostatnich stu lat robiły wszystko, aby nie dopuścić na te tereny nowych książek polskich. Krążyły więc po wsiach i miasteczkach wytarte przez setki rąk tomy „Pana Tadeusza”, dziewiętnastowieczne śpiewniki i dziewiętnastowieczne śląskie poezje ludowe. Na tym stylu i na tym języku wychowały się ostatnie pokolenia Opolan. To, co w centralnej Polsce wydaje się dziś widzowi teatralnemu zbyt archaiczne, nużące i nieco już obce, tu okazuje się jak najbardziej własne

i bliskie. Nawet jeszcze odleglejsza w czasie staropolszczyzna jest tutaj także komunikatywna i świetnie przyjmowana z tej prostej przyczyny, że jej składnia i szereg wyrażen mają wspólny trzon językowy ze starą gwarą opolską. W tych warunkach nasycenie repertuaru teatralnego polską klasyką było nie tylko „odgórnym” posunięciem dydaktycznym, ale również wykonaniem szerokiego „zamówienia społecznego”.

Oczywiście nie można było kultywować wyłącznie dziewiętnastowiecznych tradycji. Trzeba było wpuścić na scenę współczesność. I tu znowu opolski teatr mimo ciężkiego okresu reorganizacyjnego (czterech dyrektorów w ciągu czterech sezonów!) okazał właściwe wycucie swych zadań i potrzeb. Oprócz cennych pozycji klasycznych (Fredro, Zabłocki, Prus, Zapolska, Molier, Lorca, Dickens, Schiller, Gogol, Tolstoj, Shaw) wystawił istotnie niezłe sztuki współczesne: „Wyspa Pokoju” Pietrowa, „Przyjaciele” Uspienskiego, „Tu mówi Tajmyr” Isajewa i Galicza, „Okno w lesie” Rachmanowa i Rysa, „Pieją koguty” Bałuszisa, „Dobry człowiek” Gruszczyńskiego, „Próba sił” Lutowskiego, „Kalinowy gaj” Korniejczuka — oraz nowości zachodnie, jak „Przyjaciel przyjdzie wieczorem” Companeza i „Najszczęśliwszy człowiek na świecie” Maltza. Specjalnie związane z tym terenem było „Wzgórze 38” Lutowskiego, które ożywiało wspomnienia powstań śląskich i własnych przeżyć walczącej Opolszczyzny.

Istną inwazją współczesności teatralnej był okres, kiedy oblicze artystyczne sceny opolskiej formowała Krystyna Skuszanka (1952–1955). Współczesność polegała tym razem nie tylko na doborze sztuk, ale i na sposobie ich wystawienia. Skuszanka plus Tadeusz Kantor plus Wojciech Krakowski i wreszcie Józef Szajna zaszokowali Opolszczyznę nowoczesną inscenizacją. Szok był silny. Masowa publiczność tutejsza, składająca się z ludności rodzimej i napływowej (przeważnie zza Bugu), wychowała się głównie na tradycjach dosłownego teatru amatorskiego, a w najlepszym wypadku na zawodowym teatrze mieszczańskim. Dotychczasowa działalność opolskiej sceny (w roku 1949 upaństwowionej i nazwanej Państwowym Teatrem Ziemi Opolskiej) rzadko kiedy odbiegała od owych form. I oto nagle pokazano Opolszczyźnie super-umowne dekoracje i kostiumy, nagle przemówiono do niej zupełnie nowym, obcym jej językiem teatralnym. Znamy bezkompromisowość założeń artystycznych Skuszanki. Ta debiutująca wówczas reżyserka nie zrażała się oporami widowni. Konsekwentnie, uparcie tworzyła własne wizje teatralne, narażając się na zarzuty, że pracuje „bardziej dla krytyków warszawskich niż dla swojej publiczności”. Obcość nowych form teatralnych wytworzyła początkowo pewien dystans pomiędzy sceną a widownią. Nie miała oddźwięku taka pozycja jak „Zwycięstwo” Warmińskiego, ale równocześnie „Niemcy” Kruczkowskiego byli świetnie przyjmowani, a idea utworu zyskała pełną aprobatę widowni. Nasycenie repertuaru sztukami o silnej wymowie ideowej (Żeromski, Ostrowski, Biełocerkowski, Fadiejew, wreszcie Maliszewski, Gruszczyński i Lutowski) stanowiło odpowiedź na wzmagającą się akcję zachodnioniemieckich odwetowców. Również w klasyce (np. w „Miarka za miarkę” Szekspira) szukała Skuszanka jak najwyraźniejszych powiązań ideowych ze współczesnością.

Nowatorskie formy inscenizacyjne budziły czasem reakcje wręcz zabawne. W roku 1953 teatr opolski wystawił „Igraszki z diabłem” Drdy według inscenizacji Leona Schillera (reż. A. Dobrowolski). Dziś, w okresie rozkwitu kabaretów studenckich, w okresie całkowitego upowszechnienia umownej groteski, której powojennego rodowodu polskiego należałoby szukać w „Zielonej Gęsi” Gałczyńskiego, nikogo już nie szokuje np. postać archanioła we wdzięku lub Pan Bóg stukający na maszynie do pisania. Ale przezabawny Schil-

lerowski Aniołek w „Igraszkach z diabłem”, pałacy papierosa — był na Opolszczyźnie w roku pańskim 1953 swego rodzaju wstrząsem. I oto pewne nieduże miasto obraziło się na teatr. Obraza trwała ni mniej ni więcej, tylko pięć lat! Dopiero gdzieś w roku 1958 Państwowy Teatr Ziemi Opolskiej odzyskał w tym mieście znowu pełną widownię.

Niemiałym splendorem dla opolskiej sceny była w oczach widzów nagroda państwowa uzyskana przez Krystynę Skuszanek za inscenizację „Sztormu” Bielocerkowskiego. W roku 1955 Skuszanka opuściła jednak Opole dla Nowej Huty.

W dalszych latach coraz bardziej zacierał się na Opolszczyźnie podział na ludność rodzimą i napływową. Młodzież bratała się w szkołach, dorośli w pracy i... w małżeństwach. Mówi się, że nic tak nie łączy ludzi, jak wspólna praca. Sądzę, że równie silnie wiąże wspólnie przeżywane wzruszenie. W roku 1956 teatr opolski zorganizował masowe przedstawienie w amfiteatrze w Brzegu. Jest to wyjątkowo dobry amfiteatr, dający wspaniałe możliwości wykorzystania kilku planów scenicznych, połączonych efektowną kompozycją tarasowych schodów. W tej szlachetnej oprawie z szarego kamienia i ciemnej zieleni drzew odbywał się wieczorny spektakl „Balladyny” (reż. M. Górkiewicz). Na widowni pod czarnym, bezkسیężycowym niebem zgromadziło się około 12.000 osób, które zjechały z całej okolicy (transport i środki lokomocji organizowała Samopomoc Chłopska). Przedstawienie to było jednym z moich największych przeżyć teatralnych. Zwarta masa ludzka, wypełniająca szczelnie półokrąg amfiteatru, roztapiająca się w ciemnościach pochmurnej nocy, przyjmowała każde słowo Słowackiego jak jeden gigantyczny człowiek. Jedno wielkie westchnienie grozy towarzyszyło śmierci Aliny, jeden ogromny śmiech zagłuszał pijackie mamrotanie Grabca. Chłopi urodzeni za Bugiem i chłopi nie opuszczający nigdy wsi opolskiej z jednakowo zapartym tchem śledzili losy tragicznej chłopki-królowej.

Poczynając od sezonu 1956—57 Państwowym Teatrem Ziemi Opolskiej kieruje Marian Godlewski. Opolszczyzna nie była dla niego „ziemią nieznaną”. Pracując przed wojną w teatrze katowickim był wykładowcą na bytomskich kursach instruktorów zespołów amatorskich. Do grona jego słuchaczy należał również... Alojzy Smolka z Opola. Oprócz tego Marian Godlewski był związany z przedwojennym Opolem jako aktor. W ostatnich bowiem latach przedwojennych opolskie władze niemieckie zezwoliły oficjalnie na gościnne występy katowickiego teatru i polskiej Opery Śląskiej. Temu oficjalnemu zezwoleniu towarzyszyła cicha organizacja bojówek hitlerowskich, które pod okiem ślepej i głuchej w takich wypadkach policji podejmowały polskich gości według swoistych metod. Znany jest powszechnie fakt napadu bojówkarzy na zespół Opery Śląskiej, przybyły do Opola z „Halką” Moniuszki. Pobito wówczas i poraniono wielu aktorów-śpiewaków. Tuż przed wybuchem wojny, w roku 1939 te same bojówki nie dopuściły do występu katowickiego teatru w Opolu i w Strzelcach Opolskich i tylko dzięki niezwyklej przytomności umysłu kierowcy autobusu aktorzy zdołali umknąć przed pałkami rozwścieczonych hitlerowców. Nie udało się natomiast uciec dyrektorowi teatru, Marianowi Sobańskiemu, który dopiero na osobistą interwencję konsula polskiego z Opola został oswobodzony z rąk bandy przez zmuszoną do działania policję.

Wśród uratowanych przez kierowcę autobusu aktorów znajdował się również... Marian Godlewski, dzisiejszy dyrektor i kierownik artystyczny Państwowego Teatru Ziemi Opolskiej. Sądzę, że tamtemu jego wspomnieniu towarzyszyła duża satysfakcja moralna, gdy w pierwszym sezonie swej pracy na opolskiej scenie wystawił „Wesele na Górnym Śląsku” Stanisława Ligonia.

Przedstawienie to (reż. R. Bohdanowicz) cieszyło się na Opolszczyźnie ogromnym powodzeniem, a wystawiane w amfiteatrze w Brzegu i w innych plenerach zdobyło w sumie około 40 tysięcy widzów (przeciętna frekwencja innych pozycji repertuarowych w tym sezonie wahała się w granicach 14–18 tysięcy widzów).

W następnych sezonach PTZO ofiarował Opolszczyźnie dość wyważony repertuar, który kładąc największy nacisk na polską twórczość dramatyczną (Bogusławski, Fredro, Słowacki, Norwid, Bliziński, Zapolska, Bałucki, Wyspiański, Żeromski, Iwaszkiewicz, Swinarski, Grzymała-Siedlecki, Stern i Skowroński) nie pomijał mistrzów klasyki światowej (Szekspir, Molier, Tirso de Molina, Musset, Goldoni, Shaw) oraz współczesnej dramaturgii obcej (Rachmanow, Manzari, Roblés, Miller).

Od kilku lat Państwowy Teatr Ziemi Opolskiej regularnie wykonuje wszystkie swoje plany z nadwyżką. Rzecz ciekawa, że pewne kłopoty z frekwencją istnieją tylko w samym Opolu, natomiast spektakle na terenie województwa z reguły mają pełną widownię. Fakt interesujący, skoro przypomnimy sobie, że właśnie w tzw. terenie przeważają rodzimi mieszkańcy tej ziemi.

Kiedy 12 listopada 1960 r. teatr opolski obchodził swój jubileusz piętnastolecia, spotkał się z tak wieloma dowodami życzliwości i uznania ze strony swojej widowni, że cały zespół teatru czuł się wręcz zażenowany. Kilkanaście większych zakładów przemysłowych oraz wiele instytucji ufundowało nagrody dla członków zespołu, a wśród depeš gratulacyjnych, których listę otwierał osobisty list przewodniczącego Rady Państwa, Aleksandra Zawadzkiego, znalazły się również gorące wyrazy wdzięczności i uznania od... Gminnej Spółdzielni w Wołczynie.

Taki jubileusz zobowiązuje. Zmusza do krytycznej oceny własnej pracy i sumiennego przygotowania dalszych planów. Opolszczyzna zasługuje na dobry teatr.

W bieżącym sezonie rozpoczętym premierą „Pierwszego dnia wolności” L. Kruczkowskiego (reż. St. Wieszczycki) Państwowy Teatr Ziemi Opolskiej zaprezentuje swojej widowni wartościową dramaturgię: „Kolegę” J. M. Simmla (demaskatorska, antyfaszystowska sztuka współczesnego pisarza niemieckiego z NRF), „Otella” Szekspira, „Bolesława Śmiałego” Wyspiańskiego, „Tragedię optymistyczną” Wiszniewskiego, „Zielone rękawice” Karpowicza i wreszcie sceniczną kompilację tekstów komedii rybałtowskiej (w opracowaniu St. Wieszczyckiego). Pozycja ta będzie tym ciekawsza, że komedia rybałtowska miała — jak wiadomo — bardzo ściśle powiązania ze Śląskiem i na nie właśnie autor adaptacji położył szczególny nacisk. Należy się spodziewać, że ostra społeczno-polityczna satyra plebejska z XVII wieku, pełna rubasznego ludowego dowcipu okaże się sztuką specjalnie bliską rodowitym Opolanom.

Państwowy Teatr Ziemi Opolskiej pracuje obecnie dla coraz bardziej jednolitej widowni. Wystawiając w ciągu piętnastu lat 220 premier, zespół sceny dramatycznej i lalkowej docierał do wszystkich prawie miast, miasteczek i wsi Opolszczyzny. W bilansie piętnastolecia zanotowano 10.305 przedstawień dla 3.362.031 widzów. Nie ma już wśród nich grupy „dwujęzycznych”. Teatr pracuje dla 900.000 mieszkańców Opolszczyzny o jednym wspólnym języku macierzystym: p o l s k i m.

I jeżeli w analizie swej pracy dzieli czasem publiczność na „rodzimą” i „napływową”, to tylko dlatego, że w stosunku do tej pierwszej ma specjalne obowiązki: spłacenie długu wdzięczności za utrzymanie polskości Ziemi Opolskiej.

Krystyna Konopacka-Csala



Fot. Piotr Mierzwiński

TRZECI CZAS

DIONIZY SIDORSKI

„Chorągwie” ustawiły się w przepisowym szyku bojowym. Blade, jesienne słońce połyskiwało na wypolerowanych hełmach i zbrojach. Chwila skupienia, a potem rozlega się dźwięk trąbki wzywającej do boju. Jednocześnie zagrały bębny, odezwały się piszczałki Litwinów. Dowódca pułków smoleńskich opuścił przyłbicę — druczane zawiasy zacięły się, szarpnął więc ponownie, głęboko osadzone oczy z uwagą oglądają każdy kawałek gruntu oddzielającego od wrogich wojsk krzyżackich — wiadomo, znajomość topografii jest jednym z podstawowych warunków powodzenia bitwy. Przed szyki występują opancerzeni harcownicy. Tarcza uderzyła o tarczę, aż echo rozległo się na całych polach Grunwaldu. Błysnęły miecze. Reszta z zapartym tchem śledzi zmagania harcowników. Na przedpolu zrobiło się nagle pusto, harcownicy gdzieś zniknęli, rozległ się znowu sygnał. Spod stóp rycerzy obutych w trampki podniosły się tumany kurzu. Jakiś dyszkancik intonuje pieśń rycerską — całe wojsko, nawet to krzyżackie, podchwytuje ją z zapalem, a ponad wszystko wybija się gruby, to znowu cienki głos Maćka z Bogdańca, na nieszczęście przechodzącego aktualnie mutację. Idą zwartą ławą, ramię w ramię, osłonięci tarczami, pozostawiając za sobą pod wieżą spadochronową nauczyciela Szkoły Ogólnokształcącej nr 3 w Zielonej Górze, Zbigniewa Czarnucha, pełniącego w tej bitwie rolę króla Jagiełły i Wielkiego Mistrza Zakonu jednocześnie.

*

Ta jedna z wielkich imprez „Makusynów” (nazwa pochodzi od Makuszyńskiego), narcerskich drużyn podwórkowych, zgromadziła na przedmieściu Zielonej Góry pod Wadmostem kilkaset dzieciaków i młodzieży szkolnej. „Makusyni” to już znana w Zielonej Górze firma — któż o nich nie słyszał! Zakrojona na wielką skalę przez „Makusynów” akcja opanowania podwórek i ulic, gdzie — jak wiadomo — najchętniej i najczęściej bawią się dzieci, przerosła oczekiwania organizatora tej imprezy, Zbigniewa Czarnucha. Ruch ten jest tym cenniejszy, że w dużej mierze rozwinął się dzięki pomysłowości i inicjatywie samych chłopców i dziewcząt. „Makusyni” panują już na dwudziestu największych podwórkach tego miasta; dysponują sześcioma harcówkami rozmieszczonymi w piwnicach, strychach, starych gołębnikach i drwalniach (stąd ich nazwy, jak „Gołębnik”, „Piwnica”, „Altana” itp.), własnym kinem, furgonetką, motocyklem, motorowerem, sprzętem turystycznym i sportowym. Posiadają własne archiwum, muzeum osobliwości, cyrk itp. Są organizatorami ogólnomiejskich (bo tak to można nazwać) albo dzielnicowych zabaw podwórkowych, które wymyślają zresztą same dzieci z podwórek, a „Makusyni” nadają tym zabawom rangę wychowawczą i właściwy kierunek. „Makusyni” zrzeszają obecnie 250 młodocianych, nie licząc oczywiście ogromnej

chmary tzw. trampów, czyli sympatyków biorących udział w imprezach. W jaki sposób „organizacja” ta zdobyła tak ogromną popularność?

*

Początek był dość typowy. Na pierwszą zbiórkę nikt nie przyszedł. Nie pomogły ustne ogłoszenia o organizowaniu drużyny harcerskiej, na nic nie zdały się nawet te bardziej oficjalne, wywieszone w korytarzu przez sekretarkę. Zorientowawszy się szybko, że tą drogą nic nie osiągnie, Zbigniew Czarnuch zwołał więc pewnego letniego popołudnia trzech najbardziej sprytnych uczniów ze swojej szkoły. W rozmowie, która ciągnęła się do wieczora, roztoczył przed chłopcami świat „niezwykłych” przygód, wypraw i zabaw, zapożyczając wiele pomysłów z książek Makuszyńskiego. Słuchali trochę tak, jak się słucha młodszego, naiwnego brata, ale ostatecznie wyrazili łaskawą zgodę.

— Dobra, pomożemy, zrobi się.

Od tego dnia sprawa trochę ruszyła z miejsca. Zorganizowano pierwszą wycieczkę, która jednak niezbyt się udała, dzieciaki nie dopisały, przyszło ich tylko kilkoro. Po prostu nie dowierzali — im, bywalcom podwórek, którzy mieli na sumieniu niejednego kota i niejedną wypitą w bramie butelkę wina, nie mogły zaimponować grzeczne zbiórki w dwuszeregu i odśpiewywane chórem rzewne piosenki. Nowo powstała drużyna była nieliczna.

O masowym charakterze i prawdziwej popularności „Makusynów” można było mówić dopiero wtedy, kiedy całą swoją działalność przenieśli na podwórkę, kiedy opuścili szkolne boisko i sale Domu Kultury. Wszystko zaczęło się od „Cyrku Cudaków”, w którym artystami byli sami chłopcy. Pierwsze przedstawienie w Domu Kultury nie zdołało zgromadzić większej ilości dzieci.

— Przypomniałem sobie wtedy tak popularne przed wojną zespoły podwórkowych artystów, im nigdy nie brakowało widzów — mówi Zbigniew Czarnuch — poszliśmy ich śladami...

Na wielu podwórkach Zielonej Góry pojawiły się afisze:

„Obywatele świeżego powietrza i zielonej trawki,
Wytrzeszczajcie gały, nastawiajcie słuchawki,
Cyrk Cudaków ma zaszczyt przedstawić wam
swoje igraszki!”

Ulicami przeszedł pochód z patelniami, a potem rozpoczęły się występy w namiocie rozbitym na podwórku. Frekwencja przeszła wszelkie oczekiwania — do namiotu cisnęły się nie tylko dzieci, ale i dorośli mieszkańcy okolicznych domów — wszyscy chcieli zobaczyć „człowieka o żelaznych piersiach”, na którego żebrach kuto żelazo, iluzjonistę, połykacza ognia, siłacza, któremu kilkanaścioro dzieci nie mogło rozerwać splecionych rąk, arlekina śpiewającego piosenki itp. Cyrk dawał występy przez cały rok przy pełnej widowni, potem przyszła kolej na rewię, ba, nawet operę i komedię o nauczycielach wśród ludożerców.

*

Niedługo po występach „Cyrku Cudaków” do urządzonej w szkole harcówki przyszła delegacja „Makusynów”.

— Chcemy mieć takie same harcówki u siebie, na podwórkach — oznajmili. — Tutaj w szkole jest tak jakoś i w ogóle...

Od tego momentu rozpoczęła się akcja „adaptacji” starych komórek, strychów i gołębników na dzielnicowe harcówki. Remont „lokali” odbywał się wyłącznie własnym przemysłem, a nie chodziło przecież tylko o drobiazgi — trzeba było poprawiać instalacje, tynkować mury, malować ściany, a nawet wstawiać okna. Pieniądze na najpotrzebniejsze wydatki zdobyły dzieci poma-



Fot. Stefan Kraszewski

*

gając w pracy w PGR-ze i zbierając złom. Później przynoszono z domu książki, niepotrzebne meble, a niektóre proste sprzęty chłopcy wykonywali sami. Poszczególne drużyny podwórkowe prześcigały się w pomysłach — każdy chciał urządzić harcówkę jak najlepiej. Początkowo współzawodnictwo to dało nieoczekiwane rezultaty — dzieciaki w zapale demolowały harcówki kolegów, wykradając co ciekawsze trofea i sprzęty — tak, że sprawy te musiały rozstrzygać sądy koleżeńskie. Przy tej okazji wyszła na jaw cała złożoność podwórkowej społeczności oraz odmienne od powszechnie przyjętych kryteria moralne. Ponieważ założeniem „Makusynów” było przyciąganie maksymalnej ilości dzieci z ulic i podwórek, jasne więc, iż wśród zwербowanych znalazła się pewna liczba tzw. andrusów, żeby nie powiedzieć — chuliganów. Oczywiście te fakty należą już do przeszłości.

Po pewnym czasie w różnych punktach miasta dokonano uroczystego otwarcia sześciu harcówek, o których wspomniałem na początku reportażu.

*

Problem „podwórka”, szczególnie u nas na ziemiach Nadodrza, staje się coraz bardziej palący. W miastach dominują ilościowo robotnicy i średnio zarabiająca inteligencja. W obu tych grupach najczęściej oboje rodzice pracują zawodowo, w związku z czym niewiele czasu mogą poświęcić swoim dzieciom.

Inna sprawa, że brak im do tego czasami ochoty. Z drugiej strony, zanika instytucja służących czy — jak kto woli — pomocy domowych, angażowanych na cały dzień, aż do wieczóra.

Czas dziecka można by podzielić na trzy części: czas przypadający na jego pobyt w szkole, godziny domowe, i wreszcie czas spędzony poza szkołą i domem. Nas interesuje ten czas „trzeci”, kiedy dziecko pozostawione samo sobie zużywa go najczęściej, jak praktyka wykazuje, na zabawy podwórkowo-uliczne. Jeżeli więc chcemy, by proces wychowawczy był ciągły, trzeba tę lukę czymś wypełnić. Obecnie najbardziej rozpowszechnionym wśród pedagogów sposobem jest metoda organizowania w szkole dodatkowych zajęć. A więc kółka zainteresowań, kluby sportowe, ogniska muzyczne, baletowe, plastyczne, sekcje dziecięce przy domach kultury itp. Nie negując celowości tego rodzaju poczyną, trzeba jednak zwrócić uwagę, iż wszystkie te zajęcia prowadzone są metodą lekcyjną i dlatego nie dają dzieciom możliwości wyżycia się; nie więc dziwnego, że traktowane są przez nie jako jeszcze jedna forma przedłużenia godzin szkolnych. Stąd też mała ich popularność. A przecież żadne zajęcia świetlicowe nie mogą skutecznie konkurować z podwórkiem, które oferuje dzieciom znacznie więcej atrakcji. Ulica, pusta parcela czy plac ma jakiś specyficzny smak swobody, niezależności, nieograniczonej przestrzeni. Tutaj rządzi inne prawa, tutaj prymusi z klasy nie chodzą w laurach, a ceniona jest przede wszystkim siła, zręczność, odwaga. Panuje tu jakiś atawistyczny kult podstawowych zalet pierwotnego człowieka, które pozwalały utrzymywać się przy życiu. Tutaj może zdarzyć się wszystko, tutaj nie ma hamulców dla dziecięcej fantazji i inicjatywy, która często idzie w niewłaściwym kierunku. Podwórko ma swoich wodzów, których autorytet jest niejednokrotnie większy niż prestiż dorosłych. Ta cała „psychologia” podwórka jest dzieciom dobrze znana, toteż nie dziwnego, iż „Makusyni” wystąpili z hasłem: „Każdy członek drużyny wodzirejem na swoim podwórku”.

Sprawa ta nie przeszła tak gładko — naturalni wodzowie nie kwapili się ze składaniem rezygnacji i nieraz dochodziło do dramatycznych starć. Istniejące przedtem bandy demolowały harcówki, organizowały „kontr-zabawy”, jak np. wyprawy na ogródki działkowe itp. „Makusyni” zastosowali wobec nich metodę osamotnienia — ściągali do siebie każdego z osobna członka wrogiej bandy, aż wreszcie wódz, pozbawiony towarzyszy, nieśmiało pukał do drzwi harcówki. Niektórzy z nich nie rezygnowali z przewodnictwa nawet po wstąpieniu do „Makusynów”, wobec czego rada szczepu ustanawiała w danym rejonie dwuosobowe rządy — słowem, typowe dramaty władzy w miniaturze.

*

Zostać jednak wodzem to jeszcze nie wszystko — nie mniej ważną rzeczą jest umiejętność organizowania powszechnych zabaw na podwórkach i placach. „Makusyni” oparli się na stwierdzeniu, że na podwórkach nigdy nie ma nudy, w związku z czym nie potrzeba też wymyślać nowych zabaw, ale należy podchwytować aktualną modę na jakieś imprezy, gry czy rozrywki. Istnieje nawet specjalny wywiad „Makusynów”, którego zadaniem jest zbieranie informacji z tej dziedziny. I tak np. zauważono, iż w związku z ogromną popularnością filmu „Krzyżacy” zapanowała moda na bitwę grunwaldzką. „Makusyni” szybko to podchwycili, zgadzając się jednocześnie z tezą Zbigniewa Czarnucha, że na to, by dobrze rozegrać historyczną walkę, należy poznać epokę „Krzyżaków”. Ogłoszono, że na przedmieściach Zielonej Góry za trzy tygodnie odbędzie się prawdziwa wojna polsko-krzyżacka, trzeba się tylko do tego solidnie przygotować. Przed walną „rozprawą” miał się odbyć kon-

kurs na najlepsze zbroje rycerskie, wykonane oczywiście samodzielnie, własnymi środkami, bez korzystania z pomocy dorosłych.

Wśród dzieciarni zawrzało. W bibliotece miejskiej wzmógł się nagle popyt na książki historyczne, kustosz miejscowego muzeum ze zdumieniem obserwował tłumy umorusanych dzieciaków cisnących się do sal, a nawet kopiących wystawione tam zbroje, w harcówkach rozlegały się nieznane dotąd w tych murach średniowieczne pieśni. Każda z drużyn podwórkowych miała za zadanie sprowadzić na plac jak największą ilość trampów, czyli kibiców, oczywiście odzianych w zbroje. Nie trzeba chyba wspominać o popularności tej imprezy. Bitwa wypadła imponująco — zachowano jednak charakter zawodów, przy czym należy dodać, że przy tak wielkiej kołłowaniu, mimo iż — jak by powiedział Długosz — wrzawa podniosła się taka, że słyhać ją było w całej okolicy, nikt nie doznał najmniejszych nawet obrażeń.

Potem przyszła moda na latawce — rzecz miała się podobnie. Wiadomo, latawce to namiastka samolotu, a więc historia i zasady lotów, własnoręczne majsterkowanie, gawędy, a potem ogólny konkurs pod hasłem „Tysiąc latawców na start”. Nie obyło się także bez podróży w kosmos z wystżeleniem rakiety włącznie i powrotem na Ziemię „autentycznych” astronautów w odpowiednich strojach. Nie rozwodzę się już nad tak klasycznymi rozrywkami dziecięcymi, jak np. zabawa w partyzantów, czy rysowanie na płocie i tro-tuarze, które objęto specjalnym konkursem. Odbyły się też wybory „naj-mądrzejszego” psa — w jury zasiadały dzieci, a pierwszą nagrodę stanowił ... wianek serdelków. Zresztą tych zabaw odbyło się znacznie więcej i nie sposób wszystkie wymienić. W co się będą jutro bawić dzieci na podwórkach Zielonej Góry? Tego nie da się przewidzieć — pomysłowość i fantazja dziecięca są niewyczerpane.

Otwarty konkurs lalek na ulicy.

Fot. Henryk Wojciechowski



Rezultaty pracy „Makusynów” stają się powoli widoczne. Sprawa nie ogranicza się tylko do organizowania pożytecznych zabaw; na podwórkach daje się zaobserwować zmiana atmosfery, zmiana rządzących tam praw. Dziecięca opinia publiczna zaczyna oddziaływać we właściwym kierunku — kult siły i cwaniactwa powoli wypierany jest przez uznanie dla pomysłowości i rzeczywistych wartości moralnych. Charakterystyczny jest tutaj przykład Andrzeja K., byłego wodza o niezbyt chwalebnej przeszłości (otarł się nawet o Sąd dla Nieletnich). Będąc już członkiem „Makusynów” Andrzej ukradł rower i dokonał włamania do sklepu, a następnie uciekł. Ten wypadek spowodował, iż na harcówkę, wokół której grupowała się jego drużyna, padło podejrzenie, że jest ona meliną złodziei. Dawniej tego rodzaju wyczyny zwiększały jego popularność wśród kolegów, w tym wypadku reakcja młodocianego środowiska była zupełnie inna. Niezależnie od oficjalnej rozprawy sądowej, w harcówce zapadł wyrok na Andrzeja wydany przez jego kolegów. Zgodzono się zostawić go w drużynie pod warunkiem, iż w przeciągu pół roku zrehabilituje się nie tylko w oczach ich, ale i dorosłych, wykonaniem szeregu czynności (np. bezinteresowna pomoc sąsiadowi przy remoncie mieszkania). Andrzej przyjął te warunki i obecnie solidnie pracuje nad zaskarbeniem sobie dobrej opinii tak wśród kolegów jak i u dorosłych.

*

Jaki oddźwięk znajduje cały ten ruch „Makusynów” w miejscowym społeczeństwie? Opinie, jak zwykle przy tego rodzaju sprawach, są podzielone. Ci rodzice, którzy na ogół nie mają sami możliwości poświęcać wiele czasu swoim dzieciom, ustosunkowali się do tej „organizacji” entuzjastycznie. Posypały się nawet dary — apteczka polowa, narty, sprzęt turystyczny, a nawet furgonetka (dało ją wojsko). Niektórzy z rodziców zatroszczyli się o należyte pomieszczenia dla harcówek; niedawno odbyło się uroczyste otwarcie tzw. „Szklanego Domku”, jednoizbowego budyneczku ze ścianą ze szkła. Ten prezent „Makusyni” zawdzięczają inż. arch. Czarlińskiemu, który bezinteresownie wykonał projekt, i inż. Fajtłowiczowi, dyrektorowi DBOR-u, który wygospodarował fundusz na budowę. W przyszłym roku ma być oddana do użytku nowa harcówka, tym razem fundatorem będzie Prezydium MRN.

Znalazła się jednak grupa rodziców, która, ze względu na różnorodny skład „Makusynów” (członkami drużyn podwórkowych są przecież nie tylko ci najgrzeczniejsi), twierdzi do dziś, że młodzież niezdemoralizowana nie może się w takim otoczeniu nauczyć niczego dobrego, a przeciwnie. Rzecz jasna, iż takie niebezpieczeństwo należy brać również pod uwagę, ale z drugiej strony trzeba powiedzieć, iż możliwość demoralizacji istnieje niezależnie od organizacji, gdyż dzieci i tak podczas wspólnych zabaw stykają się ze sobą; w tym jednak wypadku wydaje się, iż niebezpieczeństwo jest właśnie mniejsze.

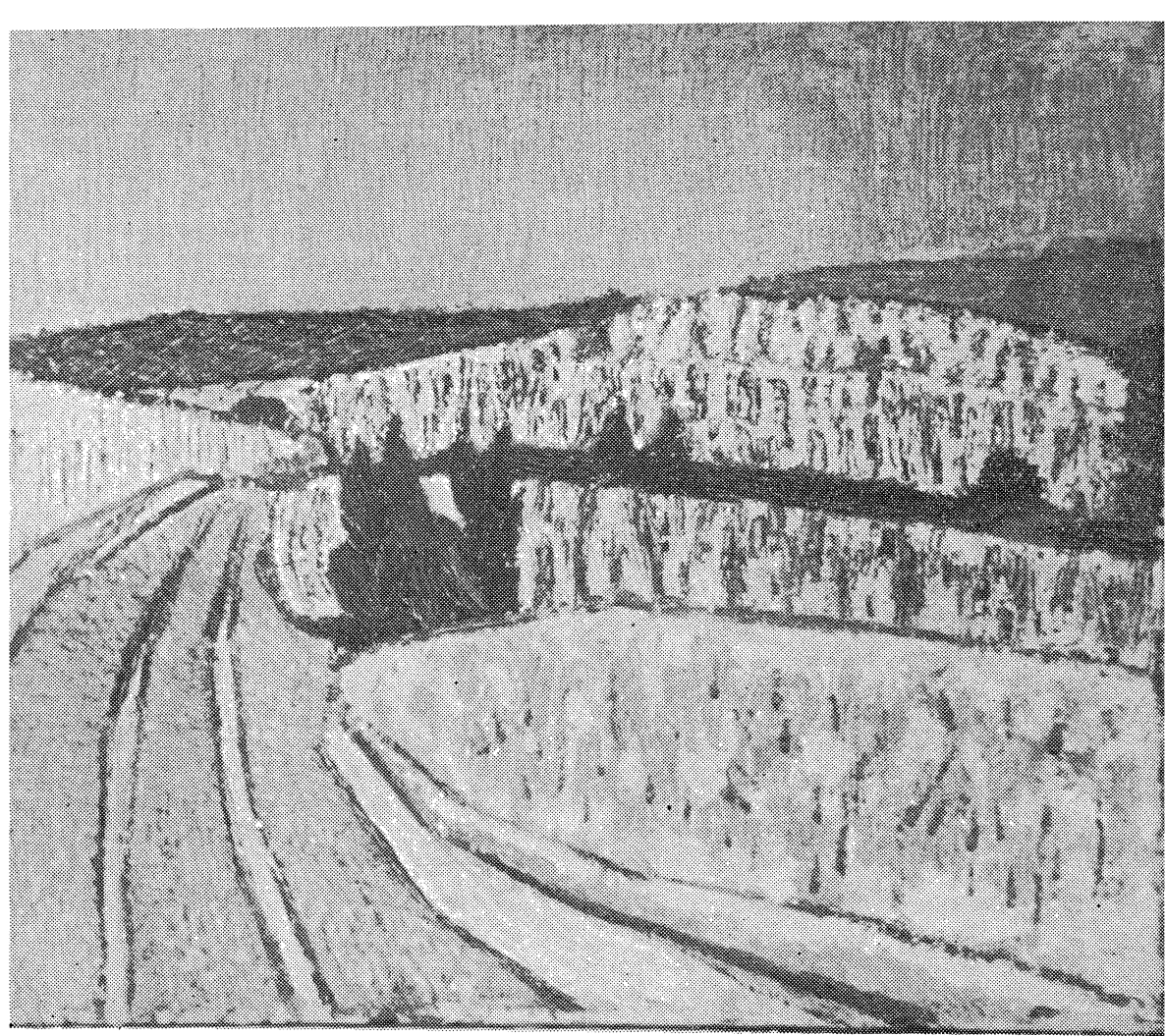
Eksperyment „Makusynów” zaczyna nabierać rozgłosu. Poczynaniami ich zainteresowała się nawet prasa Związku Radzieckiego, NRD i Jugosławii (wszędzie tam, gdzie bawili „Makusyni” na obozach), niestety, u nas jedynie pisma harcerskie poświęciły tej sprawie trochę miejsca. A szkoda, gdyż wydaje się, iż ruch „Makusynów” wart jest szerszej popularyzacji. Tym zaś, którzy będą mówili o wielkich kosztach i trudnościach organizacyjnych, można przypomnieć, iż rzecz cała odbywa się bez jakichkolwiek dotacji państwowych, a wszystkim kieruje — spośród dorosłych — jeden tylko człowiek, młody nauczyciel Zbigniew Czarnuch. Kto wie, czy w ten sposób problem wolnego, „trzeciego” czasu dzieci nie został w jakiejś mierze rozwiązany?

Dionizy Sidorski



Zbigniew Karpiński

„Portret wieśniaczki” (olej 1959 r.)



Zbigniew Karpiński

Pejzaż z Mielnika (olej 1959 r.)

**M A R I A N
JACHIMOWICZ**

Bielmo

*Rzeka wiatru
znosi kry
chmur*

*Drzewa
kora szronu porasta*

*Gwiżdżą
piszczele konarów*

*Śniegiem
zadyszał się las*

*Niecki
po sążnistych susach
biała turzyca
wyściela*

*Ułożyć by w nie
cieple wzruszenia*

Gniazda zamilkle.

Aureola

*Chodzimy
nieuleczalni*

*Słowa
odlatują*

*Dłonie
śród liści szeleszczą*

*Stopy
zamierają w pół drogi*

*Obręcze ziemi
zastygły*

*Zarysami orbit
Ścieżkami
meteorytów*

*Bliznami nieba
Wątlymi
jak babie lato*

*Jak rozjarzyć
gwiazdę wewnętrzną*

*Gdy nad nami
już tylko
aureola.*



Visegrad

Dunaj
wygięty
jak brzeszczot turecki
Aquincum
dźwięczy Europa
Płyną
granice wczoraj
i jutra
Przełom Dunaju
Przełom gór
Czasu
Wyszogród
w szponach skał
Spod zawału historii
pałac
króla Macieja
Drogą
motory huczą
Kolebią się woły
z poniżonymi łbami
W kapliczce
poza szczerbami witraży
ciemność
Kasztan
Bruk
Rozczapierzone racice
upału
Aie pod wieczór
wilgoć z pogórza
Elektryzuje świerszczami
gąszcz
Watrą zaciąga
Węgierszczyznę turecką
Strąkami pieprzu
Kawą
spod Wiednia
Tnie
szarżę komarów
Dunaj nocy się dźwiga
Błyska na mgnienie
buzdygan
słońca
Bezdźwięcznie
uderza
w kolczastą lasami
ciemność

Marian Jachimowicz
Visegrad, 15. IX. 1959

„POLAK MAŁY“

HENRYK WORCELL



Wczoraj wieczór przyszedł do mnie sąsiad Skodyra:

— Jest do załadowania dwa wagony ziemniaków. Pójdzie pan?

— A kto jeszcze z nami?

— Stary Obol.

Niedobrze. Dwa wagony w ciągu dnia to trochę za dużo — już czuję w kościach kilkaset ciężkich koszu z ziemniakami. Skodyra widać spostrzegł moje wahanie, bo się roześmiał zachęcająco:

— Chodź pan. Dla Polski Ludowej.

On zawsze tak mówił, gdy się zapowiadał dobry zarobek. W tym wypadku była nadzieja na sto pięćdziesiąt złotych, na które i ja się łakomiłem.

— Dobrze, pójdę.

Rano był lekki przymrozek, wesoły dla ludzi odzianych w kurtki, a przerażający dla drzew, które już gubiły liście. Słońce u nas pokazuje się późno, ale z chwilą, gdy się wychyla zza Czeskiej Kopy, jest już dojrzałe, gorące. I wtedy na rampie kolejowej zaczyna się ruch. Najpierw przyjeżdżają z marmurem kamieniarze, którzy sami siebie przezywają „kajdaniarzami”, i czynią huk na całą okolicę zrzucając ciężkie bryły do pustego wagonu. Potem zajeżdża lora samochodowa z całą górą kłoców i wkrótce nad rampą, nad budynkiem stacyjnym rozlega się dźwięczny klekot suchych okrągłaków. A gdy słońce wyjdzie jeszcze wyżej i z przymrozku nie pozostaje ani śladu, wtedy chłopci zaczynają zwozić ziemniaki. Na rampie robi się ciasno i brygadzieta Korpel, ten od marmuru, klnie na chłopów, którzy swoimi wozami tamują przejazd. Zresztą on zawsze klnie, bo to wśród „kajdaniarzy” uchodzi za objaw dobrego tonu. Jeżeli mnie osobiście coś się u tego człowieka, z twarzą potwornie dużą i czerwoną, podoba, to chyba tylko jego otwartość; kiedyś powiedział mi, że gdyby nie ta ciężka robota i dobry zarobek przy kamieniach, to chyba nigdy nie wyszedłby z więzienia.

Chorowity Obol czekał już na nas przy kartoflach nakrytych słomą. Słaby z niego pomocnik, ale jakże mu odmówić zarobku, skoro on ze swą córką, starą panną, ledwie vegetuje na swym małym gospodarstwie? Będzie sypał ziemniaki do koszu, a ja i Skodyra znieśliśmy je do wagonu. Wiem, że pod wieczór będziemy łaźić jak połamani, ale na razie czujemy się krzepko i chętnie spoglądamy na górskie zbocza, gdzie iskrzą się w słońcu brzoźowe laski i snują się dymy z rozpalonych ognisk.

— Ma pan kredę? — zapytałem Skodyrę.

— Znajdzie się — odpowiedział sięgając do kieszeni.

Bez kredy ani rusz. Wiadomo, że robota idzie zupełnie inaczej, gdy się rachuje kosze sypane do wagonu. Jeden kosz — i ciach! — kreska na ścianie. Znowu kosz — i znowu ciach! Wiemy, że do wagonu idzie około trzysta

koszy, więc w każdej chwili możemy policzyć kreski i dowiedzieć się, ile nam jeszcze do pełna brakuje.

Z początku stary Obol mógł sobie pozwolić na krótkie odpoczynki czekając, aż wrócimy z wnętrza wagonu, do którego musieliśmy włączyć z pełnymi koszami. Ale później robota szła nam szybciej, bo wysypywaliśmy ziemniaki przez barierkę wstawioną w drzwi i biegiem wracaliśmy po drugi kosz, który Obol ledwie zdążył napełnić. W tym wyścigu nie chciałem Skodyrze ustąpić, miałem tę, może zbyt dużą, ambicję, by pokazać temu półanalfabecie, że potrafię nie tylko pisać i czytać. Wreszcie doczekałem się tej chwili, gdy Skodyra machnął ręką na kosz i powiedział:

— Może zakurzymy, co?

— Dobrze, możemy zakurzyć — spojrzałem na niego uważniej i wtedy nabrałem pewności, że on wcale a wcale nie ma ochoty imponować mi swoją siłą, w ogóle o czymś podobnym nie myśli.

Zapaliliśmy, Skodyra podszedł do wagonu i policzył kreski na ścianie.

— Sto osiemdziesiąt. Jeszcze sto dwadzieścia i wagon gotów... A wie pan co? — zwrócił się do mnie po namyśle — znaczymy co drugi kosz. Kurcza laga! Zamiast sto dwadzieścia będzie tylko sześćdziesiąt.

Rzeczywiście! Że to ja nie wpadłem na ten pomysł. Ale przecież można jeszcze lepiej usprawnić czy ułatwić pracę.

— Nie, nie co drugi — mówię do Skodyry — znaczymy co trzeci kosz i wtedy będzie tylko czterdzieści kresek.

Widać ta myśl zaskoczyła Skodyrę, bo spojrzał w niebo, po czym skwapliwie mi przytaknął:

— Dobrze, kurcza laga! Rysuję co trzeci kosz!

Nie wiem, czy mi się zdawało, czy naprawdę po zmęczonej twarzy Obola przewinął się uśmiech. Słońce grzało nas w plecy, dymy z ognisk snuły się po górach, po głównym torze przejechał pociąg osobowy w stronę Kłodzka, a tu, na rampie, znowu powstał rwetes. Tym razem samochód z marmurem utknął przy furmankach z kłocami i brygadzysta Korpiel złorzeczył wozakom grożąc im, że zepchnie ich ciężarówką do rowu.

— Co? — zauważył Skodyra — Widać, że gospoda otwarta.

Ja też się domyśliłem, że otwarta, bo przekleństwa Korpiela sypały się gładko, niemal melodyjnie, chwilami nabierały tonacji pieszczotliwej. Tak, gospoda już otwarta i kamieniarze tam czekają na samochód z marmurem. Wszyscy czterej siedzą przy piwie, a gdy samochód nadjeżdża, wybiegają z końskim tupotem, wskakują na wóz i jadą na rampę, by jak najprędzej wyładować kamienie, znów wrócić do piwa i czekać na następny transport. Pod wieczór już są „gotowi”, ale jakoś udaje się im wgramolić na ostatni wóz i rozładować go na rampie — czasem zamiast bryły na ziemię spada jeden z nich. Dopiero po robocie czynią w gospodzie prawdziwą rozróbę, dopóki nie zjawi się milicjant, toteż skład tej kamieniarskiej brygady ciągle jest płynny, zawsze jeden lub dwóch jej członków siedzi w areszcie. Ale duch zespołu pozostaje niezmienny nawet wtedy, gdy brygadzysta Korpiel odsiada swoją turę a zastępuje go wieczny kompan Przetaczek. Doprawdy źle by się działo w naszej wsi, gdyby tym ludziom odmówić ciężkiej pracy przy kamieniach. Władze dobrze o tym wiedzą i każdego z nich po wyjściu z aresztu przyjmują z otwartymi ramionami: „Pójdź, synu marnotrawny, rozbijaj kamienie zamiast głów”.

Już więcej nie mówiliśmy o kreskach. Stary Obol napełniał kosze a ja i Skodyra tam i z powrotem, tam i z powrotem, i ciach kredą po ścianie. Od czasu do czasu musieliśmy włączyć do środka wagonu i odgarniać ziemnia-

ki od drzwi, a wtedy Obol siedział na koszu i patrzył na góry, na łąki podpalone jaskrawożółtymi brzożami, na buki czerwieniejące się ciemno jak ogień w gęstym dymie.

Okolo pierwszej w południe żony przyniosły nam obiad, córka Obola też coś wyjęła z koszyka, więc usiedliśmy na klocach i zaczęliśmy jeść. Kamieniarze też mieli obiadową przerwę, Korpiel stał obok chłopskich furmanek i opowiadał, jak to w swoim czasie pełnił funkcję kucharza więziennego; były to wspomnienia, do których nader chętnie wracał. Skodyra jadł w nabożnym jakby skupieniu, nagle coś mu strzeliło do głowy, zawołał do Korpiela:

— Ty, Karol! Podobno jutro Przetaczek wraca z kryminału, będziesz go musiał zastąpić.

— To nie tak łatwo, jak się tobie zdaje — odpowiedział Korpiel — musiałbym cię tak gwizdnąć w mordę, żeby cię do szpitala zabrali.

Skodyra odsunął od siebie garnek i z jakimś szczególnym namaszczeniem otarł usta rękawem.

— Taak? A ty wiesz, że do tego trzeba dwóch? Takiego, co by gwizdnął, i takiego, co by się dał gwizdnąć.

Nie wiadomo, czym by się te przymówki skończyły, gdyby miały miejsce w okolicach gospody i w mroku wieczornym, a nie tu, na tej rampie zalanej słońcem, przy chłopach, którzy zsypywali ziemniaki ze swych wozów, i przy naszych żonach, które w tym czasie, gdy jedliśmy obiad, wyraźnie były skłonne traktować nas jak niemowlęta karmione smoczkiem, a nie jak rodziciele i prawowitych gospodarzy.

W pewnej chwili na rampę zajechał z furą ziemniaków Gwintowski, gospodarz małego wzrostu, suchy żwawy chłop, znany we wsi z przezwiska „Polak mały”. Był w baraniej czapce, w butach z cholewami i w kurtce mocno przewiązanej skórzanym paskiem.

Ujrzawszy go stary Obol odwrócił się do niego bokiem i poruszył ustami, jak gdyby przeżuwał coś gorzkiego, a ja od razu przypomniałem sobie, że Gwintowski jest jego najbliższym sąsiadem. Prawdę mówiąc, przykrym sąsiadem, bo ma ten osobliwy zwyczaj, że każdy objaw niedokładności czy gospodarskiego niedbalstwa u Obola wytyka mu jako właściwość wyłącznie polską. — O, znowuście to zrobili po polsku! — krzyczy do niego zza płotu. Zresztą nie tylko jemu w ten sposób dogryza. I żeby to był chłop tutejszy, jaki autochton — ale nie, on się tu przyplątał aż spod Kielc i dopija ludziom, że bałagania po polsku.

Ustawił swoją furmankę jako szóstą z rzędu i podszedł do wagi, gdzie magazynier przyjmował ziemniaki i gdzie się skupiali wszyscy chłopci i wozacy leśni, i kamieniarze z Korpielem na czele. Nasze kobiety zabrały puste naczynia i odeszły do wsi, a my zwołaliśmy chłopów i przesunęliśmy wagon z ziemniakami ku wadze. Drugi wagon musi być wypełniony do godziny szóstej, bo o wpół do siódmej cały transport ziemniaków odchodzi do Wrocławia.

Stary Obol siedział jeszcze na klocach, wiedziałem, że trudno mu się ruszyć z miejsca, ten obiadowy odpoczynek usztynił nasze kości, ja sam czułem się w grzbiecie jakby zardzewiały. Skodyra spojrzał na nas wyrozumiale.

— No, zaczynajmy. Dla Polski Ludowej.

Ale sam się nie kwapił do roboty, zamiast do kosza podszedł do zięjącego pustką wagonu, zajrzał do środka, po czym zagapił się w ścianę. Pewnie miał jakąś nową kombinację z kreskami, chciałem mu coś doradzić, ale w tym momencie przy wadze z ziemniakami wybuchła jakaś chryja.

Gwintowski. Oczywiście, że Gwintowski, a nie Korpiel. Ujrzałem go w chwili, gdy mocował się z workiem ziemniaków ściągaając go z wagi i szarpiąc ze złością, przy czym tupał butami, dreptał jakby w jakimś drobniutkim, wściekłym tańcu.

— Nie! Nie! To nie pójdzie! — krzyczał do magazyniera stojącego przy wadze. — Nie pójdzie! To jest gnój! Nie do jedzenia! Polska robota!

Odciągnął worek od wagi i pchnął go, aż się przewrócił — ziemniaki rozsypały się po ziemi.

— Nie! Nie! Nie pójdzie! — krzyczał teraz do Kmiecika, który przywodził te ziemniaki. — Taka twoja robota! Tyś Polak! Widać, żeś Polak!

— A co, tyś nie Polak? — odezwał się jeden ze stojących obok Kmiecika.

— Polak! Polak! — przedrzeźniająco wykrzykiwał Gwintowski. — Ale jak Polak, to ja świńskich ziemniaków do miasta nie dam! Nie dam! A on pozbierał za brona zielone, poharatane. Świniom daj, a nie tu!

Kamieniarze tręcali się łokciami, któryś tam zapiszczał dziecięcym głosem:

— Kto ty jesteś? Polak mały?

Magazynier, naburmuszony i poważny, oświadczył surowo:

— Panie Gwintowski, ja bym i tak tych ziemniaków nie przyjął.

Gwintowski nie odezwał się więcej, wstrząsnął tylko ramionami i w swej ciasno opiętej kurtce i baraniej czapie oddalił się do swego wozu. Przy wadze panowało milczenie, Kmiecik leniwie podszedł do swego worka i zaczął zbierać rozsypane ziemniaki.

Myśmy też w milczeniu odeszli do swego wagonu — nie wiedzieliśmy, co do siebie mówić. Mnie zaniepokoiło słońce, które jakoś podstępnie nagle znalazło się nisko nad górami i groziło wieczorem. Trzeba się śpieszyć z tymi ziemniakami, a Skodyra zamiast chwycić za kosz, stoi ze zmarszczonym czołem i duma.

— Wie pan co? — odezwał się wreszcie. — A gdybyśmy tak znaczyli co piąty kosz? To byłoby... no, ile? Sześćdziesiąt kresek? Tak, sześćdziesiąt.

— Nie — sprzeciwiłem się — to lepiej co dziesiąty kosz. Pomyśl pan, będzie tylko trzydzieści kresek. Albo nie, jeszcze lepiej co pięćdziesiąty kosz. Pomyśl pan: tylko sześć kresek!

— Kurcza laga! — wykrzyknął Skodyra wyraźnie zachwycony. — Sześć kresek! Dobrze, niech będzie co pięćdziesiąty!

Zaledwie jednak wysypaliśmy trzy kosze ziemniaków, Skodyra znów popadł w zadumę.

— Wie pan, to jakoś nie tego... Można zdechnąć, zanim się doczeka tej kreski. Lepiej znaczymy po trzy. Będzie sto razy, ale prędko. Ja już wolę sto razy wejść na tę Kobielową Górkę, niżeli sześć razy gramolić się na Śnieżnik.

Oczywiście, ja też się z tym zgadzam. Chciałem mu przytaknąć, coś powiedzieć, ale w tej chwili nadeszli kamieniarze i Skodyra rzucił im pytanie:

— No i co tam „Polak mały”?

Korpiel, tęgi drab z obrzmiałą twarzą, zatrzymał się przy nas i powiedział:

— Facet ma rację. Takie ziemniaki do miasta... Przecie tam też są ludzie.

— No, tak gadasz — sprzeciwił się Skodyra — ale ciekawym, co byś powiedział, jakby on tobie ściągnął worek z wagi?

— Aa, to zupełnie co innego. Zupełnie. Mnie, bracie, on by tego nie zrobił.

Henryk Worcell

Tylko kamień

*dzielmy więc dzielmy
co nam jeszcze do podziału
pozostało*

*pięć krzeseł siedem złudzeń
trzy płatki tortu z karnawału
wyobraźni
jeden kwiecień
listopadów dziesięć*

*płomień świecy
pod listami których nie było
nad nocami których nie będzie
pukiel włosów tylekroć
rozszczepianych na czworo
nasze odbicia we wszystkich
rzekach i obłokach
osobne
gorczycy ziarnko*

*i to chyba wszystko
co nam jeszcze do podziału
pozostało
jak mało*

*zostaw tylko kamień
który mi spadł z serca*

*na puste
jeszcze jątrzące po tobie
miejsce*



Moja dama trefl

Zulejce

nie wychodzisz mi z kart

ciemne oczy cyganek

nie dostrzegły śladu twoich stóp

na żadnej z dróg

we wnętrzu mojej lewej dłoni

a może tylko przeoczyły

cyganie odjeżdżają na zachód

dogasają melodie mandolin

skrzypienie kół po osie w piachu

w cierpki dym ognisk

talie topól

otul

a może głowę pod wiatru topór

za nimi do nich

w zielonych szeptach poszukać drogowskazu

wspiąć się na drzewo

we wnętrzu mojej lewej dłoni

aby dojrzeć

a może

od wsi do wsi

z rąk do rąk

z ust do ust

patrzę jakbym mijał własny los

piąte koło u wozu.

Kazimierz Koszutski



Spotkanie z pożegnanym

**STANISŁAW
PIETRASZKO**

Powód w tych rzeczach zawsze jest jakiś subiektywny, choć zdaniem niektórych, pisanie o książkach nie uzasadnia się samo przez się w przeciwieństwie np. do pisania wierszem o ślepych rybach czy wizjach sennych. Jeśli już trzeba — wskażmy powód tych uwag także obiektywny, nawet rzeczowy: ostatnie książki wrocławskie. Schyłek roku 1960 przyniósł ich całą serię — opowiadania, powieści, wiersze. Chciałbym je potraktować jako serię, jako pewną całość, bowiem to, czym są one razem wzięte, jest czymś więcej niż prostą sumą ich indywidualnych wartości. Składają się one na sprawę osobną, złożoną i rozległą zakresem. Stanowią sprawę ważną w kulturze naszego regionu, a nadto, co warto z satysfakcją podkreślić, niektóre z nich liczone są już w krajowej skali dorobku literackiego ubiegłego roku.

Świadomie wyodrębniam te dwa aspekty, odróżniam te dwie skale, dwie osobne skale obserwacji i wartościowania. Bo wbrew temu, co się od lat przy podobnych okazjach z uporem powtarza, problem jakiejś odrębności życia kulturalnego naszego regionu, swoistości jego praw — istnieje i to nie jako urojenie publicystów czy pomysł działaczy kulturalnych. Któż bowiem lepiej potwierdza nieurojoną żywotność tego problemu, jak nie ci właśnie, którzy tak wiele energii wkładają w dowodzenie, że to całe gadanie o „regionalizmie”, tak uporczywie powtarzające się na spotkaniach pisarzy Ziem Zachodnich od paru lat, nie ma żadnego sensu. Nie wszyscy zapewne zgodzą się z owym księdzem, który poucza wiernych, że już samo istnienie ateistów dowodzi istnienia Boga, zaryzykuję jednak tę samą metodę, by stwierdzić, że istnienie znacznej liczby wytrwale kwestionujących istnienie problemu „regionalizmu” w sposób oczywisty dowodzi, że problem ten właśnie istnieje. Jest charakterystyczne, że bodaj najgłośniej przeciwko wyodrębnianiu spraw literatury regionu (a więc i przeciwko odrębności jej funkcji oraz stosowaniu do niej osobnych miar, taryf etc.) występują najczęściej ci sami pisarze, którzy równocześnie domagają się stałego priorytetu twórczości lokalnej w zainteresowaniach odbiorców i usługach miejscowych recenzentów, priorytetu w stosunku do całej „reszty” literatury krajowej. Dodajmy, że kryje się w tym —

albo i bywa wprost wyrażane — wymaganie od lokalnych recenzentów tego samego, przed czym tak bronią się sami tzw. oryginalni twórcy: żeby zajmowali się przede wszystkim sprawami swego regionu.

A więc zajmujemy się. Właśnie w przekonaniu, że sprawy literatury naszego regionu, a szerzej jeszcze — sprawy literatury wszystkich regionów Nadodrza wyraźnie i w sposób naturalny wyodrębniają się z całokształtu literatury krajowej. Wierzę w to, co tak pięknie powiadano na spotkaniach pisarzy Ziemi Zachodnich, że „literatura polska jest jedna”, bo „jeden jest naród”; brzydzę się, tak jak ci pisarze, narzucaniem twórcom tematów i innymi formami administracyjnego krępowania twórczości; za nonsensowne uważam nie tylko zalecanie uprawiania różnych mimowolnie groteskowych form regionalizmu literackiego, jak przedrzeźnianie ludności wiejskiej w jej gwarze, ale i wszystkie inne sposoby opacznie pojętego wiązania literatury z życiem danego regionu. Pojętego opacznie — bo wierzę równocześnie w istnienie, naturalne i obustronnie korzystne, powiązań prawidłowych i sensownych. One to, bądź to jako już rzeczywistość, bądź jako możliwość jeszcze, są naturalną podstawą odrębności problematyki literatury ziem nadodrzańskich, a nawet literatury poszczególnych regionów tych ziem.

Myślę, że jestem w szczęśliwszej sytuacji niż ci wszyscy, którzy lat temu parę, te zdrowe i sensowne bliższe związki literatury z życiem ludzi zamieszkujących regiony Nadodrza wciąż jeszcze widzieli jako możliwość, jako sprawę przyszłości dopiero. Wtedy nawet i ta przyszła możliwość nie przedstawiała się szczególnie optymistycznie. Przecież do dziś w środowiskach twórczych popularne jest przekonanie, że wybór pomiędzy zaangażowaniem się w problematykę współczesnej rzeczywistości swego regionu a wszelkimi „wolnymi” tematami jest w istocie wyborem pomiędzy literaturą bardzo użyteczną często ze względów oświatowych czy propagandowych, lecz artystycznie drugorzędną, a literaturą ambitną, pełnowartościową, „dużego formatu”.

Piszący obecnie o literaturze Ziemi Zachodnich jest dlatego w sytuacji szczęśliwszej niż poprzednicy, że dysponuje już faktami, które wyjaśniając wiele dawniejszych wątpliwości pozwalają postąpić w dyskusji o krok naprzód. Ostatnie wrocławskie książki, a w szczególności tomiki prozy Worcella i Mikołajka, pozwalają stwierdzić, że to, co wydawało się jeszcze do niedawna jakąś niezbyt pewną możliwością, przyoblało się już w realne kształty. Pojawiły się książki, które dowodzą, że tzw. regionalna tematyka i wyższe ambicje artystyczne nie muszą się wzajem wykluczać. Wyznaczają one — w przekonaniu niżej podpisanego — pewną granicę, zamykającą jakiś okres w rozwoju środowiska i prezentują nowe stadium tego rozwoju.

Opowiadania Mikołajka, te, które tak sugestywnie odtwarzają atmosferę pionierskich lat polskiego Wrocławia, są pod względem artystycznym osiągnięciem godnym uwagi nie tylko w skali regionu: „Po deszczu” to książka niewiele gorsza od wysoko oszacowanego debiutu Marka Nowakowskiego; „Ten stary złodziej” jest rzeczą wyraźniej artystycznie wykorzystaną, ale Mikołajek prezentuje za to talent bardziej wszechstronny, choć nie bez pewnych podobnych ograniczeń. Talent godny uwagi — ale nie wiadomo, czy będzie poza swym środowiskiem zauważony i sprawiedliwie oceniony. Nie tylko dlatego, że jest to debiut. Lata posuchy w literaturze Nadodrza odzwyczaiły od patrzenia w tę stronę, pozwoliły zapomnieć nawet o znanych zaślugą nazwiskach.

„Parafianie” Worcella nie są bynajmniej pierwszą powojenną publikacją literacką autora, a przecież dopiero teraz, z okazji tej książki, odkrywa go

sobie i czytelnikom wybitny pisarz i zarazem felietonista „Życia Warszawy”, Jarosław Iwaszkiewicz; przypomina on głośnego niegdyś autora „Zaklętych rewirów”, który po wojnie „osiadł na Dolnym Śląsku i utonął w pracach organizacyjnych i publicystycznych”... Może to jednak tylko dowód taktu ze strony znakomitego pisarza — propozycja, by liczyć powojennego Worcella dopiero od rzeczy dotąd najlepszej, od książki, o której można mówić jako o wydarzeniu ogólnopolskim i której Iwaszkiewicz nie waha się przypisać niepospolitych walorów artystycznych.

Dobra książka o tematyce zaczerpniętej ze współczesności ziem nadodrzańskich zwraca uwagę krajowej opinii literackiej nie tylko na zwykłych prawach dobrej literatury, dobrej niezależnie od miejsca, w którym powstała czy któremu została poświęcona. Cokolwiek się w związku z tym mówi czy postuluje w środowiskach literackich — książka taka już z góry, jeszcze zanim powstanie, ma zagwarantowaną baczna uwagę, a co więcej — i pewną pobłażliwość oceny jej poziomu artystycznego, właśnie ze względu na pozaliteracką doniosłość tematyki.

Tej „klauzuli uprzywilejowania” nie uchyli psychologicznie zrozumiały, podyktowany przez ambicję opór pisarzy Ziem Zachodnich, przede wszystkim dlatego, że sprawa wykracza daleko poza literaturę a nadto jako sprawa literacka ma charakter ponadregionalny, krajowy: po pierwsze — współczesność Nadodrza jest nie od dziś jedną ze spraw centralnych dla całej literatury polskiej, po drugie — nie od dziś w zainteresowaniu dla tej materii uczestniczą pisarze z najróżniejszych pod względem geograficznym środowisk, jakkolwiek różnie można oceniać wartość rezultatów tego uczestnictwa.

Nie przypadkiem historia naszej powojennej literatury przebiega swymi licznymi istotnymi wydarzeniami właśnie przez Ziemie Zachodnie i ich minione kilkunastolecie: stąd, z okazji otwarcia radiostacji wrocławskiej, skierowany został bodaj pierwszy oficjalny apel władzy państwowej i partyjnej do twórców o wieksze zainteresowanie dla aktualnych problemów społecznych kraju. tu na tych ziemiach obradowały, brzemienne w konsekwencje, ogólnopolskie zjazdy pisarzy. na tym też terenie w pewnym okresie szczególnie chętnie poszukiwano dla współczesnej powieści społecznej modeli typowych procesów rozwojowych, postaw i konfliktów.

A jednak przy tym wszystkim specyficzna problematyka Nadodrza pozostawała i pozostaje wciąż jeszcze dla literatury sprawą osobną. I właśnie w swej odrębności doniosłą. Ogólnopolską, choć regionalnie zlokalizowaną jako temat o określonych rysach geograficznych i historycznych. Jest to pogląd nie tylko polityków i działaczy kulturalnych. „Temat jest pasjonujący a pisarze polscy poświęcili mu zbyt mało uwagi” — pisze Jarosław Iwaszkiewicz w cytowanym felietonie. „Jest to jeden z dramatyczniejszych wątków naszej współczesności”. Już dla samego zamiaru stworzenia obrazu osiedlania się ludności napływowej na Ziemiach Zachodnich i jej zlewiania się w jedno społeczeństwo książka Worcella jest zdaniem Iwaszkiewicza godna zainteresowania i szczególnego uznania.

Cieszymy się, że znakomity pisarz znalazł w „Parafianach” także inne zalety. Cieszymy się, że o tym napisał — i że mógł tak napisać szczerze, że pozwala na to rzeczywista wartość książki Worcella. Pochwała wygłoszona w najlepszej wierze — w określonym klimacie może zupełnie zmienić swą wartość.

O ile pochwała „za temat” w ogóle jest dziś wśród pisarzy podejrzana — w środowiskach literackich Ziem Zachodnich budzi ona szczególną niechęć. Dostrzega się w niej próbę degradacji, niższego zaklasyfikowania, zepchnięcia w „regionalizm”, pośrednie zakwestionowanie wyższych aspiracji twórczych

pisarzy tych środowisk i ich prawa zarówno do „innych” tematów, jak i do artystycznego współzawodnictwa, bez bonifikat i specjalnych taryf, z całą literaturą krajową.

Fakty, które stały się powodem do tych uwag, mogą się wydawać najmniej odpowiednią okazją do przypominania tych zastarzałych, tylekroć dyskutowanych zastrzeżeń, urazów, kompleksów. Bo czyż tej całej sprawy nie likwiduje sama rzeczywistość — właśnie nowe książki pisarzy Ziem Zachodnich, które są dowodem poważnego wzrostu poziomu i znaczenia środowisk literackich tych ziem; książki, w których realizowały się swobodnie aspiracje artystyczne i zainteresowania autorów i które bez pomocy „klauszul uprzywilejowania” zdobyły sobie istotną pozycję na krajowej giełdzie literackiej? A więc — normalizacja, autentyzacja życia literackiego na Ziemiach Zachodnich. Czyż nie czas ogłosić za Zdzisławem Hierowskim (w „Nowej Kulturze”) „pożegnania z regionalizmem” — więc i z upieraniem się przy pewnych zastarzałych wątkach dyskusji literackiej?

Rzeczywiście trzeba już zamknąć tamtą dyskusję. Ale trzeba równocześnie otworzyć nową. Ze świadomością osiągniętych postępów i zaawansowanej normalizacji, z satysfakcją z osiągnięć. Ale i z trzeźwą, krytyczną świadomością tego, co się nie wyjaśniło, co jeszcze pełniejszej normalizacji przeszkadza, co zalega — w niedomówieniach i niedomyśleniach — za kulisami osiągnięć, a także z troską o zachowanie tych pomyślnych okoliczności zewnętrznych, które złożyły się — obok wysiłku twórczego samych pisarzy — na tak widoczne postępy w rozwoju życia literackiego ziem nadodrzańskich.

Zainteresowany bardziej wewnętrznymi problemami literatury, a także ze względu na niedostatek kompetencji — z rozległego kompleksu socjologii literackiej jedną tylko sprawę poruszyć chciałbym w tym miejscu.

Literatura nie rozwija się, jak wiadomo, bez odpowiednich środków materialnych, a już szczególnie literatura „na dorobku”, w środowiskach dopiero formujących się bez zaplecza bliższej własnej tradycji. Gdy dziś z satysfakcją bilansujemy dorobek środowiska literackiego i stwierdzamy nie tylko jego wewnętrzne okrzepnięcie, ale i dobrą jego markę na ogólnopolskiej giełdzie kulturalnej, to nie wolno nam zapomnieć, że niepoślednim czynnikiem tych sukcesów była pomoc udzielona temu środowisku przez wrocławskie wydawnictwo. Gdyby nie Ossolineum, które z czasem utworzyło nawet do tego celu specjalną redakcję literatury współczesnej, z całą pewnością byłibyśmy ubożsi o wiele książek wrocławskich pisarzy, zaś większość debiutantów, których rzeczy stanowią poważny procent produkcji wspomnianej redakcji, niewątpliwie do dziś jeszcze czekałaby swej kolejki w wydawnictwach warszawskich czy innych. I nie dlatego koniecznie, że prace wrocławskich autorów nie wytrzymałyby konkurencji.

Zdarzało się, to prawda, że Ossolineum kredytowało nadmiernie, trzeba jednak powiedzieć (co nie o wszystkich wydawnictwach regionalnych powiedzieć można), że procent rzeczy zdecydowanie słabych jest tu nieznacznym. Ale czy i takie nawet nie odegrały jakiejś pożytecznej roli w życiu środowiska, umożliwiając autorom konfrontację z opinią literacką i wyznaczając w środowisku biegun ujemny jego stanu posiadania, kształtując jego samowiedzę?

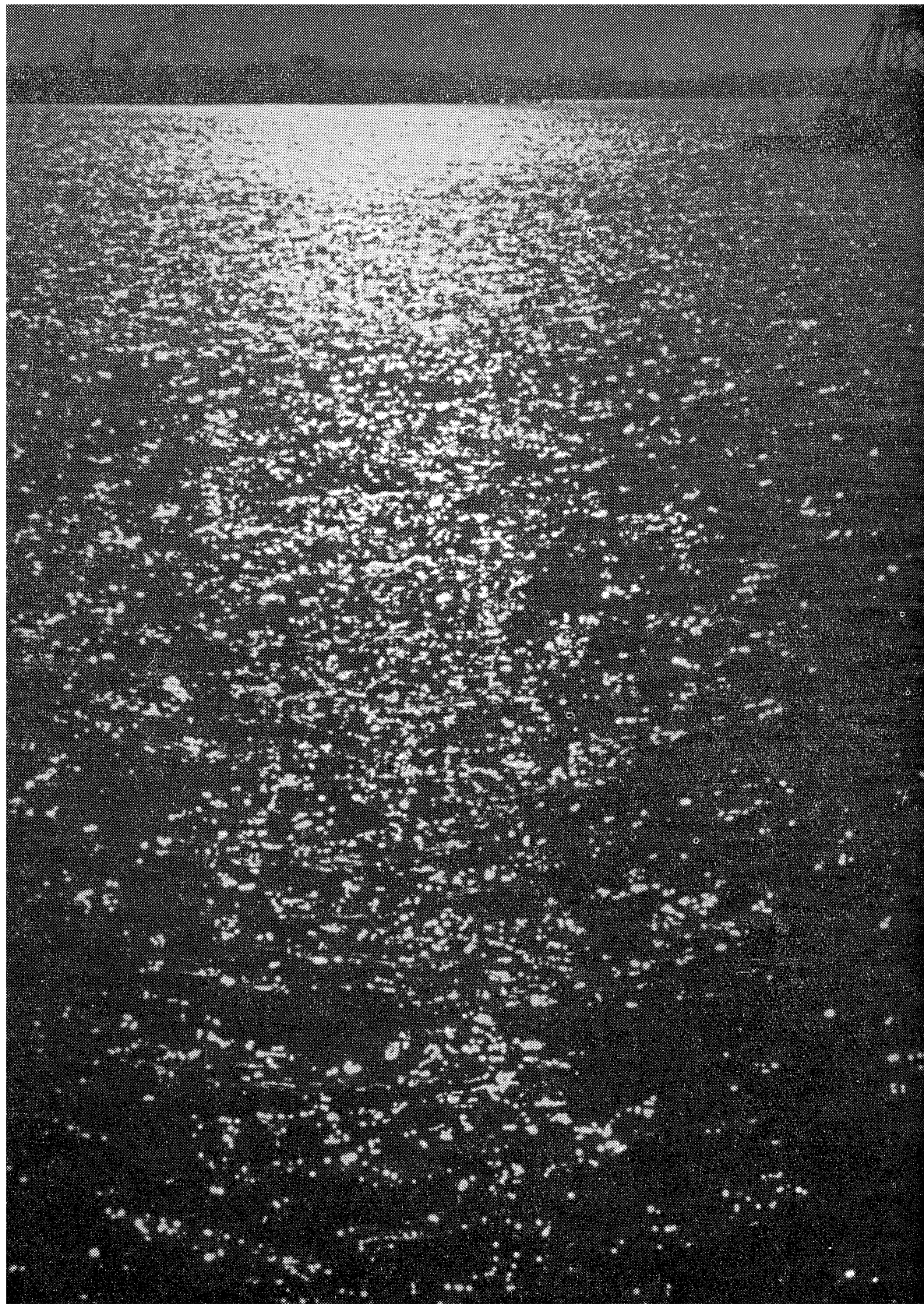
Rozważania o dorobku i perspektywach literatury naszego regionu chciałbym prowadzić ze świadomością, że literatura ta w swym rozwoju będzie nadal otoczona niezbędną opieką, do której tytułem jest jej pełniona już i przewidywana rola zarówno w życiu społeczeństwa ziem nadodrzańskich, jak i w całości kształcie kultury narodowej; że więc może ona sama odpowiadać za swe postępowanie. Tak trochę idealnie pojęta — bardziej zachęca, by bez obawy

o niezgrabne urażenie jej jakichś realnych bolączek, wszelako do istoty rzeczy nie należących, rozpatrzeć się trochę w jej niektórych sprawach wewnętrznych.

Choć nie zawsze tylko wewnętrznych. Swoją proklamacją prawa do swobodnego wyboru tematów, problemów i poetyk uchyliła ona nazbyt ciężące jej „przypisanie do ziemi” z niedawnych lat, ale problemu tym całkiem nie zlikwidowała. Wydobyła się na szerokie wody tematów, problemów i poetyk geograficznie i historycznie nieograniczonych — ale przecież jako forma życia umysłowego społeczeństwa nie może się całkiem oddzielić od realnych wymiarów geograficznych i historycznych swego istnienia. Czy ma w tym względzie jakieś konstruktywne propozycje? A może nie jest to dla niej w ogóle problem sensowny? Jak w takim razie pojmuje swe przemiany, jak sama odczytuje „Parafian” Worcella, nowele „pionierskie” Mikołajka — pozycje, które są — również — próbą nowego dialogu z problematyką współczesności sobie najbliższej?

Myszę, że ze spraw literatury Ziem Zachodnich, wyeksponowanych niejako ex definitione już z jej pierwszymi krokami, wciąż dyskutowanych, ale nie do końca wyjaśnionych, ta najbardziej podstawowa warta jest dalszego rozważania mimo swej pozornej oczywistości i rzekomej jałowości. Mogą być w takich rozważaniach różne punkty widzenia. Sama sprawa za centralną tu uznana sugerować może, iż powtórzyć się tu muszą stare, dobrze pisarzom Ziem Zachodnich znane zachęty i postulaty, słowa o ich doniosłej społecznej i narodowej misji. Mój punkt widzenia jest trochę inny. Przyjmuje, że sprawa sama pojawia się przed literaturą, gdy ta, nie napędzana nakazami, obracać się zaczyna sama ku porzuconej z ostentacją materii, obraca się wszelako w pozie bardzo skomplikowanej, w stanie sprzeczności uczuć i kontrowersji poglądów, jakoś tę sprawę w sobie rozgrywa, choć stara się tego nie okazać. Temat na małe studium „charakterologiczne” — z zakresu zbiorowej „psychologii” literatury. Sformułowane wyżej kwestie byłyby do tego zagajeniem.

Stanisław Pietraszko



Na terenie mowy ojczystej czyli czar twoich słówek



— Zostań moją żoną w związku z tym, że cię kocham — rzekł w biurze młodzian do koleżanki. I taką usłyszał odpowiedź: — Na terenie miejsca pracy nie znoszę rozmów na temat miłości.

To tylko anegdotka, ale *la réalité dépasse la fiction*. Zresztą nie są chyba najbardziej niebezpieczne owe ucieszne kurioza, cytowane w felietonach prasowych lub na ostatniej stronie „Przekroju”. Groźne jest, że nasz język potoczny, nasze rozmowy i przemówienia, ogłoszenia i artykuły, rozprawy i książki pełne są najgorszych elementów stylu urzędowego. Najprostsze i najwłaściwsze wyrazy i zwroty zastępuje się systematycznie innymi, pretensjonalnymi i szpetnymi. To strojenie się w błyskotki niegustowne i fałszywe jest przykre nie tylko estetycznie, ale i moralnie.

Nie ma oczywiście tej tendencji w dziełach najlepszych pisarzy i krytyków. Walczą z nią potrosze lingwiści, a także inni ludzie, spoza sfer językoznawczych czy literackich.*)

Widać tu i ówdzie skutki tej walki. Znikają osobliwości geometryczno-polityczne: na odcinku i po linii. Ograniczono podawanie nazwiska przed imieniem. Ale więcej zostało do zrobienia.

*) Autor, sam nie będący ani literatem, ani lingwistą ma miły obowiązek zacytować matematyka, prof. Hugona Steinhausa, którego różne poglądy i spostrzeżenia wyzyskał w tym artykule.

Bajeczna kariera terenu

Najjaskrawszym bodaj przejawem tendencji, o której mowa, jest ciągle powtarzanie wyrazu *teren*, a zwłaszcza wyrażenia: *na terenie*.

Teren używany w miarę oczywiście nikomu nie szkodzi. Cieszymy się, że urbanisci planują nowe osiedle między ulicami: Koźłą, Różaną i Kowalskich, bo ten teren jest suchy i zdrowszy niż inne. Radują oczy kwitnące kasztany na terenie szpitala. Wszystko to jest w porządku.

Ale oto czytamy, że na terenie Warszawy jest za wielu lekarzy i adwokatów i że żaden z nich nie chce pojechać w teren. A to znowu, że na terenie województwa wrocławskiego przebywa wielu turystów. Ważna centralna instytucja zwraca się do swoich placówek na terenie całego kraju. Ba! Na zjeździe wychowanków gimnazjum im. króla Piasta usłyszałem, że dawnych uczniów owej świetnej szkoły można spotkać na terenie całego świata. A jakie bajeczne perspektywy otworzą się przed tym zachłannym słówkiem, gdy opanujemy tereny międzyplanetarne i międzygwiazdne!

Pochłonęło ono i wprzęgło w swą służbę pocziwe przyimki *w* i *na*. Ze świecą szukać kogoś, kto powiedziałby po prostu: w Warszawie, w województwie, w całym kraju, na całym świecie.

Teren — to wszystko. Czasem dotyczy miasta, a czasem oznacza wieś. Czasem stolicę, a czasem właśnie prowincję. Dla instancji centralnych terenem są podobno instancje wojewódzkie, dla wojewódzkich — powiatowe itd.

Przez długie lata rosły kwiatki w parku cieplickim, w którym piszę te słowa, i nie wolno ich było zrywać. Ale dziś tablice głoszą wszem wobec, że nie wolno tego robić *na terenie* parku.

Przestrzeń i szereg

Napisałem przed chwilą: przez długie lata. Lecz trudno się obecnie powstrzymać, by nie napisać: przez *cały szereg* lat, albo co gorsza: *na przestrzeni* wielu lat.

Wprawdzie matematycy i fizycy mówią o przestrzeniach bardzo osobliwe rzeczy, ale wiercie mi, że pomieszanie czasu i przestrzeni w mowie potocznej jest pretensjonalne i śmieszne. A cóż dopiero, gdy wystąpi w efektownym połączeniu: na przestrzeni całego szeregu lat! Tak właśnie zaczynał się ważny artykuł w poważnym tygodniku.

Szereg jest trochę podobny do terenu. Sam przez się poprawny (np. gdy chodzi o przedmioty naprawdę jakoś uszeregowane), używany bywa obecnie najczęściej tam, gdzie jest zupełnie zbędny. Szereg i cały szereg zagarniają prawem kaduka wszystkie funkcje wyrazu: wiele. I nawet do tego stopnia, że słyszymy często o czymś, co się powtarza już nie tylko *w szeregu przypadków*, ale nawet *w szeregu przypadkach*! To już doprawdy nawarstwienie językowego niechłujstwa.

Temat i zakres

Przyimek o wypierany jest przez wyrażenie: *na temat*. Książka jest na temat wojny światowej, artykuł na temat aktualnej sytuacji, film na temat nieszczęśliwej miłości. Na temat bywają i marzenia, i wymyślania, i milczenia, i nawet łzy. Zwolennicy takiego stylu dziwią się pewnie, dlaczego Mickiewicz nie wiedział, o czym dumać na paryskim bruku. Bo oni nie wiedzieliby, na jaki temat dumać na terenie Paryża...

A tymczasem sprawa rozwija się dalej: wyrażenie *na temat* doczekało się już swego skrótu. Przeczytałem ostatnio, że ukazała się książka n.t. filozofii muzyki. Jeżeli o jest dla kogoś za krótkie, niechże już pisze w całości *na temat*, jeśli jednak *na temat* trzeba skraćć, to dlaczego nie wrócić do o?

Zakres spełnia nieraz funkcje dość wstydlive. W lecie, nad morzem, jemy obiady w gospodzie, ale śniadania musimy sobie sporządzać ... o nie, wcale nie sami, tylko *we własnym zakresie*. Instytucja, obowiązana pomóc w usunięciu jakiegoś kłopotu, radzi załatwić go *we własnym zakresie*, tym sposobem nadając odmowie formę niby wytworną. A zapytany o szczegóły urzędnik odpowiada, że nie ma jasnego rozeznania w tym zakresie... Co w ludzkiej mowie znaczy po prostu: nie wiem.

Styl urzędowy

Swoistą odmianą pretensjonalności jest gwara (a raczej żargon!) rozmaitych środowisk, a zwłaszcza urzędów. Czasem jest ona nagromadzeniem skrótów, zrozumiałych i wygodnych dla specjalistów. Zdarzyło się, że sekretarka poinformowała uczestników posiedzenia, iż pan naczelnik poszedł po siatkę, żeby odjąć przedmioty sztywne od pułapu. Członkowie komisji, która opracowywała wówczas program pewnego studium, zrozumieli wszyscy to zdanie i prawie nikt nie zauważył całej jego krasy. Ale dla czytelników muszę dodać słownik: siatka godzin — plan zajęć, przedmioty sztywne — takie, których liczby godzin nie można zmniejszyć, pułap — określona z góry maksymalna liczba godzin.

Szczególne efekty uzyskuje się stosując gwarę środowiska w zetknięciu z ludźmi spoza niego. Przed wyjazdem do sanatorium pacjent musi zobowiązać się na piśmie, że w razie spóźnienia będzie ponosił koszty próżnostania łóżka. Jak u Tuwima: „W ciasnodomiu lubosiedzę, radożycję w domowłaśni”.

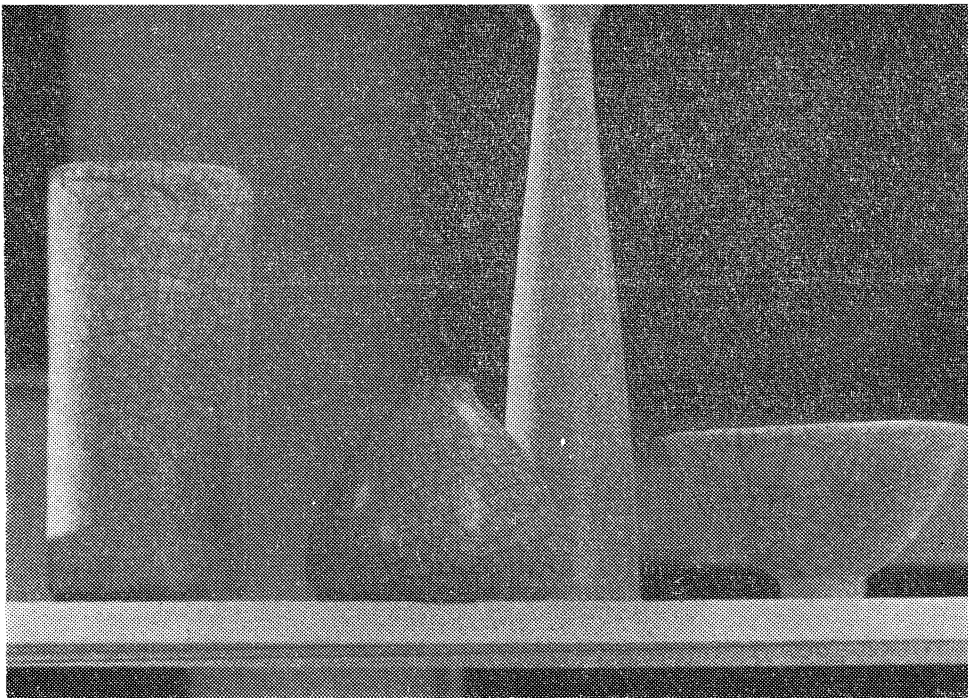
W gwarze urzędowej mówi się *odnośnie* zamiast *co do*, wyrazem *względnie* zastępuje się *lub* i *albo*. Nie mówi się ani dziś, ani teraz, tylko koniecznie *w dniu dzisiejszym* i *w chwili obecnej*. Nikt nie rozmawia i nie zgadza się, tylko *odbywa* rozmowę i *wyraża* zgodę. Nikt niczego nie uważa, bo chce *stać na stanowisku*. Nikt nic nie zmienia, nie poprawia, nie uzupełnia, bo woli *dokonać* zmian, poprawek i uzupełnień. Nic się nie psuje, nie powiększa ani nie zmniejsza, tylko ulega zepsuciu, powiększeniu czy zmniejszeniu. Powtarza się bez ustanku zwrot: *w związku*, który zwykle zastępuje *bo* i *ponieważ*. Każdy list oficjalny jest w związku z pismem z dnia ... Zwrot: Odpowiadając na list z dnia ... nie nadałby zapewne odpowiedzi dostatecznej powagi i mocy...

Jeżeli nie opanujemy tej manii, dowiemy się niedługo, że Jaś otrzyma dwójkę względnie pałkę w związku z tym, że nie nauczył się lekcji.

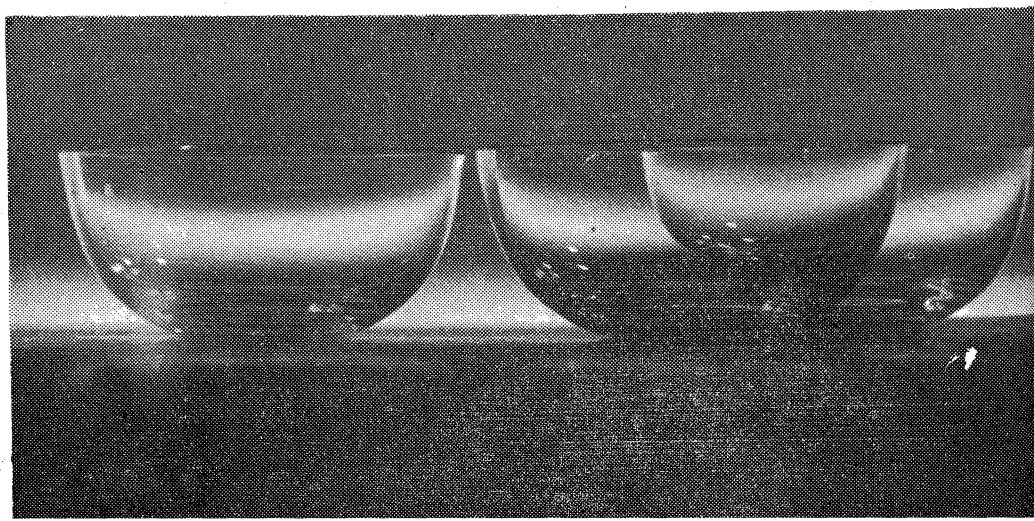
Apel końcowy

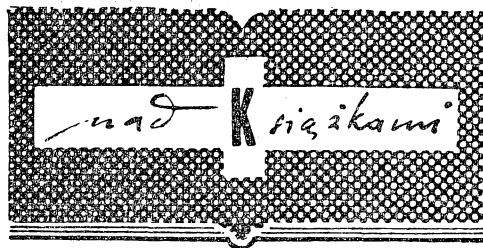
Rodaku mówiący i piszący! Gdy przyjdzie ci chętka wypowiedzenia lub napisania czegokolwiek w sposób urzędowy i pompacyjny, pretensjonalny lub zawiły (a przyjdzie na pewno: mówię z własnego, smutnego doświadczenia), ugryź się w język i pohamuj pióro. Nie bądź pawiem ni papugą. Tłumacz dzieciom i dorosłym, że prawdziwym znamieniem kultury jest mowa prosta i naturalna. Szukaj wzorów stylu u tych, których polszczyzna jest przejrzysta i szlachetna: u Prusa, Sienkiewicza, Boya, Dąbrowskiej, Parandowskiego. Wyrażaj swą myśl zwyczajnie: po prostu i po ludzku.

Edward Marczewski



W Redakcji „Odry” odbyła się utrwalona na taśmie magnetofonowej rozmowa, w której uczestniczyli: rektor Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu Stanisław Dawski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie Karol Estreicher, wicedyrektor Zjednoczenia Przemysłu Szklarskiego w Sosnowcu Władysław Żak, inspektor Zjednoczenia Przemysłu Ceramicznego w Warszawie Zbigniew Stadnicki, adiunkci wrocławskiej PWSSP Tadeusz Forowicz i Feliks Nawrocki oraz przedstawiciel redakcji. Główny temat rozmowy stanowiła praca artystów-plastyków w przemyśle ceramicznym i szklarskim oraz znaczenie szkoły wrocławskiej jako ogólnokrajowego ośrodka przygotowującego kadry twórcze w tej dziedzinie. Obszerne fragmenty rozmowy ukażą się w następnym numerze „Odry”. Na zdjęciach: wrocławska ceramika i wrocławskie szkło (fot. Henryk Wilkowski).





Studia Śląskie po raz trzeci

Gdy wzrok zwykłego zjadacza chleba pada na opasłe, kilkusetstronicowe tomiśko opatrzone tytułem „Studia”, „Materiały” czy „Prace”, najczęstszym odruchem jest refleksja, że to coś dla specjalistów. Jest w tym z pewnością bardzo wiele racji, ale reguła nie byłaby regułą, gdyby nie miała wyjątków. Do nich zaliczyć wypada „Studia Śląskie”, nową ich serię od lat trzech wydawaną przez Instytut Śląski w Opolu. Niedawno ukazał się tom trzeci tych „Studiów”).

Z pozoru można by sądzić, że to jeszcze jeden zestaw prac przyczynkarskich, przeznaczonych właśnie dla specjalistów i niezdolnych zainteresować nikogo spoza ich grona. Istotnie, próżno by tu było szukać syntez i uogólnień, wszystkie teksty odnoszą się do spraw mniej czy bardziej szczegółowych, ale — i to jest charakterystyczne — są to zawsze szczególnie ważne, niezbędne dla przyszłego twórcy wielkiej syntezy, a już interesujące nawet dla przygodnego czytelnika, zwłaszcza śląskiego.

Pośród prac składających się na każdy kolejny tom tych „Studiów” bez trudu wyróżnić można dwa odrębne nurty. To przeszłość Śląska, z coraz silniejszym akcentem kładzionym na międzywojennym dwudziestoleciu i latach ostatniej wojny, oraz jego współczesność najbardziej aktualna. Wydawane sumptem Opolu, są też „Studia” poświęcone sprawom Śląska Opolskiego. W historii ta zasada egzekwowana jest co prawda niezbyt skrupulatnie, ale w pracach prezentujących wyniki najnowszych badań socjologicznych czy

ekonomicznych bohaterem opisu jest wyłącznie województwo opolskie.

Z każdym tomem taki profil publikacji rysuje się coraz lepiej. W pierwszym mieliśmy jeszcze sporo rzeczy odnoszących się do epok raczej dawnych, w drugim — dwudziestolecie i ostatnia wojna zyskały przewagę, przy czym pojawił się już i ów nurt drugi, współczesny. Były to pierwsze rezultaty systematycznych badań socjograficznych i ekonomicznych podjętych w województwie opolskim w roku 1957 przez nowo powstały czy raczej wskrzeszony Instytut Śląski w Opolu (spadkobiercę imiennika sprzed roku 1949, wówczas z siedzibą w Katowicach). Tom trzeci tę linię redakcyjną rozwija bardzo konsekwentnie i udatnie.

Proporcje tematyczne są godne uwagi: połowa tekstów należy do historii, zresztą tej najnowszej, bo dwudziestolecia międzywojennego, druga — do współczesności, mówiąc zaś dokładniej, do ostatniego piętnastolecia. Obydwie te partie dokumentowane są jak najsolidniej.

Materiały historyczne to bądź prace źródłowe oparte o ujawnione przed niewielu laty tajne dokumenty policji, administracji czy sądownictwa niemieckiego, bądź teksty o charakterze wspomnieniowym, pióra uczestników wydarzeń z lat obcego zaboru. Te niemieckie czy raczej poniemieckie archiwalia posłużyły Joannie Jaderko-Ładomirskiej do odtworzenia sporu o kryteria przynależności narodowej ludności Opolszczyzny, jaki wiodł z władzami niemieckimi ks. Koziołek z Grabiny; Franciszkowi Połomskiemu — sprawy stosowania hitlerowskiego ustawodawstwa sterylizacyjnego wobec Polaków na Śląsku Opolskim; Agnieszce Nowak — słynnego incydentu z pobiciem aktorów teatru katowickiego w Opolu przez nacjonalistyczną bojówkę niemiecką w roku 1929. Dla odmiany Edward Szwed uzupełnił osobiste wspomnienia o polskim uniwersytecie ludowym na Opolszczyźnie —

dokumentami niemieckimi, do których dotrzeć mógł dopiero po wojnie. Kłotylda Godzińska, dyrektorka polskiego gimnazjum żeńskiego w Raciborzu (z siedzibą w Tarnowskich Górach, bowiem Niemcy nie udzielili ostatecznie zezwolenia na otwarcie tego gimnazjum na miejscu), opisuje swoją pracę z lat 1934–1939, a Stanisław Nabzdyk — dzieje polskiej szkoły w powiecie prudnickim, wybiegając zresztą do okresu powojennego.

Osobną pozycję, odmiennego charakteru, stanowi część pierwsza obszernego studium Karola Joncy na temat losów koncepcji budowy kanału Odra–Dunaj, zainicjowanej jeszcze przez cesarza Karola IV (w XIV wieku!) i po dziś dzień obracającej się w sferze niezrealizowanych projektów. Zresztą rzecz wcale aktualna, bowiem sprawa ta zdaje się ostatnio nabierać kształtów bardziej realnych, niż kiedykolwiek.

W partii współczesnej reprezentowane są dwie dyscypliny — socjologia i ekonomika. Anna Olszewska-Ladykowa przedstawia wyniki badań nad wykorzystaniem czasu wolnego przez robotnice opolskie (na przykładzie wsi Gielczyn Wielki), Zygmunt Gostkowski — nad czytelnictwem. Wreszcie cztery prace, elementy zakrojonej szeroko monografii gospodarczej województwa opolskiego, zajmują się kolejno: przemysłem metalowym (Stanisław Barącz), kamieniołomami (Maria Kurowska), warzywnictwem (Bożena Bła-

hut) i rzemiosłem (Karol Błahut) współczesnego Śląska Opolskiego.

Tu może warto przypomnieć, że tom drugi „Studiów” zawierał jedyną bodaj w ogóle w literaturze monografię kombinatu kędzierzyńskiego, tamże były też prace o małżeństwach mieszańców (ludność rodzima — ludność napływowa) w Opolu oraz o sukcesach rolników w Raciborskiem. Słowem, widać pracę przemyślaną i zaawansowaną bardziej niż w jakimkolwiek innym z województw zachodnich. Zasluga to niewątpliwie Instytutu Śląskiego, patrona i samych prac badawczych, i ich publikacji.

Zresztą „Studia Śląskie”, z którymi wypadło się nam spotkać już po raz trzeci, to nie owoc mariażu Opola z Wrocławiem tylko, jak przy dwóch poprzednich tomach, lecz trójkąta: Opole–Wrocław–Katowice. Opole daje firmę i fundusze (z wojewódzkiej kasy czerpane), Wrocław — wielu autorów a przede wszystkim redaktora serii w osobie prof. Seweryna Wysłoucha, w Katowicach wreszcie ma siedzibę Wydawnictwo „Śląsk”, które teraz służy „Studiom” za oficynę wydawniczą w miejsce wrocławskiego „Ossolineum”. To więc jeszcze bardziej akcentuje trafność tytułu: cały Śląsk ma udział w tych „Studiach”.

Jan Kaczmarek

*) Studia Śląskie, seria nowa, tom III, pod redakcją Seweryna Wysłoucha, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1960, stron 487, cena 50 zł.

Vademecum spraw zachodnich

Takiej książki brakowało od dawna i bardzo dobrze się stało, że Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza postarała się o wypełnienie luki co się zowie dotkliwej. Mam na myśli popularne, adresowane do szerokich kręgów czytelnich vademecum polskich spraw zachodnich, a więc problemów powrotu Polski nad Odrę, Nysę Łużycką i Bałtyk, wraz z zagadnieniem stosunków polsko-niemieckich. I oto otrzymaliśmy książkę Euzebiusza Basińskiego pt. „Na piastowskim szlaku”^{*)}, tak właśnie pomyślaną.

Jest więc tu szerokie objaśnienie pojęcia ziem zachodnich i północnych Polski,

pojęcia zresztą coraz bardziej historycznego. Jest przedstawienie racji historycznych i prawnych, które obwarowały powrót narodu polskiego na jego dawne piastowskie szlaki. Jest obszernie potraktowany obraz piętnastoletnia w gospodarce i kulturze. Jest wreszcie cały osobny rozdział poświęcony działalności różnych organizacji Polonii zagranicznej na rzecz obecnej granicy zachodniej Polski, cenne novum w publikacjach tego rodzaju.

Słowem vademecum bardzo pożyteczne i aż dziw bierze, że wcześniej nikt na coś podobnego się nie zdobył. Bo też ogromny tom „Odbudowa Ziemi Odzyskanych”, wieńczący serię „Ziemie Staropolskie” pod auspicjami poznańskiego Instytutu Zachodniego, czy spod tejsze firmy elementarna synteza „Polskie Ziemie Zachodnie” z całą pewnością na masowego czytelnika obliczone nie były, podobnie jak świeższa od nich publikacja „Rozwój gospodarczy ziem zachodnich i północnych Polski”, wydana z końcem ubiegłego roku przez Polskie Wydawnictwa Gospodarcze.

Nie byłbym wszakże szczery, gdybym książce Basińskiego nie wytknął kilku mankamentów, zdaniem moim, wcale istotnych.

I tak, gdy mowa o gospodarce Nadodrza, jakże można było zupełnym milczeniem pominąć sprawy Odry, przecież głównej arterii wodnej całego kraju, arterii od lat biorącej wyraźny kurs na szybki rozwój? Mówiąc nawiasem, skłonność autora do skrupulatnego wyliczania aktywów Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich tu właśnie znalazłaby najpełniejsze uzasadnienie, bowiem udział Komisji Zagospodarowania Odry TRZZ w pracach nad aktywizacją magistrali odrzańskiej należy w ogóle do najpoważniejszych osiągnięć tej organizacji.

Nie można także nie obruszyć się na wybitnie powierzchowne, zbyte dosłownie kilku frazesami potraktowanie tak kapitalnego problemu jak kształtowanie się więzi społecznej wśród ludności ziem nadodrzańskich i nadbałtyckich. Z pewnością przecież i można, i warto było tym sprawom oddać znacznie więcej miejsca, które wypełniono przydługim cytatem, zresztą niezbyt na temat.

Wiele uwagi poświęcił autor działalności Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich. To bardzo słuszne, bowiem rola tej organizacji we wspieraniu większych i mniejszych inicjatyw poszczególnych środowisk Nadodrza, Pomorza, czy Warmii i Mazur jest potencjalnie wcale poważna. Nie ustrzegł się jednak autor pewnej przesady, biorąc raz i drugi cele i zadania Towarzystwa za realne już dokonania i osiągnięcia. Tak ma się rzecz bodaj przede wszystkim z ową rolą „komórki sztabowej”, jaką rzekomo już odgrywają w terenie ognia TRZZ, czy z również przez autora przecenioną aktualną pozycją Rady Naukowej.

Nie sposób też nie wspomnieć znacznej luki, jaką jest pominięcie rozwoju telewizji na Nadodrze, przy czym luka to tym istotniejsza, że np. na Dolnym Śląsku właśnie inicjatywa społeczna odegrała rolę decydującą w zainstalowaniu się nowej

muzy nad Odrą. Z pokrewnego rewiru dziwi nazbyt zdawkowe i nieścisłe potraktowanie znaczenia wrocławskiej wytwórni filmowej, na domiar ujętej w jednym akapicie razem z relacją na temat frekwencji w kinach, sprawą ze zgola innej parafii.

Wreszcie słów parę na temat jakości opracowania redakcyjnego. Namnożyło się w tej książce tyle błędów rzeczowych, może drobnych, gdy brać każdy z osobna, w sumie jednak dość przykrych. Ot, dla przykładu: *Luzacja* to Łużyce, nie Ziemia Lubuska; termin *Piastowicze* (miast: Piastowie) nie jest przecież używany, podobnie jak *ziemie przyodrzańskie* i *przybałtyczne* w miejsce *nadodrzańskich* i *nadbałtyckich*; miejscowość Krzyżobór na Dolnym Śląsku zgola nie istnieje (to po prostu Krzeszów); podobnie nie ma we Wrocławiu przedmieścia Olbino (to Olbin); kościół NM Panny na Piasku we Wrocławiu to budowa bynajmniej nie romańska, lecz gotycka; pierwsze zdanie polskie zapisano nie w kronice, lecz w księdze uposażeń klasztoru henrykowski; Szczecin nie ma własnego wydawnictwa morskiego; wytwórnia filmowa we Wrocławiu istnieje nie od roku 1955, lecz od 1953 itd., itd.

Można też żałować, że redaktorski ołówek nie wyrugował z tekstu takich piękności stylistycznych jak „cud gospodarczy, wyhodowany na miliardowej pożywce amerykańskich dolarów”, „węzłowe wyroby przemysłowe”, „odbudowa żywego inwentarza” czy „przodujące zbiory i plony”, od czego w książce aż rojno.

Z tym wszystkim rzecz jest przecież pożyteczna, bo pierwsza i jedyna w swoim rodzaju. Mankamenty, o których mowa, można usunąć w wydaniu następnym, a wolno się spodziewać, że pierwszego nie na długo starczy, zważywszy popularny charakter publikacji.

Jan Kaczmarek

*) Euzebiusz Basiński, Na piastowskim szlaku, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1960, str. 245, cena 20 zł.

Metafora, którą się w tytule posłużyłem, jest częściowo uzasadniona w odniesieniu do nowej książki Stanisława Rosponda „Nazwiska Ślązaków”.*) Zawiera bowiem ta praca 180 nazwisk ludzi związanych życiem i działalnością ze Śląskiem, nierzadko podaje ich zawód, rodowód i wiek; ale tu się kończą analogie ze zwykłą książką ewidencyjną. Tę przecież pisał uczony dla potrzeb nauki i kultury polskiej i pisał z określonym celem, któ-

Książka m e l d u n k o w a Śląska

remu towarzyszyła świadomość, że nie jesteśmy na Śląsku od wczoraj; dowodzą tego przez wieki przechowane mimo wie-

lorach uśiłowani przygodnych właścicieli Śląska, nazwiska śląskich Polaków.

Książka, o której mowa, jest przykładem wnikliwego studium onomastycznego, stanowiącego interpretacyjny odsyłacz do wielkiej kartoteki nazwisk śląskich, którą w przeciągu dwunastu lat zgarnął autor ze wszystkich możliwych źródeł archiwalnych, rękopiśmiennych i drukowanych. Ten magazyn onomastyczny polskich mian i nazwisk stanowi niebagatelna ilość fiszek: 350.000. Taka gigantyczna baza materiałowa pozwala językoznawcy rozpatrywać się w problematyce nazewnictwa Śląska pod wieloma punktami widzenia. Daje przede wszystkim możliwość śledzenia pewnego typu nazewnictwa od Średniowiecza po niemal ostatnią dobę, pozwalając przy okazji obserwować stadia germanizacji, która często doprowadzała do zupełnego zatarcia jego polskiego charakteru.

Wynika stąd konieczność metodologiczna, osobliwie ważna dla językoznawstwa na Śląsku, uwzględniania momentów substytucyjnych niemieckich i czeskich, a nawet łacińskich, bez których interpretacja wielu formacji onomastycznych szła by w fałszywym kierunku, o ile w ogóle byłaby możliwa. Substytucje, czyli owa kawa rozwoju, na której tle kształtowały się pozbawione bezpośredniego naturalnego związku z Macierzą nazwiska polskich Ślązaków, mają charakter fonetyczny, kancelaryjny (więc graficzny) lub kulturowy.

Wyciągając wnioski co do charakteru miana lub nazwiska, którego forma i geneza warunkowana jest różnymi okolicznościami pozajęzykowymi w poszczególnych epokach, podzielił autor swoją książkę śląską na trzy zasadnicze rozdziały: okres starośląski, Renesans i reformacja, wreszcie okres pruski. Podział ten oznacza, że autor nie zamknął się w ciasnym kółku rozważań językoznawczych, ściślej: onomastycznych, ale uwzględnił okoliczności historyczne, ekonomiczne i kulturowe, nierzadko też społeczne i polityczne, wywierające przemożny, nieraz decydujący wpływ na formowanie się i rozwój typu nazewnictwa.

Trzy kompleksy faktów historycznych, w których porusza się Stanisław Rospond, odpowiadają w ogólnych zarysach trzem fazom onomastycznym, kształtującym odpowiednie typy nazewnictwa, właściwe swojemu czasowi. I tak np. Średniowiecze (XII–XV w.) odbija w nazwach osobowych stempel ówczesnego podziału społeczeństwa na możnych i lud; miana dwuczłonowe, dostojne i nobliwe, typu Wojsław, Sławomir, Sulisław itp., charakteryzują elitę feudalną i urzędniczą tamtego czasu; dynastia Piastowiców śląskich za-

rezerwowała dla siebie ulubione i czcigodne imiona typu Bolesław, Mieszko, Kazimierz itd. Lud natomiast przeżywał się po prostu od zwierząt, zjawisk natury, nawet przedmiotów, np. Żuk, Zima, Widł, Głęb, Kwiecik itd., albo używał zdrobnień imion dwuczłonowych: Wieścisz, Radosz, Milesz. Na przełomie XIV i XV wieku rozpoczyna się inwazja imion chrześcijańskich i obcych, często niemieckich, i coraz częściej pojawiają się formy podobne do dzisiejszego układu imię + nazwisko, tzn. imię chrześcijańskie i przydomek przezwiskowy, albo imię chrześcijańskie i nazwa miejsca pochodzenia, np. Stefan Kostka, Jan z Paczkowa itp.; przy czym nazwiska odmiejscowe najchętniej noszą mieszczanie.

Renesans i reformacja także w nazewnictwie przynoszą zwyczaje latynizacyjne i hellenizacyjne. Pojawiają się zlatynizowane twory, które szerzą się wśród warstwy ówczesnych „uczonych w piśmie”, więc profesorów, pisarzy, magistrów, bakałarzy. Są to albo nazwiska z przyrostkiem łacińskim, albo tłumaczenia nazwisk, np. Głodius (Głód), Cretius (Kret), albo Faber (Kowal), Herbinus (Kapusta) itp.

Okres pruski od połowy XVIII wieku na Śląsku zaznacza się planowaną i świadomą germanizacją, która nie oszczędziła nazw miejscowych i osobowych, uparczywie w polskiej formie trzymających się tutaj. To, czego nie dokonały wieki mimowolnej lub nieświadomionej germanizacji, wynikające ze zderzenia się dwu systemów onomastycznych, obecnie przyspiesza się w sposób zamierzony. Niezależnie od tego wiele nazwisk polskich w tym okresie czy to drogą powolnych, wiekowych przeinaczeń substytucyjnych, czy adideacji do form niemieckich, jest tak zmienionych, że trzeba wnikliwej i popartej historycznym materiałem analizy fonetycznej i słowotwórczej, aby z naleciałości obcych oczyścić niejedno polskie nazwisko. Np. Bandtke jest polskim Będkiem, Zuschke jest polskim Suszkiem, Zühlke jest polskim Sułkiem, Damroth jest dawnym polskim Domaradem, Bunke jest polskim Bakiem, zaś Partsch jest polskim Bartoszem.

Poza opisanymi wyżej syntetycznymi ujęciami, uogólniającymi dotychczasową wiedzę o typie i charakterze polskiego nazewnictwa na Śląsku, jego tendencjach i perypetiach, książka Stanisława Rosponda zawiera wiele cennych informacji źródłowych, zwłaszcza gdy idzie o okres starośląski. Znajdzie tam czytelnik opis najważniejszych zabytków starośląskich, zawierających najszacowniejsze i najbardziej wartościowe materiały onomastyczne Śląska. Ten wszelako interpretowany wy-

kaz źródeł nazewniczych rozpoczyna analiza filologiczna najdawniejszej Bulli wrocławskiej z r. 1155. Jest tam i przywilej Henryka Brodatego z r. 1204 i cenna Księga Henrykowska z XIII w., która — jak wiadomo — w oryginale znajduje się w Archiwum Diecezjalnym we Wrocławiu na Ostrowie Tumskim.

Materiał nazewniczy, omówiony przez Stanisława Rosponda w trzech zasadniczych rozdziałach, ujęty jest po wstępnych uwagach w układ alfabetyczny w każdym z tych rozdziałów. W obrębie poszczególnych haseł przeprowadził autor interpretację językoznawczą (etymologia, znaczenie, stopień i charakter zmian germanizacyjnych lub latynizacyjnych), która jest uzasadnieniem formy hasłowej. Ta interpretacja, odnoszona niejednokrotnie do imion i nazwisk z innych terenów Polski, ma ogromne znaczenie. Przeprowadzona niezwykle jasno i przekonywająco, pozwala rozeznać się w specyficznych warunkach rozwojowych nazw osobowych na Śląsku i daje wyobrażenie nie tylko o onomastycznym bogactwie śląskiego nazewnictwa, lecz także o mnogości faktów przeciwdziałających jego naturalnemu rozwojowi. A wszakże dynamizm i siła żywotna polszczyzny na Śląsku były tymi czynnikami, które w sumie sprzyjały z drugiej strony utrzymaniu polskiej szaty nazwniczej tego obszaru. Przy uwzględnieniu nieustannie działającego czynnika germanizacyjnego okazuje się, że tendencje rozwojowe polskiego imiennictwa na Ślą-

sku są identyczne z kierunkiem jego rozwoju na terenie Polski centralnej.

Książka Stanisława Rosponda przedstawia wielką wartość dla humanisty w ogóle, a w szczególności dla historyka, który pozbawiony dotąd tak ważnego narzędzia metodologicznego, niejednokrotnie błąkał się i gubił w germanizacyjnym labiryncie, albo wprost szukał wyjaśnienia niejednego nazwiska w etymologii ludowej. W tej chwili znajdzie on właściwą formę i etymologię najważniejszych imion i nazwisk śląskich, a w braku jej właściwą metodę interpretacyjną, która uczy ostrożności i pokazuje właściwą drogę objaśniania.

Wielkim walorem tej pracy onomastycznej jest jej przejrzystość i przystępność, co z uwagi na specyfikę zagadnień onomastycznych nie było rzeczą łatwą. Sprawia to, że książka dostępna jest nawet dla słabiej przygotowanego językoznawco czytelnika, chętnego poznać dzieje Śląska w tej dziedzinie. Czyta się ją z wielką satysfakcją i przyjemnością, co nie jest obojętne dla pracy, z którą zapoznać się powinien każdy zajmujący się kulturą Śląska. Uważam ją za ważny argument przynależności Śląska do Polski i udaną zapowiedź wielkiego Słownika Nazwisk Śląskich, na który nie trzeba będzie już długo czekać.

Stefan Reczek

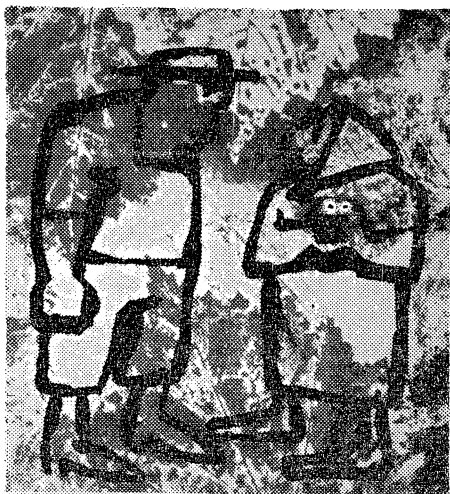
*) Stanisław Rospond, Nazwiska Ślązaków, Instytut Śląski, Opole 1960, s. 114.

Właściwie większość składników nowej książki Henryka Worcella*) znamy z jego dotychczasowej twórczości. Autor powieści o kelnerach wykazał duży zmysł obserwacji środowiskowej, autor reportaży — znajomość społecznej problematyki wsi współczesnej, wreszcie autor baśniowej gawędy „Wyspa starej Tekli” ujął zamiłowaniem do fantastyki, oczarowaniem urokami pejzażu. „Parafianie” nie są jednak prostą sumą charakterystycznych cech poprzednich pozycji, są raczej wynikiem skonsumowanego małżeństwa tamtych elementów i, jak z doświadczenia małżeństwami bywa, wykazują własną indywidualność.

Przemawiający w pierwszej osobie bohater książki przybywa w pierwszym akapicie, dnia 16 czerwca o godzinie dwunastej w południe, do wsi Heizendorf, nazywanej wkrótce Zdarzycami Dolnymi, położonej w Ziemi Kłodzkiej, w połowie drogi między Kłodzkiem a Łądkiem Zdrojem i w akapicie ostatnim wieść tę opuszczając, przenosząc się do Wrocławia. Do-

Wiejskie wczasy i pożytki

kładność realiów i widoczna ich autentyczność wskazywałaby, że mamy do czynienia z prozą o charakterze pamiętnikarsko-reportażowym. Lektura jednak sprawia wiele niespodzianek i zaskoczeń. Cała historia nie jest pokazana przez bohatera po kolei; przeciwnie — ma kilka luk nader ważnych dla ustalenia jego pozycji społecznej w Zdarzycach. Pozycja ta wyraźnie się zmieniła: z właściciela gospodarstwa, zatrudniającego kilku pracowników, którego głównym zainteresowaniem i wręcz pasją było rolnictwo, stał



HENRYK WORCELL
parafianie
OSIOLINEUM

Okladkę projektował
Wiesław Zajączkowski

się bohater współlokatorem dużego domu, wysiadującym całymi dniami na ławeczce w ogródku i pisującym reportaże ze swej wsi do czasopism, które to reportaże wracały w formie wydrukowanej i powodowały cały spłot niechęci i ataków, których celem stawał się oczywiście autor szczyrych publikacji.

Bohater — narrator podaje też na pierwszych stronach książki szereg informacji z zamiarem uprzedzenia akcji, wprowadza w ten sposób, a raczej zapowiada wiele postaci, z którymi później już na ogół się nie spotykamy. Dzieli wreszcie swoją opowieść, już zupełnie formalnie, na szereg odrębnych opowiadań, nie respektując ciągłości narracji, pomijając wiele spraw istotnych dla fabuły. Wszystkich tych zabiegów, z lektury wnosząc można, dokonuje zupełnie świadomie, rozbijając autentyk i reportaż, wypunktowując sprawy dla siebie ważne, lub nieważne, czyniąc swoisty obrachunek z dwunastoletnim pobytem na wsi inteligenta zamykającego istotny rozdział życia. „...wyjechać poza tę wieś, w puste pole, i jeszcze raz przemyśleć wszystko, co mi się

wydawało niesłuchanie ważne, a w gruncie rzeczy może było niepotrzebne, bez znaczenia”. — tymi słowami kończy książkę.

Jakie to są sprawy? Perspektywa działacza bohatera — fikcyjnego autora od codziennych kłopotów mieszkańca Zdarzyc pozwala wybierać, hierarchizować. Mniejsze stają się klótnie i zawiści, maleją nawet oczywiste krzywdy i zbrodnie. Można na ten świat popatrzeć już nie socjologiczno-intencyjnym okiem dziennikarza, ale okiem pisarza posiadającego ukształtowane upodobania życiowe i literackie. Można spojrzeć poprzez sprawy drobne, poprzez nie narzucić swoją wizję świata. Można się przyznać, że z radością uciekało się od przykrości na samotne wędrówki po lesie pod pretekstem grzybobrania. Szukać klucza w przyrodzie i pejzażu, w tym, co dawniej nazywano naturą.

Pejzaż jest tradycyjny (bo jakże inaczej można go w Polsce wyrażać). Opisy przyrody górują nad wszystkim, nie swymi rozmiarami, bo są na ogół oszczędne, ale wagą swej funkcji. Nie tylko wyrażają emocje, nie tylko służą do określania (jeśli tak się można wyrazić) „uczuć politycznych” („Destrukcyjne właściwości ognia” rozpalanego przez pozostałych w Zdarzycach Niemców przywołują skojarzenia z wojennymi miotaczami ognia i zostają rozładowane pokojowym „pożarem” lasów na jesieni), ale także narzucają się ludziom, podporządkowują ich sobie. Częste są porównania ludzi do zwierząt. Konfident Bogusiak w pięknym opowiadaniu „Bogusiak poszedł na grzyby” zachowuje się jak żbik. Kasia Zahorczykówna „jest zjawiskiem biologicznie nieudanym, jak zółw czy pancernik”. Ludzie gonią Paciorkową z kościoła jak „sifora psów”.

Trudno tu nawet mówić o naturalistycznej proveniencji, raczej przypomina to baśniową konstrukcję świata, gdzie biologizm jest metaforą obejmującą możliwie najwięcej, a jednocześnie pozwala na zachowanie dystansu i stosowanie pobłażliwości. Tu w takiej właśnie wizji przejawia się wyrażone w tej książce upodobanie, nie żadna obsesja, ale właśnie upodobanie, na które może sobie pozwolić ukształtowany, doświadczony pisarz. Mało co dziei upodobania bohatera książki Worcella, od upodobań pracowitych pannen-bohaterek lirycznych „Pieśni o Sobótce”.

Jest to dalej zniewolenie urokiem wsi, jej pracy, jej rytmu i urody, zniewolenie przybyłego na wieś inteligenta, który w rezultacie boi się wracać do miasta, uciekać od „źródła wszelkiej żywności”, któ-

ry przez dwanaście lat uczył się poznawać siły przyrody ucieleśnione także w rozbuchanej krowie trątującej natrętnego pastuszka.

Jeśli miejscami przychodzi żałować, że Worcell-fantasta zwycięża Worcella-realistę, to należy się cieszyć, że w tych harmonijnych opowiadaniach, pełnych drob-

nych realiów i z szeroką epicką obudową, Worcell-pisarz zwyciężył pogłębiając Worcella-reportera.

Jacek Łukasiewicz

*) Henryk Worcell, Parafianie. Wrocław. 1960. Ossolineum. s. 223, cena zł 14.

Jest to debiut udany. I to nie dzięki tej gładkiej poprawności, która często wystarcza, aby powitać pierwszą książkę młodego pisarza protekcyjnymi komentarzami. I nie dlatego także, że eksplouuje tematy nowe i pożyteczne, co pozwala przymknąć oczy na braki pisarskiego rzemiosła. Krótkie opowiadania, zebrane w tomiku „Po deszczu”^{*)}, są nie tylko świadectwem tak zwanego nerwu narracyjnego, ale też prezentacją środków pisarskich w pewnym stopniu już ukształtowanych, posiadających swoje odrębne, swoiste cechy. Nie jest to mieszanina chwytów i efektów, z której może się wyłonić wszystko i nic. Już teraz można z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, jaki będzie „język” Mikołajka, jaki będzie jego sposób widzenia ludzi i zdarzeń.

Oczywiście nie znaczy to, że mamy do czynienia z próbą nowych wartości, które udało się wprowadzić do literatury nielicznym tylko debiutantom. W opowiadaniach Mikołajka jest po prostu pewna konsekwencja w przejmowaniu doświadczeń współczesnej prozy, konsekwencja będąca pierwszym przejawem dojrzałości. Jeśli więc tomik „Po deszczu” należy do „bloku”, którego oddalonym źródłem jest nowelistyka Hemingway’a, to faktem zwracającym uwagę wydaje się tu właśnie nieobecność manieri będącej czymś zewnętrznym, będącej przybraną maską, spod której wygląda brak własnego stosunku do przedmiotu opisu. Proza Mikołajka jest oszczędna i zwarta, unika introspekcji, wiedzę o człowieku stara się zawrzeć tylko w opisie jego działania. Metoda ta służy celom konkretnym, to metoda patrzenia właściwa oku młodego pisarza.

W najlepszym opowiadaniu tomu, w tytułowym „Po deszczu”, działanie dwu mężczyzn, których zetknął przypadek, jest działaniem naturalnym, obywatelom się bez komentarza, ich reakcje, ledwo zaznaczone, mają charakter odruchowy, niemal fizjologiczny — a jednak w krótkim spieciu sytuacyjnym ludzie ci sprawdzają się do reszty i równocześnie w jakimś stopniu

„Po deszczu”

dają świadectwo swojemu czasowi — w tym wypadku czasom okupacji.

Mikołajek jest zresztą zafascynowany okupacją, a ściślej mówiąc sytuacjami krańcowymi, w których nie ma miejsca na pół-rozwązania ani na pół-decyzje, sytuacjami, których nie można przedłużać i z których jest tylko jedno wyjście. Taki jest „Odpoczynek”, „Pod sosną” i bardzo dobre opowiadanie, drukowane we „Współczesności” (nie wiem, dlaczego nie ma go w tomiku) — „Jutro się wyprowadzimy”. Okupacja i jej konsekwencje, powikłania pierwszych powojennych lat, to teren najchętniej przez autora „Po deszczu” nawiedzany. Tam czuje się najlepiej, obraca najswobodniej. Ludzie zarażeni wojną, ludzie „nieprzystosowani”, nie znający swe-



Tadeusz Mikołajek

go miejsca, zamknięci w sobie i skrzywieni — jak w „Nieślubnym” — ludzie pozbawieni gruntu pod nogami — to drugi

obszar penetracji, ściśle związany z pierwszym.

Bo wypadki we współczesność nie zawsze się Mikołajkowi udają. Jeśli jeszcze jego bohaterowie stoją wobec przerastającej ich sytuacji — jak w „Nieślubnym”, gdzie wysiłek fizyczny ocierający się o granice wytrzymałości stwarza ów charakterystyczny dla Mikołajka nastrój przytłoczenia, zagrożenia, niepewności — wtedy metoda opisu nie zawodzi. Kiedy jednak źródła tego „wysadzenia z siodła” poszukać trzeba w psychologii, bo nie uzasadnia go do końca rzeczywistość — opowiadanie zawisa w próżni, pęka w szwach. Jak w „Dwudziestym dziewiątym”. Zabrakło tam właśnie motywacji psychologicznej, schemat skróconego opisu nie zdaje egzaminu. I znów „Garbaty generał”, gdzie położenie narratora uwarunkowane jest bez reszty przyczynami zewnętrznymi, nieodwołalnymi, i gdzie wszystkie efekty sprawdzają się bez pudła.

Tak więc Mikołajek czuje się najlepiej w opowiadaniach, w których sytuacja wyjściowa, samo założenie skażone jest jakimś elementem deformującym los bohaterów, prowadzącym ich bocznymi ścieżkami, elementem, który zmienia lub odwraca proporcje. W opowiadaniu „Powrót” i w

obrazku „Nad Wisłoką” tym elementem jest groteskowy humor, oparty na bardzo prostych pomysłach, lecz też i bardzo czysty w gatunku. Szczególnie w „Powrocie”, zaludnionym postaciami znanymi z innych opowiadań Mikołajka, uderza ta zmiana perspektywy. Jest to — być może — jakaś zapowiedź rozszerzenia repertuaru środków pisarskich, jak można sądzić bardzo Mikołajkowi potrzebnego.

Bowiem to, co jest siłą tomiku „Po deszczu”, może stać się słabością następnych. Jeśli zademonstrowana przez Mikołajka metoda obserwacji i opisu nie ulegnie wzbogaceniu, łatwo stać się może, że ascetyczna lapidarność ocierać się zacznie o wygodną szkieletowość, że postacie, które dotąd określa sama dramatyczna sytuacja, albo się zaczną powtarzać, albo też, uwolnione z kręgu tych sytuacji, okażą się puste. Nie bawmy się jednak w prorocтва, które w odniesieniu do pisarzy mających coś do powiedzenia na ogół się nie sprawdzają. A wiele wskazuje na to, że Mikołajek będzie pisarzem mającym coś do powiedzenia.

Zbigniew Kubikowski

*) Tadeusz Mikołajek, Po deszczu, Ossolineum, Wrocław 1960, s. 140.

Od „Południa” do „Szklanej Góry”

W jednej ze scen filmu, podczas zabawy, kiedy Anastazy jest nagabywany przez podpitych kolegów, Beata wstaje od stolika i mówi: „Zaraz wracam”. W opowiadaniu analogiczny zwrot brzmi: „Uciekam do toalety”. Ten drobny retusz jest bardzo charakterystyczny: przywraca Beacie jej własny język. W opowiadaniu mówi ona zbyt często językiem Wołka, jego językiem posługują się właściwie wszyscy.

Z drugiej strony sam Anastazy w „Południu” zatracca często „swój” język i w monologach wewnętrznych zaczyna rozmyślać językiem Patkowskiego. Tę niekonsekwencję wytknięto już autorowi. Myślę, że nie wynika ona tylko z trudności, jakie sprawia utrzymywanie opowiadania w pierwszej osobie. Wołek ograniczony do odruchów, do nieskomplikowanego „sie robi”, przypominałby prymitywa z powieści Caldwell. Dlatego zapewne autor włącza się mu w monologi wewnętrzne, a czasem i dialogi. Jednak dzięki nim Anastazy nie staje się po-

stacią pełnosprawną psychologicznie, interesującą i sympatyczną. Autor i przed tą „skrajnością” się wzbierał. Anastazy do końca jest dość prostoliniowy i trochę prostacki. Zakończenie „romansu” pozostaje w ścisłym związku z rozładowaniem socjologicznego kompleksu dorównania. Anastazy widzi już potem tylko „słupowate nogi” Beaty i cieszy się, że doktorka z Warszawy trochę pocierpi.

W „Szklanej Górze” Anastazy i inne postacie z „Południa” awansują artystycznie. W wypadku Łomka jest to przede wszystkim awans wrażliwości. Dochodzi do niego w dużej mierze dzięki Ludwikowi Pakowi.

Ten „artystyczny awans” wynika także z odmiennego stosunku autorów filmu do postaci, do problemów, jakie reprezentują. W sposób może niezbyt udany nawiązują oni do „Krzyża Walecznych”, jeśli idzie o „naświetlenie” postaci ludzi prostych. Zresztą zależność „Szklanej Góry” od filmów Kutza nie ogranicza się tylko do potraktowania postaci, sięga ona i w sprawy warsztatowe — tak, że możemy śmiało mówić o „szkole Kutza”. Postawę autorów charakteryzuje dobroduszny humor, jakim otaczają Anastazego i brygadę, która „hoduje geniusza”. Nie wy-

plywa ona z poczucia wyższości, ale — przeciwnie — jest wyrazem nieapriorycznego podejścia do skomplikowanych spraw, jakie przeżywają ludzie pozornie nieskomplikowani. Oczywiście w wypadku Anastazego możemy mówić głównie o skomplikowaniu uczuciowym, wręcz nadwrażliwości, która nieraz się kłóci z jego dobitnymi „czynami”.

Dobroduszny ton filmu odbija od opowiadania, w którym zostało bardziej zaakcentowane uczucie rozżalenia (podobnie jak i w „Harmonijce”). W ten sposób film osłabił zgryźliwość socjologiczną opowiadania, roztopił konflikt w lirycznych niuansach, ba, sprowadził go do melodramatu „niemożności”.

Wyposażenie Anastazego w „Szklanej Górze” w większą wrażliwość uczuciową jest zasługą reżysera a przede wszystkim aktora. Nie dziwi zresztą, że tylko ta strona osobowości Łomka została pogłębiona: wrażliwość uczuciowa doskonale się nadawała do wygrania przy pomocy gestów i mimiki. Podobnie niedwuznaczne uczucia brygady do Anastazego i Beaty ujawnia cały balet gestów, min, spojrzeń (a także drobne „kawały” jak choćby ten z torebką „porwaną” przez wózek). Otóż ta warstwa filmu, artystycznie najciekawsza, pozostaje w bliskim pokrewieństwie z filmami Kutza. Tyle, że u Kutza drobne detale, jak np. buty, na które wspina się bohaterka z „Nikt nie woła”, istotnie odkrywały psychologiczne komplikacje. W „Szklanej Górze” o takiej odkrywczości trudno mówić. W każdym razie Paweł Komorowski wykazał tu nieco inwencji w materii ściśle reżyserskiej.

Fogiel i Leśniak a także Gołas jako szofer wraz z całym epizodem rozgrywającym się w autobusie wnoszą do filmu autentyczny żywioł komediowy. Nie trzeba ukrywać, że nadaje on filmowi rumieńców, wprowadza ruch bardziej istotny niż długie travellingi. Wydaje się nawet, że utrzymanie całego filmu w konwencji komediowej (wraz z „rozstaniem”) byłoby czymś ze wszech miar roztropnym.

„Szklana Góra” jest przykładem, jak z „danego” materiału literackiego powstaje film: inwencja reżyserska ogranicza się prawie tylko do strony techniczno-reżyserskiej. To jest bardzo dużo, jeśli reżyser ma do czynienia z pełnym psychologicznie i dramaturgicznie scenariuszem, w przeciwnym wypadku powstaje film, który dramaturgicznie biorąc jest tylko ekspozycją. W takim wypadku mówi się o braku pracy tematycznej. A przecież do filmu szczególnie przystaje określenie: dzieło w rozwoju.

Brak „pracy tematycznej” odbił się najdotkliwiej na postaci Beaty. Przydano kilka poprawek językowych, zabrano tro-

skliwie o jej zewnętrzny wygląd, a resztę pozostawiono Marii Wachowiak. Trudno mówić o jakimkolwiek „awansie” psychologicznym tej postaci.

Ludwik Pak niewątpliwie zmienia akcent opowiadania — przenosi go z płaszczyzny socjologicznej na psychologiczną. Łomek w jego interpretacji dorównuje, ba, o niebo przewyższa Beatę, nie tyle jako „wynałazca”, ale jako człowiek bardziej wrażliwy, subtelny, chciałoby się powiedzieć — „głębszy”.

Strona psychologiczna „wynałazku” nie wytrzymuje krytyki w opowiadaniu, a w filmie jest tak zdawkowa i nieprawdopodobna, jak nieprawdopodobny jest „trójnóg” do rozbijania skał. Konkretyzacja ekranowa wykazała całą słabość tego wątku zajmującego przecież sporo miejsca.

W opowiadaniu pewne możliwości szerszej psychologicznej motywacji pracy nad wynałazkiem zostały zasygnalizowane w momencie, kiedy Anastazego, po katastrofie, opadają wyrzuty sumienia: uganiania się za lekarką, traci czas, a tu kolejdy giną. W tym krótkim przebiegu ujawnił się nie tylko moralny aspekt wynałazku, ale i konieczność koncentracji wewnętrznej, ba, monomanii.

Nieco zjadliwe, choć stereotypowe, obserwacje obyczajowe małego miasteczka u Patkowskiego — w filmie zostały przetworzone na szereg impresji wizualno-dźwiękowych. One niewątpliwie tworzą zasadniczy klimat filmu — klimat liryczny. Efekt monotonii (ale łagodnej, dalekiej od frustracji) uzyskano dzięki „kuran-towemu” (nieco natarczywemu) motywowi muzycznemu; także przez powtarzanie pewnych ujęć (wieża kościoła), przez ich „przetrzymywanie” — np. odjazd dorożki w głąb cichej uliczki. Clouzotowska sek-

*Maria Wachowiak i Ludwik Pak
w filmie „Szklana Góra”.*



wencja wybuchu w kamieniołomie wydaje się obcym wrętem. Podobnie pewne zapędy montażowe (cięcia, liczne jazdy) nie zawsze pozostają w zgodzie z klimatem liryczno-dobrodusznym. Można go krytykować. Ale nie sposób zaprzeczyć, że w tym konkretnym wypadku humor, z jakim pokazywana jest „Szklana Góra” różni się od tego, z jakim ukazano „Miasteczko”. Te różne spojrzenia nie biorą się tylko stąd, że w śląskim miasteczku zainstalowano luksusową (zbyt chyba luksusową) salę operacyjną. Różnica postaw artystycznych wynika tu z odmiennego klimatu lat 1957 i 1960.

Chociaż niezbyt mocny i nieco „powierzchnowy”, powiew współczesności, jaki idzie od „Południa” do „Szklanej Gó-

ry”, jest przecież godny zainteresowania. Tym bardziej, że nie jest to powiew od południa w ogóle, ale powiew z autentycznym kolorytem lokalnym od śląskich Karconoszy.

Piotr Kajewski

Maciej Patkowski, Południe. Iskry, Warszawa 1960, s. 113.

Szklana Góra Scenariusz: Paweł Komorowski i Maciej Patkowski. Reżyseria: Paweł Komorowski. Zdjęcia: Krzysztof Winiewicz. Muzyka: Krzysztof Komeda-Trzciński. Wykonawcy: Maria Wachowiak, Ludwik Pak, Irena Netto, Aleksander Fogiel, Zdzisław Leśniak, Wiesław Gołas i inni. Zespół realizatorów „Kadr” 1960.

Trzy tomiki p o e z j i

PAŚ NAD GŁĘBIĄ

Bodaj Karol Zawodziński umieścił kiedyś w tytule swej recenzji z pierwszych tomików Jastruna następujący zwrot: „Ciemność swą rzeźbię westchnieniem ze złota”. Według Zawodzińskiego w tym poetyckim zdaniu był „cały Jastrun”.



Tadeusz Zasadny

Dziś może dodalibyśmy tylko: „cały wczesny Jastrun”.

Recenzentowi sprawia satysfakcję, jeśli z debiutanckiego tomiku może wypisać kilka zwrotów, jeszcze niezupełnie oryginalnych, ale już indywidualnych, już własnych, w których mieści się zapowiedź „całego” autora, w tym wypadku Tadeusza Zasadnego.

Z tomiku „Zazdroszczę nut” można odczytać jeszcze i coś więcej: próbę przeprowadzenia pewnego programu poetyckiego. Utrzymując się w zasadzie w poetyce powanguardowej, autor prawie całą inwencję skierowuje ku eufonii: melodyce frazy, słów, zgłosek. Wśród powszechnej nadprodukcji post-awangardowo-różewiczowskiej zarysowuje wyraźnie profil foniczno-liryczny, impresyjny w niebanalnym tego słowa znaczeniu. W niektórych wierszach używa „nut” ludowych i „naiwnych”. Do przeprowadzania tych prób posiada niewątpliwie prawo: uczulenie na urodę języka, wrażliwość na cienką „materię” języka, jego świeżość, więc także żartobliwość:

panny jak panny
w szlochach

— — —
marcia funebre
trąbą

maleńkie mokre kosy

Oczywiście znać tutaj, że idzie drogą przetartą już przez Białoszewskiego (nie raz zbyt się u niego zapożyczając), ale trochę w innym kierunku: lirycznym. Obecność liryki, lekkiej i żartobliwej, wydaje mi się szczególnie godna uwagi w dobie wynaturzonej wstydlivosti uczuć, w dobie zaniku liryki sensu stricto (co ma też swoje konsekwencje czytelnice). Najle-

pszym i bardzo „autorskim“ żartem lirycznym Zasadnego jest „Niebieski parasol“.

W tradycji awangardowej napotykalmy na całkiem szeroki nurt „melodyjny“. Warto tu wymienić Stanisława Młodożeńca. Jednak pierwsze miejsce w tym nurcie zajmuje Józef Czechowicz. Autor „Zadzroszczę nut“ świadomie i chyba słusznie do niego nawiązuje. Ale czy zawsze do tego co najlepsze, czy ściślej biorąc, warte kontynuacji? Otóż — pozornie wygląda to na paradoks — wraz z Czechowiczem odzywają się w wierszach Tadeusza Zasadnego niedobre echa młodopolskie. Zawodzi go nieraz słuch poetycki.

Zawodzi także, co gorsze, poczucie konsekwencji, rygor poziomemu. Ambitny zamiar przeprowadzenia w tomiku pewnego programu nie zawsze odpowiada ambicjom szczegółowych już realizacji. Nie idzie na wet o zamieszczenie kilku słabszych wierszy, ale o „zepsucie“ wielu przez nieoczekiwane zwroty w rodzaju: „biały palec koklusz dotknie“, lub wręcz niedopuszczalne: „kaszlu oset jak sfałszowany list Chopina“. Zgryźliwość tych kilku krytycznych uwag wypływa tylko stąd, że Zasadny potrafi w innym miejscu, lekko i bezbłędnie prowadzić swój zgłoskowo-obrazowy koncert:

Klomby sułknie kolombin
idą rzędem za lotem pszczelim
a w trawach
niski pomruk leży

MASKI

Treść poetyckiego tomiku Leopolda Szweda uderza swoistą ambiwalencją. Jest to spotkanie z kimś, kto mówi na ogół źle, ale mocno, przekonany o swojej słuszności. Istotnie Szwed przedstawia silnie już zarysowaną indywidualność o bujnej i oryginalnej wyobraźni — ale to wszystko dopiero przeblyskuje przez natłok nie najlepszej literatury, przez zbyt obfitą nairację. Odnosi się wrażenie, że autor celowo zaniedbuje materię językową, albo też „nie słyszy“ jeszcze, nie odróżnia dobrych i wątpliwych wartości literackich polszczyzny. Na ekspresję „brzydoty“, na sadyzm spontanicznych brutalnych zestawień może sobie pozwolić ktoś, kto już odebrał najwyższe wtajemniczenie językowe, kogo stać na prerafinowanie. W przeciwnym wypadku efekty śmiałych poczynań wyobraźni śmieszają.

Mimo to Leopold Szwed już może atakować szczerze obstawiony bastion młodej poezji polskiej, gwizdząc przy tym „wykastrowany motyw Mozarta“. Niezręczności gramatyczno-stylistyczne wyrównuje fascynującymi, wybitnie plastycznymi, fragmentami wizji (to nadużywane określenie „wizja“ szczególnie tu pasuje):

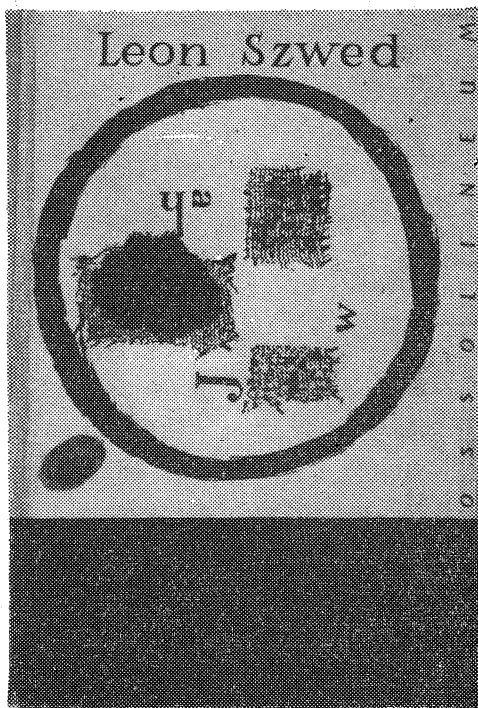
W najsłabszym miejscu

horyzontu

— — — —
przelazi na czterech łapach
czerwień męskości z gitara

Nie najmocniejszą stroną wierszy Szweda jest ich zawartość intelektualna. Znać na niej ślady nie przetrawionych lektur psychoanalitycznych, Kafkowskich i innych. Lektury wchodzą do wierszy w stanie niemal surowym, stąd rozgardiasz, brak wyboru, precyzji.

Wspólny jednak tym różnym wierszom jest agresywny i zarazem bardzo przejmujący



Okladkę projektował Józef Hałas

jący ton, przywodzący na myśl poezję Andrzeja Bursy. Ale jak Szwedowi jeszcze daleko do samowiedzy artystycznej autora strof „Dla Luizy“!

Przeciwstawność wrażeń, jakie przynosi lektura „Ogrodu spadających masek“, bierze się stąd, że zamieszczono beztrudno w tomiku wiersze o tak niejednakowym poziomie.

„Wysoką namiętność nowej drogi“ musi autor w przyszłości okiełznać wiasną, bardziej czystą techniką.

Niebanalna i wytrawna artystycznie obwołana i przerywniki Józefa Hałasa podnoszą wartość zbioru.

SZEPTEM

Z początku wydaje się, że tytuł tomu jest dość przypadkowy, potem jednak w miarę lektury wylania się jego uzasadnienie. Otóż widać tym razem wyraźnie, że wiersze zostały skrojone według bardziej jednolitych form, że uległy w tym sensie ściszeniu. Nie oznacza to rezygnacji z charakterystycznego dla Kazimierza Koszutkiego „ostrego dyżuru“ wobec współczesności, z akcentów publicystycznych. Zwiększył się jednak i pogłębił nurt refleksyjno-filozoficzny, szczególnie w cyklu „Wemnie i poza“.

Ujednolicenie formalne nie jest tylko oznaką pełniejszej sprawności warsztatu, ale czegoś więcej: okrzepnięcia wewnętrznych treści, przywiązania do pewnych tematów, dla których poeta łatwo znajduje odpowiedni kształt. W liberalnej odmianie poetyki „awangardowej“ Koszutki osiągnął już pewien stopień finezji, można, trochę żartobliwie, mówić już o „klasyczności“, równowadze. Asymilacja jest też już tak pogłębiona, że np. pogłos Czecho-wicza w niżej cytowanym fragmencie nie razi, wydaje się organicznie tkwić w materii językowej, w „liberalnym“, ale jednolitym stylu całości:

najboleśniej pachną kwiaty
z zakurzonej żołnierskiej piosenki
rozkwitwały pęki białych róż

(Tryptyk)

Dla ukazania czystości roboty poetyckiej Koszutskiego można by zacytować sporo jego wierszy. Ale warto przytoczyć kilka zwrotów, w których do głosu dochodzi sympatyczny *couleur locale*:

uśmiejemy się więc
i kryjemy raz po raz
za chorą nóżkę joasi
za obrazy pana gepperta.

(W kawiarni)

Czytelnikom znającym dotychczasowe publikacje poety tomiak „Szeptem“ nie przynosi niespodzianek. Można by powtórzyć pretensje formułowane przy poprzednich: nadmiar „literackości“, nieodkrywczość, przerost metaforyki. Zbiór „Szeptem“ najlepiej ukazuje jednak autentycznie poetycką twórczość Kazimierza Koszutkiego.

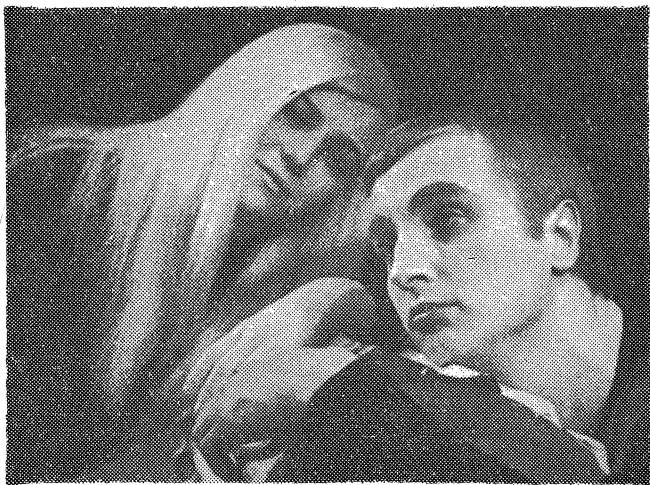
Ossolineum należy wyrazić uznanie za tak staranne i estetyczne wydanie tomiaków wrocławskich poetów.

Paweł Soszyński

Tadeusz Zasadny: *Zazdroścę* nut. Ossolineum, Wrocław 1960, s. 46.

Leon Szwed: *Ogród spadających masek*. Ossolineum, Wrocław 1960, s. 62.

Kazimierz Koszutki: *Szeptem*, Ossolineum, Wrocław 1960, s. 74.



Teatr Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze wystawił „Kochanków z Werony“ Jarosława Iwaszkiewicza w reżyserii Marka Okopińskiego, scenografii Jerzego Waltera Brzozy, z muzyką Claude Debussy'ego, przy współpracy dramaturgicznej Stanisława Hebanowskiego. Na zdjęciu: Irena Grzonka (Julia) i Czesław Stopka (Romeo).

ODZNACZENIA I NAGRODY

Przyznawaną rokrocznie nagrodę ministra budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych za postęp techniczny i wprowadzanie do produkcji nowych metod otrzymali tym razem młodzi inżynierowie z Zielonej Góry, którzy opracowali nową metodę produkcji tzw. sączków glinocementowych.

Laureatami zostali inż. Jerzy Polkowski, Janusz Bercda i Roman Matuszak.

☆

Kryształowy puchar 40-lecia Związku Zawodowego Chemiczków stał się od niedawna własnością Zakładów Celulozowo-Papierniczych z Krapkowic (woj. opolskie), które zajęły pierwsze miejsce w ogólnopolskim współzawodnictwie fabryk przemysłu chemicznego.

☆

Za najlepszą cukrownię w kraju została uznana cukrownia w Górze Śląskiej, która w ciągu trzech miesięcy kampanii cukrowniczej (październik, listopad, grudzień 1960 r.) wyprodukowała 17.300 ton cukru I gatunku, tj. o 4.400 ton więcej niż przewidywał plan.

☆

Nie lada sukces odniosły w roku 1960 Nadodrzańskie Zakłady Przemysłu Organicznego w Brzegu Dolnym, zdobyły one mianowicie w przemyśle chemicznym Sztandar Przechodni prezesa Rady Ministrów i CRZZ.

Sztandar przechodni ministra budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych oraz Zarządu Głównego Związku Zawodowego Chemiczków w przemyśle ceramicznym zdobyły Ziębickie Zakłady Ceramiczne; natomiast w przemyśle szklarskim załoga Zakładów Szkła Lustrzanego.

O TYLE JESTEŚMY BOGATSII

Globalna produkcja przemysłu kłuczewego na Dolnym Śląsku wzrosła w ciągu 1960 r. o blisko 12 proc.

☆

Aż trzy miliony ton węgla wydobyli w ubiegłym roku górnicy walbrzyscy, a więc o przeszło 50.000 ton więcej, niż przewidywał plan.

☆

Z początkiem bieżącego roku Paławag rozpoczął produkcję bardzo poszukiwanych węgla-

rek metalowych. W obecnej pięciolatce fabryka ta przekaze do eksploatacji 22 tys. tego typu wagonów.

☆

We Wrocławskich Zakładach Elektronicznych „Elwro” ukończono montaż maszyny cyfrowej „Odra 1001”. Znajdzie ona zastosowanie przy centralnym sterowaniu procesami technologicznymi. „Odra 1001” została skonstruowana w oparciu o technikę tranzystorową. Jest to pierwsza wyprodukowana w kraju maszyna tego typu.

☆

Popyt na telewizory jest ciągle jeszcze duży. W związku z tym Dzierżoniowska Fabryka Radiodbiorników „Diora” przystąpiła z nowym modelem do produkcji telewizorów o nazwie „Aladyn”. Będą one posiadały 17-calowy ekran oraz zmniejszoną, bardzo estetyczną obudowę.

W tym roku „Diora” wypuści na rynek ok. 1000 „Aladynów”, a w 1965 aż... 50 tys.

☆

Skoro mowa o telewizorach — już co trzydziesty mieszkaniec Raciborza posiada własny odbiornik telewizyjny (1.135 telewizorów na 31 tys. mieszkańców). Również w wielu wsiach tego powiatu telewizorów jest coraz więcej. Np. w Tworzech i Pietrowicach zainstalowano dotychczas 200 tych aparatów (po 100 w każdej), we wsi Nędza 90.

☆

W roku bieżącym Fabryka Porcelitu w Tułowicach rozpoczyna „generalną batalię” o rynek zagraniczny. Wkrótce do Związku Radzieckiego i USA zostanie wysłanych około 5 tys. serwisów stołowych. Wyroby zakładu będą ekspozowane na Międzynarodowych Targach w Lipsku, Helsinkach i Mediolanie.

☆

Województwo opolskie jest jednym z najpoważniejszych ośrodków przemysłu chemicznego i materiałów budowlanych w kraju. Produkcja tylko czterech największych cementowni opolskich zamknęła się w roku ubiegłym liczbą 1324,9 tys. ton, tj. o 44,9 tys. ton więcej niż wynosiła produkcja całej Polski w roku 1957. Ta różnica między okresem przedwojennym a obecnym widoczna jest jeszcze bardziej na przykładzie produkcji nawozów azotowych. W 1937 wytwarzaliśmy ich w Polsce tylko 42,6

tys. ton, gdy obecnie fabryki samego województwa opolskiego wypuszczają na rynek ok. 140 tys. ton nawozów azotowych.

☆

Wiele miast Nadodrza rozwija się w bardzo szybkim tempie. Widać to chociażby na przykładzie Zielonej Góry. Przed rokiem 1939 mieszkało w tym mieście niespełna 26 tys. osób, obecnie natomiast Zielona Góra liczy 56 tys. mieszkańców, a w roku 1965 będzie ich aż 62 tys.

☆

Gorzowski „Stylon” systematycznie wprowadza do produkcji coraz to nowe rodzaje towarów. W roku 1960 uruchomiono tam produkcję trudnopalnej folii filmowej. Trzeba zaznaczyć, że jeszcze trzy lata temu nie było w Polsce fachowca, który by znał proces wytwarzania tego artykułu. Dziś Gorzów zaspokaja już ponad 60% krajowego zapotrzebowania na trudnopalną folię filmową eksportując także pewne jej ilości do NRD.

☆

Załoga Koźuchowskich Zakładów Nadwozi Samochodowych obchodziła ostatnio mały jubileusz produkcji. Bramy fabryki opuścił półtoratisięczny furgon. Tego rodzaju samochody cieszą się ogromnym powodzeniem, gdyż służą one do przewożenia dużych ilości mięsa, pieczywa, mebli itp., a także używane są przez handel wiejski jako stragany ruchome. Jeszcze dwa lata temu koźuchowska fabryka była skromnym zakładem, w którym remontowało się tylko maszyny i narzędzia rolnicze PGR-ów.

☆

W roku 1960 zielonogórski „Lumel” wyprodukował wiele mierników elektrycznych różnych typów o łącznej wartości 86 milionów zł. Jest to poważne osiągnięcie tego zakładu, gdyż plan produkcji na rok 1960 był o 50% wyższy od planu poprzedniego roku.

O TYLE JESTEŚMY UBOŻSII

W lasach Opolszczyzny żyje jeszcze dosyć dużo dzikiej zwierzyny. Począwszy od roku 1957, rokrocznie urządza się tutaj bezkrwawe łowy na jelenie i daniela, które po schwytaniu przewozi się autami do ubogich w zwierzyne lasów Rzeszowszczyzny, Kieleckiego, Lubelskiego i Łódzkiego. W ten sposób z województwa opol-

skiego wywedrowało w grudniu 1960 r. 100 jeleni i danieli, a w ciągu ostatnich czterech lat aż 400 sztuk.

W POSZUKIWANIU 15 MILIARDÓW ZŁ

Na skróceniu zbędnych inwestycji i zmianie technologii produkcji przemysł walbrzyski zaoszczędzi niebagatelną sumę 57 milionów zł.

★

Działalność Wrocławskiej Agencji Przemysłowej, która zajmuje się badaniem rezerw produkcyjnych w zakładach Dolnego Śląska i możliwościami zwiększania produkcji, przynosi coraz większe rezultaty. Grupa fachowców, która pod koniec ubiegłego roku analizowała plany produkcyjne Pafawagu i M-5, doszła wspólnie z dyrekcjami tych zakładów do wniosku, iż istnieje realna możliwość zwiększenia przez wspomniane fabryki produkcji eksportowej w roku bieżącym na ogólną wartość 550 milionów zł. Trzeba zaznaczyć, iż plan przewidywał, że wartość produkcji eksportowej tych zakładów zamknie się sumą miliarda zł.

Pafawag i M-5 zadeklarowały wprowadzenie w życie postulatów Wrocławskiej Agencji Przemysłowej.

WYNAŁAZKI, ODKRYCIA

Duży sukces odniosły Zakłady Przemysłu Bioweterynaryjnego „Biowet” w Gorzowie. Wyprodukowały one mianowicie nowy lek przeciwko motylicy — groźnej chorobie atakującej owce i bydło. Dotychczas chorobę tę zwalczano przy pomocy środków „doustnych”, nie zawsze skutecznych i niełatwych w stosowaniu.

Nowy preparat „Fastiolin” wytwarza się w zastrzykach. Jednorazowe wstrzyknięcie 10 gramów „Fastiolinu” wystarczy do całkowitego wyleczenia zarażonego zwierzęcia.

Gorzowski „Biowet” wyprodukował już 200 litrów tego leku — wystarczy to do zaszczepienia 60 tys. sztuk bydła.

★

Pełnym powodzeniem uwieńczone zostały badania geologiczne w województwie zielonogórskim. W okolicach Cybinki (pow. Krosno Odrzańskie), Gubina i Mostów (pow. Żary) odkryto bardzo bogate złoża węgla brunatnego. Ze względu na korzystne warunki geologiczne i terenowe przewiduje się, że eksploatacja tych złóż będzie wysoko opłacalna.

★

Domek z pumeksu? To brzmi trochę nieprawdopodobnie, a jednak tak. Raciborskie Zakłady Betoniarskie i Żelbetonowe produkują już na potrzeby rybnickiego okręgu węglowego

prefabrykaty z kruszyw lekkich, czyli żwirobetonu i pumeksu. W Leszczkach wybudowano już nawet blok mieszkalny z prefabrykatów pumekowych. Budownictwo to ma na razie charakter eksperymentalny. Dotychczas wiadomo tylko, że mieszkania z pumeksu są cieplejsze i tańsze od mieszkań budowanych z materiałów tradycyjnych.

Projekt budowania domów z płyt i bloków pumekowych jest dziełem inż. Brzuskowskiej z Gliwic.

★

Z końcem ubiegłego roku została otwarta w Zielonej Górze wystawa postępu technicznego. Urządzono ją w sali Klubu NOT. W wystawie uczestniczyło 12 czołowych zakładów przemysłowych Ziemi Lubuskiej. Poszczególne ekspozycje to rezultat myśli twórczej inżynierów, techników i racjonalizatorów z całego województwa. Znalazły się tam między innymi nowe modele pieców do termotechnicznej obróbki wagonów, łożysk do wagonów itp., zademonstrowano tam również metodę pakietowego cięcia blach tlenem, pomysły inż. Malentowicza.

★

Podczas prac wykopaliskowych na rynku warzywnym w Szczecinie, na terenie dawnego podgrodzia znaleziono dwie figurki szachowe: gońca i pionka. Jak stwierdzili naukowcy, pochodzą one sprzed 1000 lat.

TO TEŻ CIEKAWE

Dla uczczenia pamięci zmarłego w r. 1960 prezydenta NRD, Wilhelma Piecka, odbudowany został w Gubinie staraniem tamtejszych władz dom, w którym Wilhelm Pieck spędził dziecięce i młodzieńcze lata. W budynek została także wmurowana tablica pamiątkowa. W obiekcie tym znajdzie pomieszczenie muzeum regionalne.

Ulica Różana w Gubinie, przy której stoi owa posesja, otrzymała imię zmarłego prezydenta NRD.

★

W prezydiach rad narodowych województwa wrocławskiego zatrudnionych jest 7.293 os. b: z tego 1.227 w Prezydium WRN. 4.024 w prezydiach powiatowych rad narodowych i 2.044 w radach gromadzkich. Spośród 22 kierowników działów w WRN 12 posiada wyższe wykształcenie, 2 niepełne w z-sze, 7 średnie i jeden niepełne średnie. Z pozostałych pracowników 360 ma wyższe wykształcenie, natomiast 179 pracowników WRN dokształca się w szkołach o różnej specjalizacji.

W prezydiach powiatowych rad narodowych 344 pracow-

ków posiada wyższe wykształcenie, 64 niepełne wyższe, 1.462 średnie, pozostali niepełne średnie lub podstawowe.

★

W styczniu bieżącego roku na posiedzeniu, które odbyło się w gmachu Prezydium WRN w Opolu został zatwierdzony do realizacji projekt zabudowy architektonicznej śródmieścia Opola. Autorem tego projektu jest inż arch. Roman Tunikowski z Wrocławia, którego praca zajęła II miejsce w konkursie ogłoszonym przez WRN.

★

W powiecie świdnickim w latach 1958–60 uruchomiono 13 kamieniołomów znajdujących się w Żółkiewce, Grabach, Kostrzy, Chwałkowicach i Goczałkowicach.

★

Prawdziwa atrakcja Piechowice koło Szklarskiej Poręby jest wroczyńskim muzeum Huty Szkła Kryształowego „Julia”. Można tam obejrzeć wyroby huty nawet sprzed 100 lat, aż po kryształy produkowane obecnie. Muzeum udostępnione jest zwiedzającym i handlowcom. Tutaj także przeprowadza się najczęściej rozmowy z odbiorcami zagranicznymi.

WARTO ZANOTOWAĆ, ŻE...

W grudniu ub. roku rozstrzygnięty został konkurs otwarty na reportaże, ogłoszony przez redakcję „Nadodrza” i Wojewódzki Zarząd TRZZ w Zielonej Górze. Pierwszej nagrody nie przyznano, dwie równorzędne nagrody otrzymali Zdzisław Morawski (Gorzów) i Leszek Zieliński (Zielona Góra), a trzecią Henryk Ankiewicz (Gorzów).

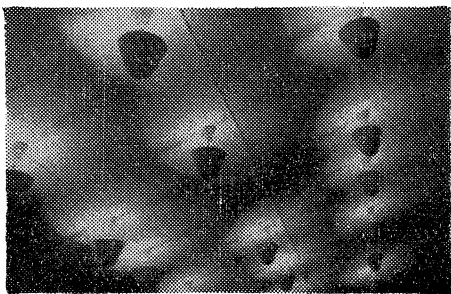
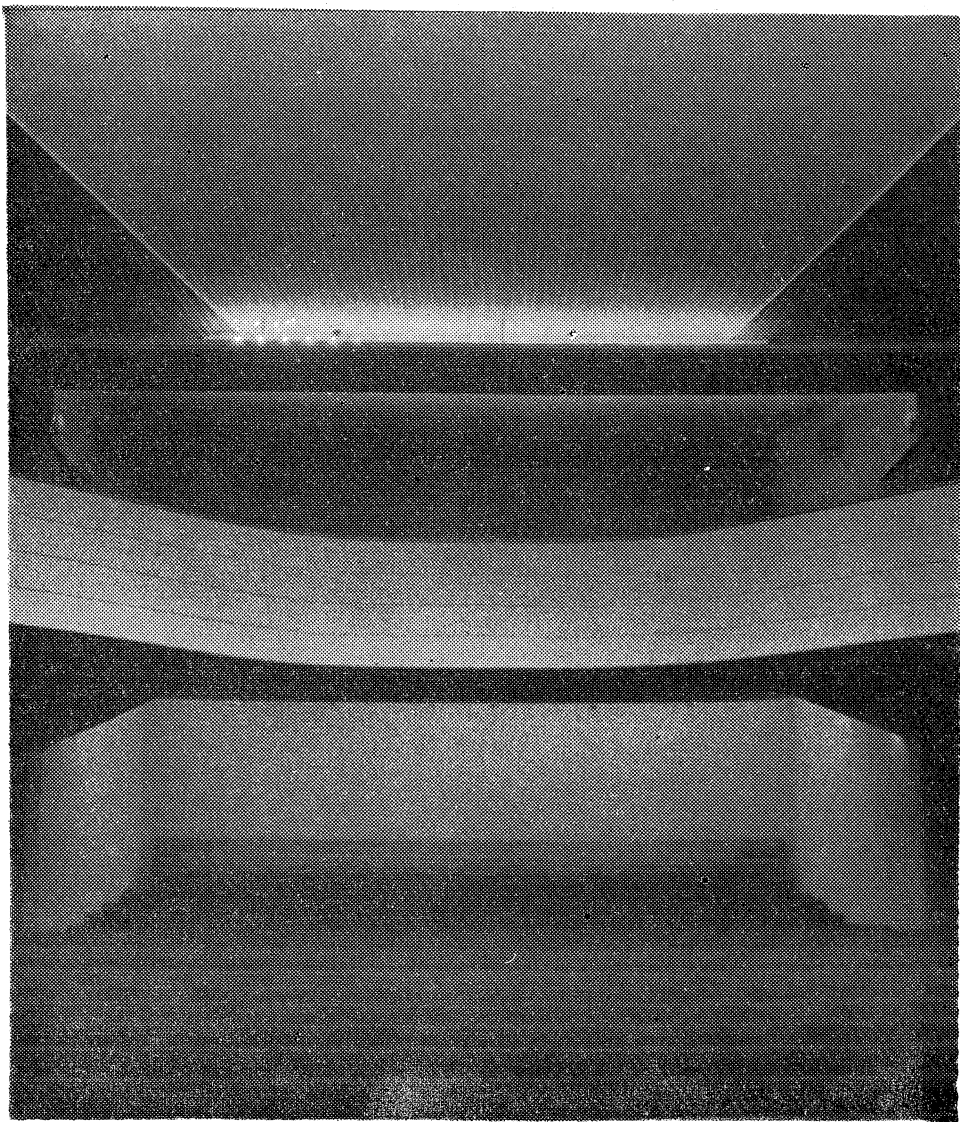
★

W tym samym miesiącu zakończył się w Szczawnie-Zdroju przegląd amatorskich zespołów teatralnych województw wrocławskiego, zielonogórskiego, szczecińskiego i koszalińskiego. Dwie pierwsze równorzędne nagrody otrzymały: Zespół „Ulica” przy PDK w Słupsku, który wystawił sztukę Gorkiego pt. „Wassa Żeleznowa”, oraz Bielski Teatr Robotniczy przy BZPB im. II Armii WP z Bielawy (szafka J. Jurgielewiczowej „Stan zagrożenia”). Drugiego miejsca nie przyznano, natomiast trzecie otrzymał Zespół Teatralny ZZK z Wrocławia za realizację dramatu Szaniawskiego pt. „Kowal, pieniądze i gwiazdy”. Czwarte miejsce przyznano zespołowi PDK ze Świnoujścia, który zaprezentował komedię B. Candera „Roxi”. Poza tym przyznano kilka nagród specjalnych, jak np. nagrodę TRZZ, którą otrzymał zespół PSS z Bielawy, nagrodę KW ZMW — Zespół GZPB z Głuszyca, nagrodę ZW ZMW —



Zbigniew Karpiński

Portret starca (olej 1960 r.)



*Fragmenty wnętrza Teatru
Rozmaitości we Wrocławiu prze-
budowanego według projektu ar-
tystów-plastyków Aleksandra Ję-
drzejewskiego i Władysława Win-
czego.*

(fot. T. Skorulski i T. Drankowski)

zespoły wiejskie z Ołdrzychowic (woj. wrocławskie) i Kłuczewa (woj. koszalińskie).

★

Z okazji obchodów Tysiąclecia Sekcja Zainteresowań Literackich Gorzowskiego Towarzystwa Przyjaciół Kultury ogłosiła konkurs literacki na utwór związany tematycznie z Ziemią Lubuską. W konkursie wzięło udział 38 osób.

★

W maju br. zostaną zainaugurowane „Dni Legnicy”. Honorowy patronat nad tą imprezą objął minister kultury i sztuki P. Galiński. Organizatorzy ogłosili konkurs otwarty na utwór muzyczny z tekstem, hejnał miasta, utwór poetycki, utwór prozą, rysunek oraz fotografię. W konkursie może brać udział każdy mieszkaniec Legnicy i Ziemi Legnickiej (Jawor, Złotoryja, Chojnów, Lubin).

★

Pod koniec ubiegłego roku Lubuskie Towarzystwo Kultury przyznało kilkanaście dorocznych nagród i stypendiów. Nagrode w wysokości 3.000 zł otrzymał m. in. regionalny chór w Babimście za popularyzację folkloru.

Stypendia na ukończenie rozpoczętych prac literackich, plastycznych i filmowych otrzymali: Adam Królaś z Głogowa, Maria Chiciak z Wschowy, Tadeusz Firlej z Gubina, Krystyna Klesk z Ługowa i Zdzisław Morawski z Gorzowa.

★

Tadeusz Kajan otrzymał nagrodę „Życia Literackiego” za publicystykę ze szczególnym uwzględnieniem książki pt. „Fakty i ludzie”, zaś Janusz Koniusz otrzymał nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki za działalność publicystyczną o tematyce kulturalno-oświatowej. Obydwaj laureaci są członkami zespołu redakcyjnego miesięcznika „Nadodrzie” w Zielonej Górze.

★

Amatorski Klub Filmowy przy WDK we Wrocławiu otrzymał już siódmą z kolei nagrodę. Tym razem była to II nagroda zdobyta na konkursie GK KFTT za film turystyczny „Trzy Perty” — o Kudowie, Polanicy i Dusznikach. Autorami zwycięskich „Trzech Perty” są: Ryszard Filipowicz, Józef Milka i Zbigniew Ranażek.

★

Kontynuując kilkuletnią już tradycję, Prezidium WRN we Wrocławiu przyznało stypendia twórcze na rok 1961. Są one z jednej strony pomocą finansową, z drugiej zaś — wyrazem uznania dla osiągnięć poszczególnych pisarzy i artystów. Stypendia otrzymali: artysta-plastyk Józef Chierowski,

aktor Ryszard Dembiński, poeta Marian Jachimowicz, prozaik Waldemar Kotowicz, kompozytorka Jadwiga Szajna-Lewandowska i artysta-fotograf Mieczysław Prześlakowski.

★

Młody literat wrocławski Maciej Patkowski otrzymał wyróżnienie „Nowej Kultury” za swego ostatnią powieść pt. „Podłudnie”.

★

W styczniu br. został rozstrzygnięty konkurs zorganizowany przez Woj. Klub TPPR we Wrocławiu pt. „Fotobiektywnym po Kraju Rad”. Pierwszą nagrodę zdobył doc. dr Wojciech Walczak, drugą Czesław Bańkowski, a trzecią Stanisław Nowak. Najlepsze prace można było obejrzeć na wystawie w Klubie. Ogółem na konkurs wpięto 67 prac.

MOŻNA BYŁO OBEJRZEĆ

Od grudnia 1960 r. do połowy stycznia br. w salonie CBWA, Pawilonie ZPAP, Muzeum Śląskim i kawiarni „Artystycznej” można było zobaczyć: Okręgową Wystawę Grafiki Wrocławskiej (18 autorów, 49 prac), Okręgową Wystawę Plastyki (bez jury, pierwsza tego rodzaju wystawa we Wrocławiu), Wystawę Plastyki, Architektury Wnętrz, Form Przemysłowych i Rękodziela (6 autorów — Józef Chierowski, Teresa Forowicz, Tadeusz Forowicz, Zbigniew Kawecki, Danuta Kowalczyk i Jan Kowalczyk) oraz wystawy indywidualne: Haliny Lępkowskiej-Giecwicz (malarstwo), Haliny Pawlikowskiej i Ludwika Kiczury (grafika). Z wystaw specjalnych dużym zainteresowaniem cieszyła się wystawa chińskiego malarstwa na bambusie.

Poza tym Stanisław Wojewódzki (grafika) wystawił swoje prace w PDK w Środzie Śląskiej, Stanisław Grabczyk (grafika) w PDK w Wołowie, a w Muzeum w Wałbrzychu czynna była wystawa rzeźby wrocławskich plastyków — Boronia, Hoffmana, Kociankowskiego, Kowalskiego, Olszawskiej, Olszawskiego, Pawełki, Tumkiewicza i Zdaniowicza.

★

W tym samym okresie wrocławskie teatry dały sześć premier. Teatr Polski wystawił „Dobrego człowieka z Secziuanu” Bertolta Brechta w reż. A. Witkowskiego, Teatr „Rozmaitości” komedię J. Vilmy i R. Vincy „Pasztet, jakich mało”, „Pięć wieczorów” Wołodymyra i „Nie jesteśmy aniołami” Klary Feher. Pierwszą i ostatnią sztukę reżyserowała S. Zbyszewska, druga z kolei S. Szurmiej. Na scenie „Kameralnej” oglądaliśmy natomiast „Judyte i Holofernesa” Charles de Peyret-Chapuis w reżyserii A. Młodnickiego

„Pantomima” wystawiła „Gabinet Osobliwości” w reżyserii H. Tomaszewskiego.

Państwowy Teatr Ziemi Opolskiej w grudniu i styczniu zapoznał swą publiczność ze sztukami: Leona Kruczkowskiego „Pierwszy dzień wolności”, Labicha „Słomkowy kapelusz” i J. Korzeniowskiego „Majster i czeladnik” w przeróbce W. Jastrzębca-Rudnickiego opatrzonej nowym tytułem „Tajemniczy nieznajomy”. Duży rozgłos zyskała sobie „Ślakuntala” Kalidasa, wystawiona przez „Teatr 13 Rzędów”.

Teatr Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze zaprezentował „Człowieka z budki suflera” T. Rittnera, „Majątek albo imię” J. Korzeniowskiego i „Kochanków z Werony” J. Iwaszkiewicza (na tzw. Scenie Prób i Propozycji).

Na jeleniogórskiej scenie Teatru Dolnośląskiego w ciągu grudnia 1960 r. i połowy stycznia br. dano trzy premiery, a mianowicie „Balladynę” Słowackiego, „Taką miłość” Kołłątaja oraz „Damy i huzary” Fredry.

★

Państwowa Opera Śląska w Bytomiu wystąpiła w grudniu 1960 roku z premierą prawie zupełnie nieznaną w Polsce opery niedawno zmarłego włosko-niemieckiego kompozytora Wolf-Ferrariego „Le donne curiose”. Również Opera Wrocławska wystąpiła z premierą opery komicznej, wystawiając najlepszą z Mozartowskich oper-buffo „Così fan tutte” w reżyserii Lii Rotbaum.

★

Również w grudniu balet Opery Wrocławskiej wystąpił z premierą „Romeo i Juli” Prokofiewa w opracowaniu choreograficznym Jerzego Gogóla, pod kierownictwem muzycznym Kazimierza Wilkomirskiego, w scenografii Zbigniewa Kaji.

...I POSŁUCHAĆ

Państwowa Filharmonia we Wrocławiu już w ubiegłym sezonie przedstawiła się z koncertami otwartych na koncerty organizowane (wspólnie ze „Słowem Polskim”) dla poszczególnych zakładów pracy. Program obejmuje popularną muzykę symfoniczną oraz utwory wokalne w wykonaniu artystów Opery Wrocławskiej. W grudniu ub. roku odbyły się 3 takie koncerty oraz 4 koncerty symfoniczne dla młodzieży szkolnej.

Z koncertów otwartych należy wymienić koncert symfoniczny z udziałem Włodzimierza Obidowicza pod dyktando Katielwiczka oraz koncert muzyki współczesnej organizowany na zlecenie KWKKZ, w którym obok utworów Pauera, Roussela i Marína wykonano 3 utwory kompozytorów wrocławskich: Ryszarda Bukowskiego „Preludia Dodekafoniczne”

ne", Natansona „Rondo” i Michalka „Suite”.

Opolska i Zielonogórska Orkiestra Symfoniczna wykonują bardzo trudną, ale i bardzo potrzebną pracę popularyzatorską, dając co tydzień po 3-4 koncerty popularnej muzyki symfonicznej w mniejszych miastach i ośrodkach robotniczych swoich regionów, oraz w większych miastach (wojewódzkich i powiatowych) koncerty wybranej muzyki symfonicznej z udziałem najlepszych solistów polskich a nierzadko i zagranicznych.

We wrocławskim Salonie Muzyki Mechanicznej przy Klubie ZZPK rozpoczęto dwa cykle: „Przygotowujemy się do odbioru koncertów symfonicznych” i „Historia opery”. Oba cykle cieszą się bardzo dużym zainteresowaniem.

WIADOMOŚCI I WIADOMOSTKI

W grudniu ubiegłego roku odbył się w Opolu zjazd filmowców-amatorów z Ziemi Zachodnich. W obradach zjazdu wziął udział prezes Międzynarodowej Federacji Amatorskich Klubów Filmowych Norbert Boronowski oraz przedstawiciele 27 klubów z 7 województw. W ramach zjazdu odbył się festiwal filmów amatorskich.

Wydział Kultury WRN we Wrocławiu poważnie zwiększył w tym roku fundusze na zakup książek do bibliotek rozmieszczonych na Dolnym Śląsku. Na ten cel przeznaczono prawie 4 mln. złotych, a zatem o milion więcej niż w roku ubiegłym. Wydział Kultury RN m. Wrocławia zaś planuje wzbogacenie księgozbioru miejskiego o 35 tys. tomów.

Z okazji obchodów Tysiąclecia Polskie Towarzystwo Ludoznawcze z siedzibą we Wrocławiu przystępuje do wydania Dziel Zebranych Oskara Kolberga. Całość ma liczyć 59 tomów. Wydawnictwem tym zainteresowała się już Polonia zagraniczna, wiele placówek naukowych, a także... indywidualni gospodarze wiejscy. Już ponad 100 rolników z całego kraju subskrybowało Dzieła Zebrane Kolberga.

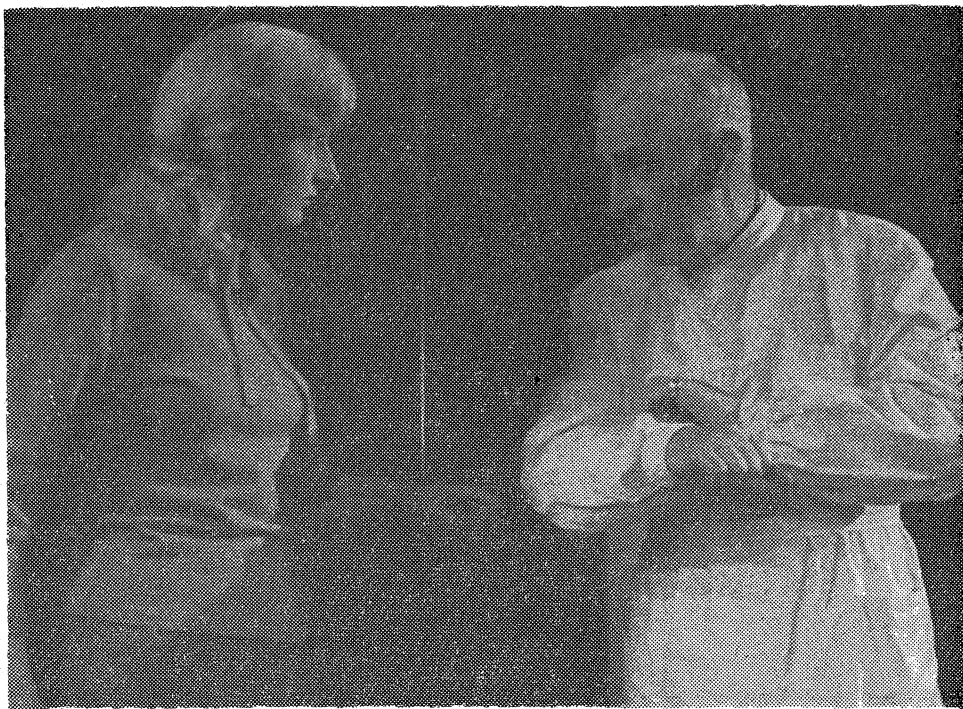
Z końcem ub. roku ukazała się pierwsza część „Historii Śląska” pod red. Karola Maleczyńskiego. Warto przypomnieć, iż Niemcy nie mogli się nigdy zdobyć na opracowanie całości historii tych ziem, twierdząc na dodatek na łamach prasy (np. „Zeitschrift fuer Ostforschung”), że Polacy także nie są w stanie tego dokonać. W przygotowaniu są następne tomy.

W Zielonej Górze powstał niedawno oddział Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa, którego celem będzie prowadzenie badań naukowych nad psychologicznymi czynnikami podnoszenia wydajności pracy.

Młody, bo istniejący zaledwie rok, 100-osobowy Zespół Pieśni i Tańca przy Międzyzakładowym Domu Kultury w Głuchołazach bawił na występach gościnnych w Czechosłowacji w miejscowościach Sumperk i Jasenník.

Lubuskie Towarzystwo Kultury zakupiło dla Sulechowskiego Klubu Inteligencji komplet materiałów ilustracyjnych przedstawiających życie i działalność Fryderyka Chopina, który koncertował niegdyś w Sulechowie. W miejscowym PDK zamierza się otworzyć stałą wystawę chopinowską.

Zespół poetyckiej estrady Uniwersytetu Wrocławskiego „Pandora” wystąpił z premierą „Szukamy ciebie niby płomienia”, na którą złożyły się teksty poetów rewolucyjnych. Spektakl reżyserowała Danuta Szopianka. Po premierze zespół „Pandory” występował — na zaproszenie Ministerstwa Kultury i Sztuki — w Warszawie. Zebrał d. sid.



„Pierwszy dzień wolności” Leona Kruczkowskiego w Teatrze Ziemi Opolskiej. Scena z III aktu (Janina Bocheńska — Inga, Marian Godlewski — Doktor).

Okres dyskusji, narad i teoretyzowania już minął. Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich w ciągu paroletniego okresu swego istnienia wykształciło własne metody pracy. Miejsce efektywnych hasel zajęła teraz mrówcza, często nie od razu sprawdzalna praca, którą trudno ująć w cyfrowych wykazach (choć i takich wyników nie brakuje) a która ma na celu nie tylko, mówiąc skrótowo, aktywizację ziem nad Odrą i Bałtykiem, ale i pogłębianie wśród zamieszkującego te tereny społeczeństwa przywiązania do nich, rozbudzanie patriotyzmu lokalnego — jednym słowem uruchamianie tych sił społecznych, które mogą z kolei stać się motorem wielu pożytecznych inicjatyw. Wartość tych inicjatyw polega przede wszystkim na ich realizacji przez samo społeczeństwo, które je wysunęło.

Ilu nas jest? W trzech najbliższych nam województwach — zielonogórskim, wrocławskim i opolskim — działa łącznie 23 tys. członków: z tego 5 tys. w Zielonogórskim, 9 tys. we Wrocławskim i 9 tys. na Opolszczyźnie. Oczywiście aktywność poszczególnych organizacji wojewódzkich trudno mierzyć tymi liczbami, nie chcemy zresztą wartościować prac poszczególnych zarządów. Wszystkie je łączy wspólny cel, wspólne metody pracy, ale jednocześnie bardzo różnorodna specyfika każdego z województw wyznacza odmienne kierunki działania. I tak dla TRZZ w Zielonej Górze, którego pracą na co dzień kieruje Czesław Walczak (sekretarz Zarządu Wojewódzkiego), najbardziej aktualnym zagadnieniem jest dokonująca się tam na dużą skalę odbudowa i rozbudowa poszczególnych miejscowości, fabryk, aktywizacja życia kulturalnego i społecznego. Nie chodzi nam tutaj o wielkie inwestycje finansowane przez państwo, ale te obiekty, które powstają z inicjatywy społecznej — inicjatywy TRZZ.

W województwie wrocławskim (TRZZ kierują tutaj inż. Stefan Ryłski — przewodniczący, Cezary Murawski — wiceprzewodniczący i Kazimierz Trzeszczyński — sekretarz), jak wiemy, dosyć silnie uprzemysłowionym i zagospodarowanym, problem aktywizacji nie jest najważniejszy. Tutaj na czoło wybija się sprawa rozbudowy sieci telewizyjnych stacji przekątnikowych, budowa szkół

estetycznego miejscowości. Już w pierwszym roku zanotowano 100 zgłoszeń do konkursu — udział w nim biorą rady narodowe, różne instytucje i organizacje. W roku ubiegłym pierwsze miejsce zajął Czerwińsk — odnowiono tutaj elewacje domów, bramy i par-

Z DZIAŁALNOŚCI

T R Z Z

oraz ich wyposażenie, organizowanie TRZZ-owskich Kół Miłośników poszczególnych miast, osiedli i wsi oraz tzw. kół środowiskowych, działalność propagandowa i szeroko zakrojona współpraca z NRD.

Organizacja opolska, na której czele stoją Franciszek Adamiec — przewodniczący i Henryk Milczarek — sekretarz, skupia się przede wszystkim na pracy propagandowej — a więc odczyty, pogadanki, wycieczki (np. do Oświęcimia), wystawy antyrewizjonistyczne. Istotny zakres pracy stanowi też opieka nad towarzystwami regionalnymi o charakterze badawczo-historycznym. O potrzebie tego rodzaju działalności świadczy np. fakt, że na ostatniej naradzie Zarządu Wojewódzkiego TRZZ zacięcie dyskutowano, czy herb Raciborza wywodzi się z czasów słowiańskich czy późniejszych, z okresu zaboru niemieckiego. Dla opolskiej ludności rodzimej, która przez tyle lat żyła w niewoli, te sprawy mają ogromne znaczenie. Praca propagandowa to jeszcze nie wszystko. Bardzo dobrze rozwija się zainicjowana przez TRZZ kooperacja gospodarcza i kulturalna poszczególnych powiatów Opolszczyzny, województwa poznańskiego i łódzkiego.

Naszkicowane tutaj kierunki działania poszczególnych województw nie są oczywiście jedynymi — staraliśmy się tutaj tylko uchwycić specyfikę każdego z nich. Dlatego też w konkretnych informacjach z życia i działalności TRZZ, które będziemy stale w tym miejscu zamieszczać, pewne osiągnięcia mogą mieć podobny charakter, mimo iż będą pochodziły z różnych terenów, bo przecież TRZZ, zarówno zielonogórskie, wrocławskie jak i opolskie, ma jeden cel.

poszczególnych kany, odrestaurowano Dom Kultury, założono zieleńce i naprawiono jezdnie. Wartość prac społecznych wyniosła około milion złotych.

W tym roku najpoważniejszym pretendencem do pierwszej nagrody jest mała (320 mieszkańców) wieś Rzeczyce pow. Świebodzin, w której z

ZIELONA GÓRA

Najbardziej popularną imprezą TRZZ-owską w województwie zielonogórskim jest stały konkurs mający na celu usuwanie wciąż jeszcze widocznych śladów wojny (oczywiście środkami społecznymi) oraz podniesienie wyglądu e-

inicjatywy emerytowanego inżyniera-leśnika Janusza Adamcewicza podjęto budowę Domu Kultury, obiektu wartości miliona złotych, przy dotacji państwowej tylko 350 tys. złotych. A więc, jak łatwo obliczyć, na 1 mieszkańca wartość pracy społecznej musi się zamknąć sumą 1.800 zł. Dlatego chłopci założyli własną wytwórnę pustaków z żużlu, wstawiali nawet sami okna itp.

Pracą kierował Komitet Społeczny w składzie: Mikołaj Obacz, Apolinary Malinowski i Stefan Grzesiak – wszyscy rolnicy.

★

Z inicjatywy TRZZ w przyszłym roku szkolnym mają być wprowadzone w klasach X i XI w ramach lekcji historii i geografii wykłady z cyklu „Wiedza o regionie”. W porozumieniu z Kuratorium opracowano już specjalne wkładki do programu szkolnego.

★

Jedną z form popularyzacji wiedzy o Ziemi Lubuskiej w całym kraju są odczyty organizowane przez TRZZ w „najmodniejszych” ośrodkach wczasowych województwa, jak Sława Śląska, Lubniewice, Łągów. W ubiegłym roku wygłoszono 12 takich odczytów. W obecnym planuje się wygłaszanie prelekcji we wszystkich domach wczasowych podczas trwania każdego turnusu.

★

Przy Zarządzie Wojewódzkim w Zielonej Górze powołano do życia Zespół Niemcoznawczy – placówkę o charakterze naukowo-badawczym, w skład której weszli: Zygmunt Rutkowski, Stanisław Knabe, Władysław Korcz, Wiktor Lemiesz (historycy) oraz Tadeusz Kajan i Herbert Lipiński (dziennikarze). Zespół ten współpracuje z Instytutem Zachodnim w Poznaniu.

★

Zarząd Wojewódzki TRZZ wydał broszurę popularyzującą warunki osadnictwa na Ziemi Lubuskiej. Broszura ta została napisana z myślą o mieszkańcach przeludnionych

województw: rzeszowskiego i łódzkiego.

★

We wsi Dąbrówce, pow. Międzyrzecz, zamieszkałej wyłączone przez ludność rodzimą, już od 50 lat istnieje Zespół Koziarzy (nazwa pochodzi od instrumentu muzycznego). Zespół ten składa się z pięciu wykonawców liczących przeciętnie po około 60 lat – czterech muzykantów i jednej solistki wykonującej przyspiewki. Zespołem posiadającym ogromną wartość etnograficzną zaopiekował się ostatnio zielonogórski zarząd TRZZ. Kierownikiem zespołu jest Wincenty Dudek.

WROCŁAW

Godną najwyższego uznania akcję rozpoczął wrocławski TRZZ, który wszedłszy w porozumienie z Komitetem Społecznym Funduszu Budowy Szkół Tysiąclecia, zobowiązał się wyposażyć wszystkie te szkoły w biblioteki, wychodząc z założenia, że pomoce szkolne są również ważne jak wznoszenie samych budynków. Pierwszą szkołą, która otrzymała taką bibliotekę (około 200 tytułów), jest szkoła im. Łompy w Kudowie. Dalsze obdarowane placówki to: szkoła nr 71 przy ulicy Podwale we Wrocławiu, nr 85 przy ulicy Traugutta oraz szkoły w Brzegu Dolnym i Łądku Zdroju. Warto zaznaczyć, że w księgozbiorach uwzględniono przede wszystkim wydawnictwa związane tematycznie z Ziemią Zachodnimi i Północnymi.

★

W trosce o dalszy rozwój telewizji na Dolnym Śląsku, TRZZ zorganizowało niedawno we Wrocławiu konferencję z udziałem przedstawicieli Centralnego Zarządu Radiostacji i Telewizji w Warszawie, prezydentów powiatowych rad narodowych z Kłodzka, Nowej Rudy, Jeleniej Góry, Lubania i Bolesławca. Na konferencji tej omawiano zasady współpracy poszczególnych stacji przekątnikowych i możliwości jak najrychlejszego oddania ich do eksploatacji. Oczywiście

ście stacje te są budowane czynnym społecznym.

★

W ramach szeroko zakrojonej współpracy kulturalnej z NRD w ostatnim czasie gościło we Wrocławiu kilku specjalistów niemieckich, m. in. inż. Wilsdorf z Akademii Górniczej we Freibergu. Ku. Dathe – dyrektor Instytutu Pedagogicznego w Lipsku i inż. Hempel z Zakładu Elektroniki w Berlinie. W przyszłości przewidziane są wyjazdy (w ramach wymiany bezdekwizowej) wrocławskich uczonych i działaczy TRZZ.

★

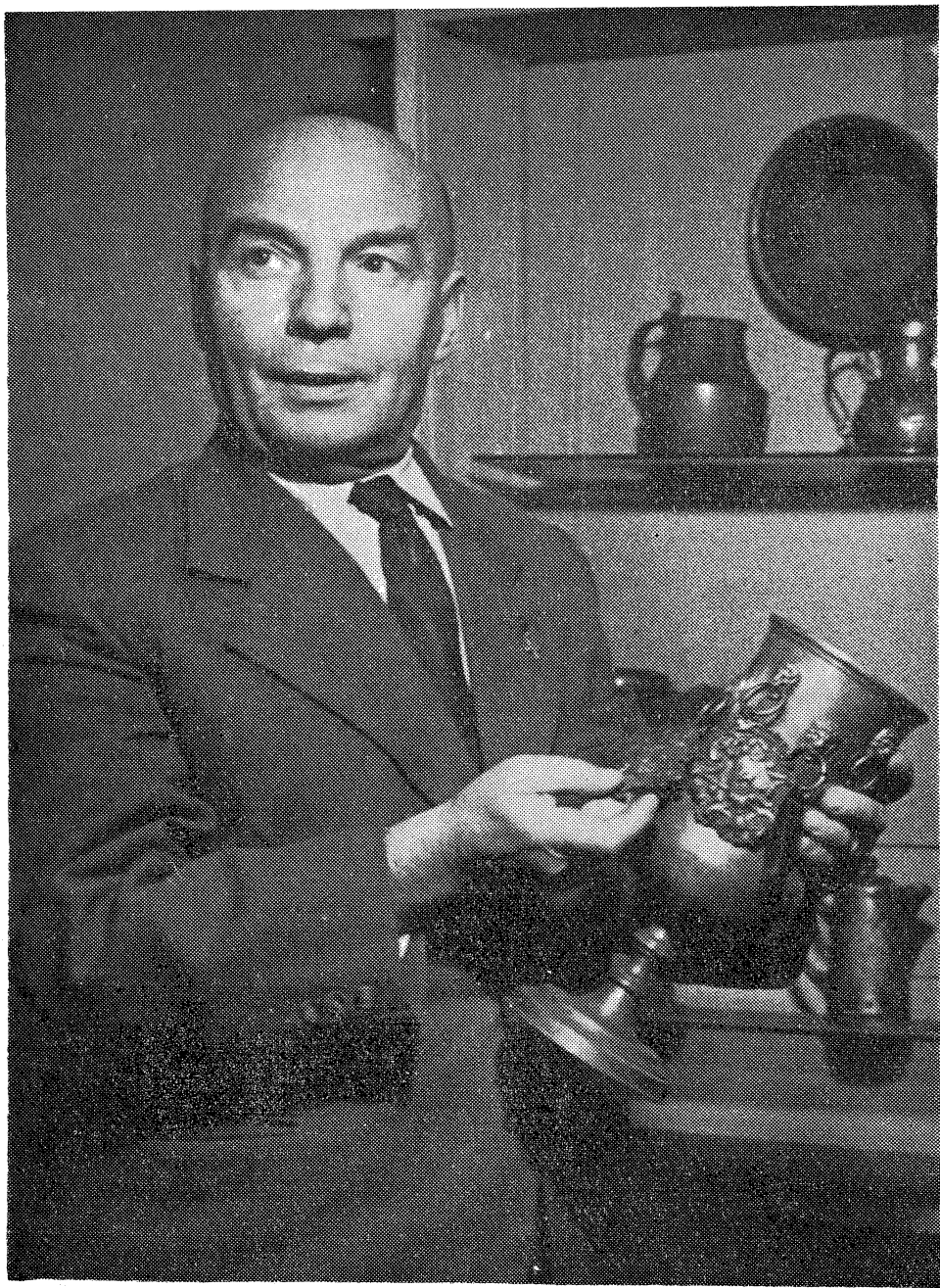
Pod koniec ubiegłego roku Zarząd Wojewódzki TRZZ ogłosił konkurs czystości i estetyki miast, osiedli i wsi, który ma trwać do października 1961 roku (pierwszy etap do 2 maja 1961). Do konkursu zgłosiło się już wiele miejscowości, m. in. Wałbrzych, Legnica i Jelenia Góra, a także – w porozumieniu z Towarzystwem Miłośników Wrocławia i wrocławską Radą Narodową – Wrocław, z poszczególnymi dzielnicami, które będą współzawodniczyć między sobą. Wiele instytucji ufundowało już cenne nagrody, m. in. Związki Zawodowe, WRN, Dyrekcja PSS, „Liczyrzepka”. Warto zaznaczyć, iż wśród nagród znajdują się poszukiwane zaautomatyzowane samochody do wywożenia śmieci, telewizory itd.

★

Przy Zarządzie Wojewódzkim TRZZ istnieje środowiskowe koło geologów – wychowanków Uniwersytetu Wrocławskiego. Program tego zrzeszenia jest nie tylko ciekawy, ale i bardzo pożyteczny – młodzi geolodzy w czynnie społecznym przeprowadzają badania w ramach swojej specjalizacji na terenie Dolnego Śląska.

OPOLE

W ramach kooperacji kulturalnej i ekonomicznej powiatów województwa opolskiego, poznańskiego i łódzkiego praca rozwija się przede wszystkim w dwóch tzw. zespołach – Kłobudzki, Olesne



W zabytkowych basztach Prudnika (woj. opolskie) pamiętających czasy panowania w tym mieście Bolka II istnieje obecnie małe muzeum.

Zorganizował je miejscowy nauczyciel historii, przewodniczący Towarzystwa Miłośników Ziemi Prudnickiej dr Józef Wierzyński.

W zbiorach tego muzeum zobaczyć można wiele druków historycznych, przedmiotów codziennego użytku z różnych wieków, oraz innych ciekawych eksponatów.

(fot. Okoński)

i Wieluń oraz Kluczbork, Wieruszów i Kępno. Współpracę tę nawiązano w styczniu 1959 roku. Ma ona za zadanie zatarcie różnic społecznych, gospodarczych i kulturalnych między powiatami rozdzielonymi dawniej granicą. W ramach tej kooperacji prowadzona jest własnymi środkami regulacja przebiegającej przez wymienione powiaty Prośny, co ma ogromne znaczenie w gospodarce rolnej tamtych terenów; budowa linii kolejowej Sieradz — Wieruszów w województwie łódzkim, budowa zakładów przemysłu bawełnianego w okolicach Kępna oraz budowa zakładu przemysłowego w Oleśnie. Podobnie ma się rzecz w dziedzinie kultury — miejscowi historycy wspólnie opracowują monografię tych

ziem, urządzone są wspólne dożynki, wymiana zespołów artystycznych itp.

★

W grudniu ubiegłego roku zorganizowano dla 1.100 nauczycieli województwa opolskiego konferencję, których tematem były problemy zachodniemieckiego rewizjonizmu oraz zagadnienia związane z wprowadzaniem do szkół wykładów z zakresu wiedzy o własnym regionie. Na wniosek TRZZ Kuratorium opracowało już specjalne wkładki do programu szkolnego. Prelegentami na tych konferencjach byli działacze TRZZ.

★

Przy poparciu TRZZ opracowuje się monografię poszczególnych powiatów województwa opolskiego, m. in. raci-

borskiego — pod redakcją doc. Dziewulskiego (w druku), Olesna — którą przygotowuje prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Oleskiej mgr Alfred Kopaczek, Namysłowa — zespół miejscowych historyków pod kierownictwem mgr Zareckiego i Kulińskiego.

★

21 stycznia br. otwarto pierwszy w województwie opolskim TRZZ-owski klub w Namysłowie. Klub powstał przy pomocy funduszy społecznych, pracami kierował Stefan Wojtas.

★

Pierwszym członkiem TRZZ w Opolu spośród tzw. osób prawnych czyli instytucji jest Wielobranżowa Spółdzielnia Rzemieślnicza „Opolanka”.

D. S.

ADRES REDAKCJI: Wrocław, Podwale 63. Telefony: redaktor naczelny i sekretariat 355-16, sekretarz redakcji 357-89, centrala 340-31. Rękopisów nie zamowionych redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa”.

PRENUMERATĘ przyjmują wszystkie urzędy pocztowe, listonosze i placówki „Ruchu” do dnia 15 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Należność można również wysłać na konto: PKO Wrocław I — OM nr 8-6-13768. Prenumerata miesięczna wynosi zł 6, kwartalna — zł 18, półroczna — zł 36, roczna — zł 72. Cena jednego egzemplarza — zł 6.

DRUK: Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Wrocław, ul. Piotra Skargi 3/5.

T-4

W najbliższych
numerach:

Romuald Cabaj
OPOWIADANIA TYSIĄCLETNIE

Elżbieta Drzewińska
KRAJ CIEMNOŚCI PRZERWANY?

Zdzisław Hierowski
MŁODOŚĆ HANSA MARCHWITZY

Karol Jonca i Alfred Konieczny
W PŁONĄCYM WROCŁAWIU

Roman Kaleta
„POCZWARA”

Witold Kapuściński
WYKŁAD

Józef Kokot
CZY NIEMCY SĄ PRZELUDNIONE

Wiktor Lemiesz
PRAWO W SŁUŻBIE ZBRODNI

Edward Marczewski
MŁODA MATEMATYKA NAD ODRĄ

Jan Reiter
DAWNA PRASA POLSKA WE WROCŁAWIU

Kalman Segal
OSKAR

Jadwiga Skotnicka
FLEKSJA I MEDYCYNĄ

Wilhelm Szewczyk
WSPOMNIENIA PIERWSZEGO REDAKTORA
„ODRY”

Roman Szydłowski
BRECHT I FELSENSTEIN
czyli o prawdziwym nowatorstwie

Cena 6 zł